

Elisabeth. Sanxay

Holding

Przekład:

Iwona Chamska

C&T

Toruń

Rozdział pierwszy

Mój Boże! — rzucił sam do siebie Jacob Duff, stojąc nago przed lustrem w łazience. — Przybieram na wadze!

Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, o szerokich ramionach i wąskich biodrach. Zaskoczył go widok zgrubień wokół pasa. Jego rumiana, przystojna twarz zaczynała w okolicy policzków robić się obwisła. Mój Boże, westchnął. Mam dopiero czterdzieści dwa lata. Nie powinno mi się jeszcze nic takiego...

Reggie zaczęła śpiewać w swojej sypialni. Och, zamknij się! — krzyczał w głębi duszy. Okropnie fałszujesz. Wiesz, jak mi to działa na nerwy, a i tak śpiewasz. Zamknij się!

Otworzył drzwi swojej sypialni i zamknął je z trzaskiem. To ją powstrzymało. Ale i tak znów zacznie, pomyślał. O cokolwiek ją poproszę, żeby nie robiła, i tak robi to dalej.

Zaczął się ubierać i tego ranka po raz pierwszy przyznał, choć bronił się przed tym od dłuższego czasu, że spodnie zrobiły się ciasne w pasie, a na plecach zauważył wałki tłuszczu. Poczul się okropnie. To jej wina, pomyślał. Nie przygotowuje odpowiednich posiłków. Zresztą, jeśli o nią chodzi, niczego nie potrafi odpowiednio zrobić. Jestem żonaty już od roku, a ona niczego się jeszcze nie nauczyła. Nigdy się nie nauczy. Nawet nie próbuje.

Usłyszał, jak wychodzi ze swojego pokoju na korytarz. Zapukała do drzwi jego sypialni.

— Jake, jesteś gotowy?

— Jeszcze nie — odparł. — Idź pierwsza.

Wiedział dokładnie, jak to będzie wyglądało. Zbiegnie po schodach do jadalni i powie „cześć” do gosposi. To jedna z tych rzeczy, których miała nie robić. Wciąż ją o to prosił, ale ona i tak mówiła

„cześć” do wszystkich. Do szofera, kucharki, doktora i każdego, kogo on z głupoty zaprosił do domu. Och, cześć!

Wstydzę się jej, pomyślał. Przyznaję. Kiedy zaprosiłem Copeleya na drinka, powiedziała do mnie: „cześć, kotku”. Zauważyłem, jak się uśmiechał. Cała służba, wszyscy śmieją się z niej za jej plecami. I ze mnie też, bo się z nią ożeniłem.

Myśl, że musi zejść na dół, wydała mu się nieznośna. Już nigdy nie będę miał apetytu przed śniadaniem, pomyślał. Kiedyś nie mogłem się doczekać śniadania. Wtedy jeszcze żyła Helen. Dobry Boże! Byłem mężem talanej kobiety jak Helen przez cztery lata, jak mogłem potem ożenić się z tą Reginą Riordan? Powinno mi wystarczyć samo jej imię. Reggie. Modelka u fotografa.

Musiał zejść na dół. Siedziała przy stole i miała na sobie jeden z tych negliży, które tak uwielbiała, z niebieskiej satyny z niewielkim bolerkiem wykończonym lamówką w ząbki.

— Och, cześć, Jake! — powiedziała z olśniewającym uśmiechem.

Uśmiech modelki, pomyślał.

— Dzień dobry—odparł. — Reggie, już milion razy prosiłem cię, żebyś się ubierała do śniadania. Jeśli nie stać cię na ten wysiłek, jedz śniadanie w swoim pokoju.

— Wiem — odpowiedziała nerwowo. — Próbowalam kupić taką ładną, wiejską sukienusię, ale niestety, nie dostałam nic odpowie-

dniego.

— Wiejską sukienusię? Co masz na myśli?

— Och, skromne Iniane sukieneczki w kratkę albo suknie z perkalu. No, tego typu.

Wiedział, że to nie jest odpowiedni strój. Helen nigdy takich nie nosiła.

— A dlaczego nie możesz założyć swoich codziennych rzeczy? — zapytał.

— Och, Boże, tak się przyzwyczałam, żeby nie chodzić po domu w wyjściowym ubraniu — wyjaśniła. — W studiu często...

— Przestań już! — rzucił, kiedy do jadalni weszła przez wahadło-

we drzwi służąca.

— Kucharce udało się dostać wczoraj trochę bekonu, Jake. Lubisz jajka na bekonie...

— Nie, dziękuję. Przechodzę na dietę.

— Och, Jake, Czyżby lekarz powiedział...?

— Tak — przerwał jej. — Dzisiaj tylko czarna kawa i sok pomarańczowy. A gdzie jest Jay?

— Och, panna Castle powiedziała, że coś mu wpadło do oka. Zaraz zejść. Naprawdę, Jake, nie jest mi przyjemnie tu siedzieć i jeść, kiedy ty nic nie ruszysz.

— Dziękuję — odparł.

Każdy by zauważył, że nie jestem w nastroju do rozmowy, pomyślał. Ale nie Reggie.

— Ciocia Lou poprosiła mnie, żebym ją dziś odwiedziła — ciągnęła. — Pomyślałam, że wezmę Jaya.

— Lepiej go zostaw z panną Castle. Od tego tu jest.

— Wiem, ale...

— Wolałbym, żebyś nie ciągnęła wszędzie ze sobą dziecka.

— Zawsze pytam o pozwolenie pannę Castle, Jake.

Wolałbym, żebyś w ogóle nie miała nic do czynienia z moim synem, pomyślał. Nie chcę, żeby gdziekolwiek z tobą chodził. Nie chcę, żeby cię tu widział w tym tandetnym ubranku. Spojrzał na nią z drugiej strony stołu. Tyle że jest piękna, pomyślał z rozpaczą.

Była szczupła, więc wyglądała na wyższą niż w rzeczywistości. Twarz miała pociągłą, z delikatnymi wgłębieniami pod kośćmi policzkowymi i Bóg jeden wiedział, jaka była zdrowa. Nigdy nie chorowała, nigdy nie była zmęczona. Jak wieśniaczka. Czarne rzęsy otaczały ciemnoniebieskie oczy. Włosy również miała czarne, a skórę delikatnie zaróżowioną.

Jacob Duff junior, tupiąc, schodził po schodach do jadalni, szczupły chłopczyk w wieku lat siedmiu, o jasnych włosach i nieokrzesanych manierach.

- Cześć, tato! — powiedział. — Cześć, Reggie!
- Prosiłem, żebyś nie mówił cześć — odparł ze złością Duff.
- Więc dzień dobry — rzucił Jay bez zastanowienia i odsunął krzesło dla panny Castle.
- Dzień dobry — powiedziała opiekunka z uśmiechem i lekkim pochyleniem głowy.

Była Angielką w wieku około trzydziestu pięciu lat, zadbaną, spokojną i dość obojętną na mody. Nie używała kosmetyków, z wyjątkiem odrobiny pudru. Jasne, grube włosy miała obcięte w ząbki i ułożone

y

w niezbyt twarzową fryzurę. Bluzka panny Castle z prostym, okrągłym kołnierzykiem nie pasowała do jej kościstej twarzy. Ale ona nie chce być uwodzicielska i olśniewająca i... tandetna, pomyślał Duff. Gdyby zechciała użyć odrobiny szminki i pozostałych rzeczy, wyglądałaby o wiele lepiej niż Reggie. Zresztą miała lepszą figurę, bardziej kobiecą.

- Podobno Jay ma dziś odwiedzić swoją ciotkę — powiedziała.
- Nie chcę jechać! — oznajmił głośno Jay.
- Nie krzycz tak! — rzucił Duff. — I nie mów takich rzeczy.
- No... — odparł Jay, ściągając usta tak, że wyszło: „Nu”.
- Żadne talde — zaznaczył Duff. — Żadnych „no”, Idedy ci powiedziano, że masz coś zrobić.
- A co kazano mi zrobić? — odparował Jay.
- Jay! — oburzyła się łagodnie panna Castle.
- Ale przecież nic nie zrobiłem — denerwował się Jay. — Powiedziałem tylko, że nie chcę jechać do ciotki Lou. Czy to coś złego?
- Proszę odejść od stołu! — krzyknął Duff.
- Dobrze... tak jest! — krzyknął Jay i podskoczył zwinnie.
- Idź do swojego pokoju i nie wychodź stamtąd, dopóki nie na-

uczysz się dobrych manier — dodał Duff.

— Mam się ich uczyć z książki? — zapytał, a potem, ldehy zobaczył wyraz twarzy ojca, zachichotał i podskakując, pobiegł na górę.

Panna Castle jadła dalej w ciszy śniadanie, ale Reggie nie mogła nic przełknąć.

— To jeden z jego dzildch wyskoków — powiedziała. — To tald uparty chłopak.

— Dziękuję — rzucił Duff. — Dziękuję, że mi to wyjaśniłaś.

— Cóż, nie o to mi chodziło, Jake. Chciałam tylko powiedzieć, że on naprawdę nie chce być niegrzeczny. Przy ciotce Lou jest grzeczny jak aniołek.

— Tak... — uciął Duff. — Proszę mi wybaczyć, drogie panie, ale chciałbym zajrzeć do wiadomości.

Z radością rozłożył gazetę i przesłonił sobie widok na twarz Reggie. Ciotka Lou, pomyślał. Sam pomysł, żeby taka dziewczyna czuła się upoważniona, by ją tak nazywać, wydawał się niedorzeczny. To moja wina. Wiem to teraz. Ale co mi przyszło do głowy, żeby się z nią ożenić?

Ciotka Louisa Albany zawsze wiele znaczyła w jego życiu. Był jej spadkobiercą. Pewnego dnia miał po niej odziedziczyć niezłą fortunę, ale jej wielkie znaczenie nie wynikało z tego faktu. Ważna była jej osobowość, jej charakter, tradycje. Darzył ją szacunkiem i podziwem nie do opisania.

Mogła mnie powstrzymać, pomyślał. Kiedy przyprowadziłem do niej Reggie pierwszy raz, mogła powiedzieć choćby słowo... Oczywiście, nie poznała nigdy wcześniej kogoś takiego jak Reggie. Nie mogła wiedzieć, co to za typ kobiety. Sądziła pewnie, że będę szczęśliwy, jeśli się znów ożenię. Myślała tylko o moim szczęściu.

Gdyby teraz wiedziała... Nie chcę jej nic mówić, ale gdyby sama zauważyła... Zna mnie, wie, jakie było moje życie z Helen. Nie wiem, jak to się dzieje, że ona tego nie zauważa. To zaczyna się przecież odbijać na moim zdrowiu. Żle śpię... no i takie przybieranie na wadze jest również niezdrowe.

— Nie możesz zjeść jednej babeczki kukurydzianej, Jake? — zapytała Reggie. — Są lekkie jak piórko.

— Nie, dziękuję. Jeśli mam być szczerzy, to ciężkie, tłuste jedzenie

nie jest dobre dla nikogo.

— Ja też nie mogę jeść babeczek — wtrąciła się panna Castle. —
Wasze ciepłe bułeczki są przepyszne, ale gdy zjem taką na śniadanie,
źle się czuję cały ranek.

Duff spojrział na nią i ich oczy się spotkały. Uśmiechnęła się i odwróciła wzrok, ale Duff już zrozumiał to spoj-rzenie. Ona mnie rozumie, pomyślał nieco zdziwiony.

— Postuchaj! — zaczęła znów Reggie. — Pobiegnę na górę, wło-
zę tylko sukienkę i pojedę z tobą na stację, Jake.

— Przykro mi, Reggie, ale muszę dziś zabrać trzech lub czterech
kolegów.

— Och, cóż... — powiedziała. — Więc może Jay i ja spotkamy się
gdzieś z tobą na herbacie, po wizycie u ciotki Lou?

— Jay ma zostać w swoim pokoju cały dzień — orzekł Duff.

— Och, Jake, daj spokój...!

— Moja droga, tak się składa, że jestem ojcem chłopca. Rozu-
miem go lepiej niż ty. Nie pozwolę, by się zachowywał jak jakiś mały
prostak.

— Daj spokój, Jake. On nic nie zrobił...

— Jeśli panna Castle sądzi, że postępuję zbyt surowo i nieroz-
sądnie... — powiedział i ponownie spojrział na pannę Castle, która
znów się do niego uśmiechnęła.

— Poczekajmy trochę. Później zobaczymy, co Jay ma na swoje
usprawiedliwienie — zasugerowała. — Teraz pójdę na górę i sama
z nim porozmawiam.

— Bardzo dobry pomysł — uznał Duff.

Mówimy tym samym językiem, pomyślał. Boże, co za ulga! Ona jest rozsądna, dobrze wychowana i dystygowana. Zresztą, to przy-stojna kobieta. Wie, jak się ubrać. Reggie wygląda w tym, co ma na so-bie, jak w łachmanach.

Odsunął krzesło i wstał. Nadeszła pora, żeby pocałować Reggie. Nie miał na to ochoty. To niemądry zwyczaj, bez znaczenia, pomyślał.

— Cóż, au revoir! — rzucił.

— Hej! Poczekaj! — krzyknęła Reggie, podskoczyła i podbiegła

do niego.

Położyła mu rękę na ramieniu i spojrzała z szerokim, wesołym uśmiechem modelki.

— Zapomniałeś mnie pocałować na do widzenia — powiedziała.

— Chyba miesiąc miodowy się skończył.

A ty pewnie sądzisz, że to świetny dowcip, co? — przemknęło mu przez myśl.

Rozdział drugi

Samochód czekał. Nolan, szofer, otworzył mu drzwi.

— Dzień dobry panu — powiedział.

'— Dzień dobry — odparł Duff. — Zatrzymamy się tylko po pana Vermilyea.

— Tak, proszę pana — przytaknął Nolan.

Duff zapalił papierosa i oparł się wygodnie. To wspólne podwoże-nie się samochodem robi się uciążliwe, pomyślał. Johnny Vermilyea też jest uciążliwy. Gdyby nie był takim leniwym facetem, poszedłby na stację piechotą.

10

Trzej pozostali mężczyźni, z którymi wspólnie zabierał się na po-ciąg, już wypadli z kółka, kiedy zaczął kursować tym o dziewiętej trzydzieści. Oni musieli jeździć wcześniej. Tylko Vermilyea'owi nie zależało, który złapie pociąg. „O której tobie pasuje, stary. Mnie jest obojętnie.” Przechadzał się po podjeździe przed swoim wielkim do-mem i wyglądał bardzo elegancko w czarnym garniturze, choć we-dług opinii Duffa, garnitur zbyt ciasno przylegał do jego muskularne-go ciała. Z tą czerwoną twarzą, wielkim nosem i małymi, jasnymi oczkami wyglądał jak bokser.

— Cześć, cześć — rzucił. — No to w drogę. — Wsiadł do samo-

chodu. — Cudowna pogoda jak na kwiecień.

— Tak — odparł Duff bez entuzjazmu. — Ale to dojeżdżanie mnie męczy. Nie jestem do tego przyzwyczajony. Jeśli mam być szczerzy, nie przepadam za życiem na przedmieściu. Urodziłem się i wychowałem w Nowym Jorku.

— Ja nie mógłbym mieszkać w mieście — odpowiedział szczerze Vermilyea.

Miał pod czterdziestkę i, według opinii Duffa, wiódł idiotyczne życie ze swoimi wiekowymi rodzicami w tym wielkim domu. Jego ojciec w wieku siedemdziesięciu lat przeszedł na emeryturę i Vermilyea został prezesem Kompanii Statków Parowych Vermilyea.

„Tak właściwie, to jestem tylko marionetką — chwalił się czasem jowialnym tonem. — Mam kilku fachowców pierwszej Idasy, którzy odwalają za mnie całą robotę.”

Trzy wieczory w tygodniu służył jako sanitariusz w szpitalu, w dzielnicy Vandenbrinck, a wolny czas spędzał głównie na zbiorach: na Czerwony Krzyż, na cele społeczne, na talony wojenne. Zjawiał się bez przerwy w twoim domu, próbując wyciągnąć jakieś pieniądze na szczytne cele. Duff uważał go za nudziarza, ale w końcu nośił nazwisko Vermilyea i pochodził z Vandenbrinck. Chodził do bardzo dobrej szkoły powszechnej i chociaż nie był w Harvardzie, to uczęszczał do Princeton.

Wybrałem złe przedmieście, pomyślał Duff. Powinienem przeprowadzić się do jednego z tych nowych, lśniących osiedli, gdzie może pasowałaby Reggie. Ale chodziło mu o Jaya. Kiedy się z nią żeniłem, też myślałem o Jayu. Sądziłem, że będzie dla niego dobra, że stworzy

mu dom. A ona rozpuszcza tego chłopaka i robi pieldo z mojego życia. Przybieram na wadze...

Powinienem się zważyć, pomyślał. Zobaczyć...

Nie słuchając, odpowiadał Vermilyea'owi i próbował sobie przypomnieć, gdzie widział wagę. W klubie, oczywiście, ale nie był tam od wielu miesięcy. Ludzie zadawaliby mu pytania, żartowali na temat jego małżeństwa. W aptece?

Samochód zatrzymał się w zatoczce przy stacji.

— Dwadzieścia po piątej, proszę pana? — zapytał Nolan.

— Tak — odparł Duff i poszedł z Vermilyea'em na peron.

— To cholerny przystojniak — zauważył Vermilyea.

— Kto? — zapytał Duff.

— Ten twój szofer. Pani Laird wspomniała o nim któregoś dnia.

— Rozmawialiście o Nolationie? — zdziwił się Duff.

— Tak — przyznał Vermilyea. — Żałowała, że nie może go namówić na granie w przedstawieniu dobroczynnym dla żołnierzy.

— Nie ma o czym plotkować, tylko o służbie innych ludzi? — oburzył się Duff.

— Ona nie plotkowała, stary. Tylko... O, już jest! Idziemy!

Wsiedli do wagonu Idubowego, w którym było kilku znajomych Vermilyea. Chcieli grać w remika.

— Przykro mi, ale ja nie gram — powiedział Duff. — Boli mnie dziś głowa.

— Och! Upojna noc była wczoraj? — rzucił jeden z nich.

— Możliwe — odparł Duff.

Upojna noc, pomyślał. To dobre. Zaraz po kolacji poszedł do swojego gabinetu, siedział cały wieczór zupełnie sam. Czytał, a właściwie próbował czytać książkę swego zmarłego wuja, Freda Albany, pod tytułem „Wielkie i małe gry”. Wypił dwie albo trzy szklanki whisky, żeby zasnąć. Ostatnio musiał wypić codziennie wieczorem, bo inaczej nie mógł spać.

Ale to nie jest dobry pomysł, stwierdził. To znaczy, nie powinienem pić w samotności. To nie poprawia nastroju i szkodzi zdrowiu. Nie czuję się najlepiej, to fakt. Ale co, do diabła, mam robić wieczorem? Nie mogę siedzieć w salonie i rozmawiać z Reggie. Nie mam o czym z nią rozmawiać. Nikt nas nigdy nie odwiedza. Nie mamy gdzie pójść. Gdybym mógł sobie wynająć pokój w hotelu...

12

Duff, Vermilyea i jeszcze jeden mężczyzna jechali do centrum, więc wsiedli w jedną taksówkę. Kiedy wezmę się do pracy, poczuję się lepiej, pomyślał Duff. Niestety, niewiele dziś było dla niego do roboty. Był, jak kiedyś jego ojciec, młodszym partnerem w firmie Hanbury, Martin i Duff, Sprzęt Chirurgiczny i Dentystyczny. W tej chwili obsługiwali prawie wyłącznie zamówienia rządowe, a Duff zostawił tę działkę Hanbury'emu. Nie lubię tej papierkowej roboty, stwierdzał. Nie cierpię tych wszystkich przepisów.

Nie ma potrzeby, żebym przyjeżdżał do biura pięć razy w tygodniu, pomyślał. Nie robiłbym tego,

gdybym nie musiał wyrwać się z tego domu. Ale jeśli nie wyjadę rano do pracy, będę musiał znosić Reggie, kręcącą się po domu w szlafroku, i służbę, która robi dokładnie to, co chce. Nie ma w tym porządku, zasad, ciszy i spokoju. Kiedy żyła Helen, wszystko chodziło jak w zegarku. Kiedy zadzwoniłem i powiedziałem, że zaprosiłem kogoś na kolację, byłem pewien, że wszystko będzie przygotowane tak jak trzeba. Ale teraz...!

Przyjęto tylu nowych ludzi, że jego sekretarka musiała pracować przez połowę dnia w jego prywatnym gabinecie. Zaczęła pisać na maszynie i hałas zrobił się nie do zniesienia.

— Wyjdę na filiżankę herbaty, panno Fuller — powiedział. — Za chwilę wrócę.

Chciał znaleźć wagę. Trochę zdeprimowany. Nie można zapytać nikogo o to, gdzie znaleźć wagę, żeby nie zwrócić uwagi na fakt, iż przybrało się lalka funtów. Wszedł do apteki znajdującej się w holu budynku. Były w niej dwie wagi, jedna, staromodna, pewna, ale odważniki leżały na ladzie, i druga, która drukowała odcinek z wyliczoną wagą, dyskretna. Wybrał dyskrecję.

Wrzucił jednego pensa i otrzymał wydruk.

Mój Boże! — oburzył się w duchu. To niemożliwe. Wszedł jeszcze raz na chybliwą wagę i wrzucił jeszcze jednego pensa. Po chwili wyszedł wydruk z tym samym wynikiem.

Nieważne, kto mógł mu się przyglądać, musiał wypróbować staromodną wagę. Ustawił odważniki w ilości, która odpowiadała jego poprzedniej wadze. Potem dodał pięć funtów, dziesięć, czternaście.

Czternaście funtów więcej niż kiedykolwiek w życiu ważył! Po-czuł się dosłownie niedobrze. Muszę się napić, pomyślał. Potem roz-pocznę nowe życie, dieta, ćwiczenia i takie tam.

i o

Na tej samej ulicy był bar, gdzie po piątej chadzał czasem na cock-tail. Nigdy nie był tam o wcześniejszej porze. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek pił alkohol o jedenastej i obawiał się, żeby ktoś nie zobaczył, jak wchodzi do baru.

Ale w środku było mnóstwo ludzi i wszyscy wyglądali porządnie, dobrze ustawieni mężczyźni, elegancko ubrani. Zdawało się, że nic sobie nie robią z picia o jedenastej. Zamówił żytniówkę i wypił ją, stojąc przy barze. Nie wystarczyła, więc zamówił następną.

Tyle właśnie potrzebował. Kiedy siedział na stołku, w słabo oświetlonym, cichym pomieszczeniu, jego umysł zaczął intensywnie pracować. Taka nadwaga, zastanawiał się, łatwo mogę się jej pozbyć. Pójdę do jednej z tych siłowni i wypoczę ją w ciągu kilku tygodni. Nie. To mnie właśnie martwi. To musi być cały proces. Reggie. Nie rozumiem, dlaczego miałbym poświęcać dla niej całe życie. Z tego, co wiem, wyszła za mnie dla pieniędzy i pozycji społecznej...

Naszła go myśl szybka jak błyskawica. To cholerny przystojniak. Tak mówił o Nolandzie Vermilyea. Pani

Laird też tak o nim mówiła. Czyżby wszyscy w sąsiedztwie rozmawiali o moim przystojnym szoferze?

„Włożę tylko sukienkę i pojedę z tobą na stację” — przypomniał sobie słowa Reggie. Potem wracałaby sam na sam z Nolanem. Robiła tak zresztą wiele razy. Teraz przypomniał sobie też inne rzeczy. Mówiła do Nolana „cześć” z tym swoim olśniewającym uśmiechem modelki.

Sypiam w osobnej sypialni już prawie od dwóch miesięcy, pomyślał, a ona nie powiedziała ani słowa. To po prostu nienaturalne..., chyba że jest ktoś inny. To by było nawet do niej podobne, zhańbić mnie... z szoferem.

Ale ona nie jest złą dziewczyną, pomyślał.

Wręcz przeciwnie, okazała się nad wyraz porządna, wręcz nie-winna. Czuł się, jakby poślubił pensjonarkę. Przypomniał sobie straszny wstyd, jaki przeżył podczas miesiąca miodowego. Kiedy bagażowy otworzył im drzwi apartamentu w hotelu w Montrealu, pisnęła z zachwytem: „Och, Jake! Aż tak wytwornie?”

Helen czuła to samo, co on. Oboje uważali, że nikt nie powinien wiedzieć, że są świeżo po ślubie. Pojechali do Hawany i nikomu nie powiedzieli. Ale to nie było w stylu Reggie. Reggie powiedziała wszy-

14

skim. Jest zupełnie pozbawiona wycucia, pomyślał. Nie rozumie, że zabiła całe uczucie, jakie kiedykolwiek do niej żywiłem. Ale to nie jest zła dziewczyna.

Jeszcze nie. A przynajmniej tak mi się wydaje. Ale mogłaby się zachować tak, że wybuchłby z tego niezły skandal.

Zresztą i tak już tego dłużej nie wytrzymam. Powiem szczerze o wszystkim ciotce Lou. Oczywiście, nie zostawię na lodzie Reggie. Będę hojny. Rozwód też mnie nie interesuje. Po prostu chcę się wyrwać z tego wszystkiego. Już dłużej tego nie zniosę.

Rozdział trzeci

Kiedy umarł jej mąż, pani Albany sprzedała jego dom na Dziewiątej ulicy i zamieszkała w apartamencie hotelowym niedaleko placu Waszyngtona. Jak zawsze żyła według staromodnych, stałych zwyczajów, połączonych z odrobiną jej własnych upodobań. Kiedy Duff zadzwonił do drzwi jej apartamentu, otworzyła mu kolorowa służąca w porządnym uniformie i wprowadziła go do salonu pełnego ohydnych mebli rodziny Albany, ich obrazów i ozdób.

— Sprawdź, czy pani Albany jest w domu, proszę pana — powiedziała służąca i oddaliła się. Nieważne, że był siostrzeńcem i spadkobiercą pani Albany. Musiał czekać jak wszyscy, a jeśli pani Albany

ucięła sobie akurat drzemkę albo była u niej manikiurzystka, albo nie czuła się na siłach przyjmować gości, odprawiono by go z kwitkiem, tak jak wszystkich innych gości.

„Podczas wojny nie mam w domu stałych godzin odwiedzin — wyjaśniła mu kiedyś pani Albany. — Jeśli ktoś chce się ze mną zoba-czyć, musi zadzwonić wcześniej albo zaryzykować.”

Wróciła Rose, służąca.

— Pani Albany jest w domu — oznajmiła i zaraz odeszła, nie uśmiechnąwszy się.

Louisa Albany weszła niedługo potem, wysoka, bardzo szczupła kobieta, z kręconymi włosami, ufarbowanymi na dziwny, bladorudy kolor. Zapadnięte policzki i wąskie usta umalowała różem. Miała na sobie satynową bluzkę z wysokim kołnierzem i krótką, czarną spódn-

15

cę. Można by śmiało rzec, że z profilu jej twarz przypominała pysk wielbłąda albo po prostu, że wygląda jak czarownica. Ale nie dało się zaprzeczyć, że miała coś w sobie, styl, nawet pewną elegancję.

— Cóż tam, Jacobie? — zapytała wyraźnym głosem, pełnym wyższości. — Usiądź! Nie widziałam cię od jakiegoś czasu.

— Byłem dość zajęty. Jak ty się trzymasz, cioteczko Lou?

— Bardzo dobrze, dziękuję. Utyłeś, Jacobie.

Zaczerwienił się.

— Niedługo się tego pozbędę. Zacząłem dietę.

— Więc nie zaproponuję ci cocktailu — powiedziała.

— Nie zaszkodzi mi.

— Owszem — ucięła. — Nie wolno tknąć alkoholu, kiedy się odchudzasz. Twój wujek Fred musiał przez wiele tygodni obejść się bez

drinka, kiedy mocno utył. Obawiał się poważnie, że zrobi się gruby.

— Oczywiście — przytaknął Duff. — Chociaż, cioteczko Lou, naprawdę przydałby mi się cocktail. Jestem trochę przybity.

Zerkała na niego przez chwilę.

— Więc go dostaniesz — orzekła. — Sama ci zrobię.

Patrzył, jak wychodzi z salonu i przez korytarz zmierza do nie-wielkiej kuchni.

— Lód, Rosę — rozkazała.

— Tak, proszę pani — odparła Rosę, która nigdy się nie uśmiechała.

Między panią Albany i Rosę była dziwna, dla Duffa nawet irytująca harmonia. Teraz pracowały wspólnie jak dwie barmanki.

— Martini — powiedziała pani Albany.

Na półce stał imponujący szereg butelek z dwoma rodzajami miarek, pałeczkami do mieszania i szklanymi naczyniami. Rosę umyła cytryny, obrała ze skórki. Pani Albany zgrabnie zajęła się resztą. Rosę postawiła szklany dzbanek i dwie szklanki na tacy i przyniosła ją do salonu.

— Czym jesteś taki przybity, Jacobie? — zapytała pani Albany, kiedy zostali sami.

— Ja po prostu już tak nie mogę — wyznał. — Moje życie to piekło.

Upiła łyk swego cocktailu.

16

— Zapal mi papierosa, Jacobie — powiedziała. — Dziękuję. Chodzi o Reggie?

— Tak, nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. Ty jesteś ślepo wpatrzona w tę dziewczynę.

— Nie jestem — odparła po prostu pani Albany. — Ona ma swo-

je wady. Właśnie dziś jej mówiłam... wiesz, że byli tu na obiedzie?

— Byli?

— Tak. Reggie i Jay.

— Jay?\

— Nie krzycz tak, Jacobie.

— Nakazałem, żeby dziecko zostało w swoim pokoju...

— Cóż, prawdopodobnie twoja panna Castle nie uznała tego za dobry pomysł.

— Kiedy wydaję rozkazy w moim własnym domu...

— Och! — westchnęła pani Albany. — Taksie nie mówi. No cóż... Właśnie dziś rozmawiałam z Reggie na temat prowadzenia domu. Poradziłam jej, żeby może poszła na jakiś kurs. Powiedziałam jej o szkole policealnej, tak to teraz nazywają, w której uczą, jak sobie radzić z tymi rzeczami.

— To sprawa znacznie poważniejsza niż prowadzenie domu.

Ona nic do mnie nie czuje.

— Ależ tak. Bardzo cię lubi i bardzo by chciała, żebyś był szczęśliwy.

Wypił swój cocktail. Postawił pustą szklankę na stole i spojrzał na panią Albany, ale nie zwrócił na to uwagi.

— Mogę sobie nalać? — zapytał. — Było doskonałe. Doskonałe.

Cioteczko Lou, powiem teraz coś, co ci wszystko uświadomi. Przez prawie dwa miesiące nie... — Zawahał się. — Spaliśmy w osobnych sypialniach.

— O tym mi Reggie nie wspomniała. O co się pokłóciliście, Jacobie?

— Nie było żadnej kłótni. Jednej nocy nie czułem się dobrze i poszedłem spać do pokoju gościnnego. Następnej nocy uznała to za stan permanentny. Przeszawiono tam łóżko, położono moją piżamę. Tak jest do tej pory. Reggie nie wytłumaczyła tego ani słowem.

— To ty powinieneś z nią o tym porozmawiać — powiedziała surowo pani Albany. — Tak się nie traktuje żony.

17

— Nie... — zaprzeczył. — Nie zostało już nic z naszego małżeństwa. Nie jesteśmy przyjaciółmi, nie ma życia rodzinnego ani towarzyskiego, nic.

— Jacobie — ciągnęła pani Albany. — Reggie jest młoda, bardzo młoda, nie była wychowana w odpowiedni sposób. Ale jest uczuciowa, lojalna i dobra. Jest bardzo przywiązana do małego Jaya. Jeśli pomożesz jej i udzielisz rady, a jest to twoim obowiązkiem, będzie z niej „wspaniała żona.

— Nie! Ona nie robi nic z tego, o co ją proszę. Niczego się nie uczy.

— To niesprawiedliwe. Nauczyła się ubierać ze smakiem.

— Tylko dlatego, że ty jej kupujesz ubrania.

— Nie. Teraz sama sobie kupuje rzeczy. Czyta artykuły na temat etyldety i talde tam, stara się czytać najnowsze książki. Pracuje ciężko jako pomoc pielęgniarska w szpitalu.

— Nie masz nic przeciwko temu, że wypiję resztę cocktailu?

— Owszem, mam. Zrobiłam po dwa dla nas obojga i chcę też wy-

pić drugi.

- Więc może mógłbym pójść do kuchni i sobie zrobić?
- Nie. Dość wypiteś.
- Jestem przybity — krzyknął. — To wszystko jest dla mnie piekłem. Kiedy pomyślę o Helen...
- Nigdy za wiele nie czułeś do Helen.
- Szanowałem ją.
- Ona tego wymagała — powiedziała pani Albany. — Helen potrafiła się o siebie zatroszczyć, a Reggie nie umie.
- Posłuchaj, cioteczko Lou. Potrzebuję jeszcze jednego drinka.
- Niech więcej od ciebie nie słyszę, że „potrzebujesz” drinka.
- Ale tak jest! — krzyknął. — Już tak dłużej nie mogę. Będę musiał się wyprowadzić, wynająć sobie pokój w mieście...
- Wylduczone! — orzekła pani Albany. — Nie możesz porzucić tej biednej dziewczyny bez żadnego powodu.
- Dobrze więc! — rzucił, wstając. — A gdybym ci powiedział, że słyszałem bardzo nieprzyjemne plotki na temat Reggie?
- Jakie plotki?
- Podobno spoufala się z Nolanem...

18

- Jacobie — oburzyła się wyraźnie pani Albany — powinieneś się wstydzić. Jak możesz słuchać takich plotek na temat swojej żony. Co więcej, wiesz równie dobrze jak ja, że nie ma w tym ani ziarna prawdy. Wiesz, że Reggie nie byłaby zdolna do takiego postępowania...

nia.

— Dobry Boże! — wykrzyknął. — Nie masz dla mnie ani krzty współczucia. Ani trochę zrozumienia. Reggie nie jest zdolna do złego postępowania, a niby ja... jestem Bóg wie kim. Potworem. Nigdy jeszcze nikt nie był dla mnie taki niesprawiedliwy.

Te słowa ją poruszyły.

— Nie to miałam na myśli — rzekła. — Wiem, że Reggie wiele jeszcze musi się nauczyć i wiem, że nie jesteś szczęśliwy, Jacobie. Jeśli mam być szczerą... nie sądzę, żebyś kiedykolwiek mógł być szczęśliwy w małżeństwie.

— Co? Dlaczego nie? Gdybym znalazł odpowiednią kobietę...

— Nie umiesz żyć w małżeństwie, Jacobie. Nie odpowiada ci to. Nie jesteś domatorem. Mężczyzna zawsze będzie mężczyzną, jak to mówią.

— A wujek Fred? Nie mieszkał... nie chciał mieszkać w domu przez cztery miesiące w roku.

— Ale zawsze chciał, żebym z nim jeździła wszędzie tam, gdzie on jechał — odparła pani Albany. — Był bardzo... towarzyski.

— A ja nie?

— Nie chcę szukać dziury w całym, Jacobie — powiedziała już trochę podenerwowana — ale jestem pewna, że gdybyś naprawdę chciał, ułożyłbyś sobie to małżeństwo. Reggie robi wszystko, żeby ci sprawić przyjemność...

— I tu nie masz racji — zaprzeczył.

— Nie... — przerwała. — Jacobie, daj jej szansę. Spróbuj spr-

wić, że ona będzie szczęśliwa...

— Dobry Boże! — krzyknął. — Kiedy pomyślę o tym, co dałem tej dziewczynie...!

— Jacobie, to prostackie — upomniała go.

Napotkał jej wzrok.

— Chyba powinienem już iść — rzekł chłodno.

— No cóż... — odparła, wzdychając ciężko.

Kiedy ruszył do małego holu, poszła za nim.

— Wiem, że to trudne — rzekła — ale teraz, kiedy jesteś starszy, powinno być ci łatwiej się ustatkować. Czas płynie. — Poldepała go po ramieniu kościstą dłonią. — Pomyśl o Jayu. Spróbuj to naprawić, Ja-cobie.

Stał, czekając na windę, i pogrążył się w czarnej rozpacz. Gdyby mnie poparła, może bym to wytrzymał. Ale Reggie ją zahipnotyzowała. Teraz już tego nie zniosę. Już dłużej nie wytrzymam.

Rozdział czwarty

Wstąpił do baru i wypił drinka, tylko jednego. Tylko tyle było mu trzeba.

Barman postawił przed nim talerzyk z krakersami serowymi i pre-celkami.

— Nie, dziękuję — powiedział Duff. — Jestem na diecie.

— Cóż, wielu z nas jest teraz na diecie — odrzekł ponuro barman

— choćby z tego powodu, że na kartki niewiele można kupić.

— W porównaniu z resztą świata — zauważył Duff — i tak mamy wielkie szczęście. Niektórzy mówią, i to mój problem, że od alkoholu się tyje. Co pan o tym sądzi?

— Niektórzy tak — odparł barman. — Inni nie. To wszystko zależy od człowieka.

— Pewnie tak — przyznał Duff.

Poczuł się pewniej po tej krótkiej rozmowie. Znam ludzi, którzy piją, i to bardzo dużo, i są chudzi jak szczapy. Wiedział, że przed snem będzie potrzebował paru głębszych, żeby zasnąć, nawet jeśli mogą zniszczyć wysiłek dzisiejszej diety. Czarna kawa i sok pomarańczowy na śniadanie, baranina i surówka na obiad... i nic więcej. W tym tem-pie schudnięcie nie zajmie wiele czasu, pomyślał. A poza tym czterna-ście funtów to nie tak dużo przy wysokim wzroście.

Nie zdążył na pociąg o piątej dwadzieścia. Nolanowi nic się nie stanie, jak poczeka chwilę, pomyślał. Bóg jeden wie, jak mało ma pra-cy ostatnimi czasy, kiedy nie ma benzyny do samochodu. No i nie wiem, co o nim sądzić, po tych wszystkich plotkach...

20

Usiadł w przedziale dla palących, mając nadzieję, że nie spotka ni-kogo znajomego. Chciał pomyśleć o Nolationie. Kiedy pierwszy raz usły-szałem tę plotkę o Nolationie i Reggie? — zastanawiał się, ale nie mógł sobie przypomnieć. Pewnie już wszyscy o tym słyszeli. Nie można za-przeczyć, że ciotka Lou jest kobietą światową. Podróżowała wiele i poznała mnóstwo ludzi. Ale o dziewczynach takich jak Reggie nie-wiele wie. Nigdy wcześniej nie spotkała takiej osoby.

Cóż, nie pozostaje nic, tylko czekać, pomyślał i westchnął. W koń-cu i tak zrobi coś, co pozwoli ciotce Lou zrozumieć... Albo będzie mia-ła dość takiego życia i zostawi mnie. To by było doskonałe wyjście.

Słońce znajdowało się już nisko na niebie, kiedy pociąg zatrzymał się w Vandenbrinck. Rzeka przybrała szaroperłowy kolor pod bez-barwnym niebem. Dla niego wszystko wokół wyglądało na opuszczo-ne. Najlepsze chwile życia spędziłem w samotności, stwierdził. W North Woods, w Adirondacks, kiedy żeglowałem. Odludzia albo duże miasta. Na tym podmiejskim osiedlu robi mi się niedobrze.

Samochód czekał, a Reggie siedziała w środku. Zaskoczyła go jej uroda, bo kiedy o niej myślał, zapominał o tej delikatnej, pięknej twa-rzy, gracji, kształtach jej ciała. Prezentowała się zresztą dość porzą-dnie w granatowej, lnianej suldence, z lśniącymi, czarnymi włosami, szczesanymi na tył głowy. Wyglądała na spokojną, dobrze wychowaną dziewczynę. Ale kto lepiej niż on wiedział, że taka nie jest.

Nolan stał z boku i palił. Rzucił papierosa i pośpiesznie ruszył otworzyć drzwi samochodu. Duff przyjrzał mu się po raz pierwszy naprawdę uważnie. On faktycznie jest jak jakiś cholerny aktor filmo-wy! — pomyślał z oburzeniem. Czarne włosy układające się w fale tuż za skrońmi, piękne, czarne brwi nad oczyma o głębokim, błękit-nym kolorze. Nie był wysoki, ale szczupły i wyprostowany i nosił wy-soko głowę, co sprawiało wrażenie, że jest bardzo energiczny, odro-binę porywczy.

— Cześć, Jake! — zawołała Reggie.

Rzucił jej coś w rodzaju uśmiechu i usiadł obok.

— Przyjechały krzesła! — obwieściła.

— Jakie krzesła?

— Och, nie pamiętasz, Jake? Powiedziałeś, że mogę zamówić krzesła do jadalni. To było cztery miesiące temu.

— To dobrze — odparł.

01

— Pojechałam na obiad do ciotki Lou, Jake. Wiesz, ona wpadła na świetny pomysł. Powiedziała, że powinnam iść na kurs gospodyń domowych. Pojechałam do szkoły policealnej Haverdean w tej sprawie. Oczywiście, jest już trochę późno, ale pani Haverdean powiedziała, że gdybym zaczęła od razu, miałabym jeszcze dwa miesiące nauki i mogłabym brać lekcje prywatne. A od jesieni zaczęłabym już nowy rok szkolny.

— Chciałabyś tego? — zapytał.

— Szalenie.

— Bo i też byłoby to szalone — skwitował.

— O co ci chodzi, Jake? — zapytała.

— Moim zdaniem, to szaleństwo chodzić do takiej szkoły...

z młodymi dziewczynami.

— Przecież nie jestem taka strasznie stara, Jake. Mam dwadzieścia jeden lat.

— Nie o to chodzi.

— Więc o co, Jake? Chodzi ci o to, że jestem mężatką?

— To jeden z powodów.

— Ale pani Haverdean mówi, że mają tam inne zamężne dziewczyny.

— Proszę cię, nie mów „zameżne dziewczyny”. Wolałbym już o tym nie mówić. Jeśli sama nie rozumiesz, jalde to nieodpowiednie, jalde idiotyczne, żebyś ty chodziła do Haverdean...

— Chodzi ci o to, że to panny z towarzystwa? — zapytała. — Ciotka Lou powiedziała, że to nie szkodzi, Jake. Mówiła, że tam poznaję nowe przyjaciółki.

— Chcesz mieć pensjonarki za przyjaciółki? — zapytał.

— Cóż... — odparła z powątpiewaniem.

Wtedy oboje zamilkli. Łatwo ciotce Lou mówić, że nie kochałem Helen, pomyślał. Nie byłem w niej zakochany, to przyznaję, ale do-brze nam było razem. Mówiliśmy tym samym językiem. Helen była kobietą, a nie niedouczoneym, dziecinny podlotkiem.

Skręcili na podjazd. Drzewa w świeżej zieleni rzuciły gębolde cienie na trawnik, okna oślepiły, odbijając blask zachodzącego słoń-ca. Duffowi wydawało się, że to miejsce wygląda na dziwnie opu-szczone. Zupełnie nie jak dom, pomyślał. Otworzyła im służąca i we-

22

szli w zupełną ciszę. Nigdy nikt się tu nie kręci, nie przygotowuje na przybycie gości, nikt nie dzwoni.,

— Gdzie jest Jay? — zapytał.

— Panna Castle kazała mu się położyć wcześniej, bo był dla cie-bie nieuprzejmy przy śniadaniu.

Potem poszli oboje po schodach na górę i rozdzielili się bez słowa, wchodząc każde do swojej sypialni. Gdyby miała ludzkie uczucia, gdyby była kobietą, poprosiłaby mnie, żeby do niej wrócił. Ale nie, ona nie powiedziała ani słowa. Dobry Boże, kim ona jest?

Do kolacji pozostała jeszcze godzina. Duff umył się i szybko zszedł na dół. Z radością zauważył pannę Castle w salonie i pomyślał, że ona również ucieszyła się na jego widok. Wygląda bardzo ładnie, pomy-słał. Ta biała bluzka z długimi rękawami i włosy ma tak porządnie uczesane. To przystojna kobieta, prawdziwa kobieta.

— Pomyślałem, że przydałby mi się cocktail — powiedział. —

Przyłączy się pani do mnie, panno Castle?

— Och, dziękuję! — odparła.

Zadzwoił po Mary i kazał jej przynieść lód, gin, francuski wer-mut i gorzką nalewkę.

— Jak najszybciej — dodał.

Musiał teraz wyjaśnić pannie Castle ten pośpiech.

— Kiedy piję cocktail — powiedział — lubię to robić piętnaście, dwadzieścia minut przed kolacją, a nie tuż przed jedzeniem.

— To na pewno bardziej wyrafinowane — odparła. — Wie pan, że przed wyjazdem z Anglii, sześć lat temu, nie piłam nigdy cocktaili?

Czasem zdarzało mi się wypić odrobinę sherry przed jedzeniem, a bardzo rzadko brandy po kolacji.

— Gdyby pani wolała sherry...

— Och, dziękuję, ale odpowiada mi wypicie cocktailu od czasu do czasu. Jeśli się jest trochę przybitym albo nie w sosie...

Nie chciał, żeby panna Castle była przybita, chciał ją widzieć rado-sną i szczęśliwą pod swoim dachem.

— Mam nadzieję, że Jay nie sprawia pani zbyt dużo kłopotu...

— Och, nie! To bardzo interesujące dziecko. Ale jest coś... Nie uważam, żeby Nolan był dla niego dobrym towarzystwem, panie Duff.

23

— Nolan? — zapytał przestraszony. — Czy chłopak często widuje się z Nolanem?

— Ciągłe biega do jego garażu. Jest naprawdę zauroczony tym człowiekiem. Oczywiście, łatwo to zrozumieć. Nolan opowiada mu hi-

storie z czasu, kiedy był w piechocie morskiej.

— Nie wiedziałem, że był w piechocie morskiej.

— Och, tak! Spędził dwa lata na Pacyfiku.

Zegar na kominku wybił wpół do siódmej. Duff zmarszczył brwi i zadzwonił ponownie na służącą.

— A pani jaką ma opinię o Nolanie, panno Castle? — zapytał.

— Niezbyt dobrą, obawiam się.

— Chciałbym bardzo usłyszeć, dlaczego.

— Trudno to wyrazić w słowach... — rzekła. — Uważam, że on nie jest... godny zaufania.

— Miała pani z nim jakieś problemy? Zachowywał się impertynencko?

— Och, nie, nigdy! — rzuciła. — Nie nazwałabym go impertyntem. On po prostu jest taki... — zawahała się. — Jest tald niezależny. A może cyniczny byłoby lepszym słowem?

— Zabroniła pani Jayowi chodzić do garażu?

— Nie — zaprzeczyła.

Zadzwonił znów dzwonkiem na ścianie i wciąż trzymał na nim dłoń.

— Dlaczego nie? — zapytał.

— Mam wiele podziwu dla pomysłów pani Duff. Jest prawdziwą demokratką. Żałuję, że mnie nie wychowano w tym duchu. Ta idea rozprzestrzenia się w moich rodzinnych stronach, w Anglii. Naprawdę, nie dlatego mam wątpliwości co do Nolana, że jest szoferem. Chodzi mi o jego... charakter.

— A pani Duff go broni?

— Nie tak bym to ujęła — powiedziała. — Pani Duff jest po pro-

stu taka uczciwa...

Weszła służąca z tacą.

— Zapomniałaś gorzkiego likieru — stwierdził po chwili Duff. —

Pośpiesz się, proszę.

— Nie widziałam żadnego likieru, a przeczytałam nazwy na wszystkich butelkach...

24

— Ja przyniosę — rzekła panna Castle, wstając.

— Nie, nie — zaprotestował Duff. — Niech pani siedzi, panno Castle. Chodź ze mną, Mary, pokażę ci...

Wyjął z kredensu butelkę, a kiedy wrócił do salonu, była tam już Reggie.

Przypomniat sobie, że kiedy ją pierwszy raz widział, najbardziej zauroczył go jej absolutnie niewinny wygląd. Orzekł, że wygląda jak kwiat. I teraz też przypominała kwiat. Miała na sobie długą sukienkę w biało-czarną kratkę ze skromną górą, zapiętą aż po szyję. Czarne włosy opadały miękko na bladą twarz o wyraźnych rysach, a niebieskie oczy lśniły jak brylanty.

Teraz jednak nie robiło to na nim wrażenia. Wiedział, jak to jest, kiedy się ją bierze w ramiona. Opierała się o niego bezwolnie. Czuł w nozdrzach zapach pudru. Kiedy się z nią kochał, była zadowolona jak małeńki kotek, kiedy się go bierze na ręce. I jak mały kotek lubiła, kiedy się ją zostawiało w spokoju.

Ciekawe, czy pozwala Nolanowi kochać się w ten sam sposób? — zastanawiał się.

Przyrządził i nalał dwa cocktaile, nic dla Reggie.

„Nigdy w życiu nie piłam alkoholu — powiedziała mu na początek — i chyba nigdy nie wypiję. Widziałam zbyt wiele pijaństwa we własnej rodzinie.” Opowiedziała mu o wujku Vincencie, który zaczął pić i stoczył się. „To było najsmutniejsze ze wszystkiego” — przyznała wtedy.

— Podano obiad, proszę pani — oznajmiła służąca.

— Nie można tego odłożyć o dziesięć minut, Reggie? — zapytał Duff. — Chcielibyśmy w spokoju wypić cocktail.

— Och, tak! — zgodziła się Reggie. — Mary, proszę, powiedz El-

len.

Ale nastrój prysł i drinki nie smakowały już tak samo. Nie czuł od-prężenia.

— Jeszcze szklaneczkę dla pani, panno Castle?

— Och, nie, dziękuję. Dla mnie jeden cocktail wystarczy.

Tak więc on musiał dokończyć to, co było w dzbanku, i to w po-śpiechu.

— Czy już można podawać, Jake? — spytała wtedy Reggie.

— Oczywiście — odparł.

25

Wcale nie miał apetytu. Ale to nawet lepiej przy tej nowej diecie, pomyślał. Reggie i panna Castle przeszły obok niego do jadalni, a on ruszył za nimi.

— Jak ci się podobają, Jake? — zapytała Reggie. — Nowe krze-
sła.

Były okropne, podrabiany styl windsorski, z trzciniowym siedzi-
skiem i trzciniowym oparciem. — Bardzo ładne — rzucił.

Odsunął jej krzesło. Panna Castle już siedziała, a on poszedł na drugi koniec stołu. Nowe krzesła były nie tylko paskudne, ale również niewygodne. Siedziska były zbyt wąskie, a oparcia za ciasno ustawio-
ne. Zupa, która przed nim stała, też mu nie smakowała.

— Jest dzień bezmięśny — powiedziała Reggie — ale mamy bar-
dzo smaczne słodkie bułki maślane.

— Dla mnie nie, dziękuję — odparł. — Jestem na diecie. Mówi-
łem ci dziś rano.

— A co możesz jeść? — zapytała ochoczo. — Jajecznicę? Albo
może...

Trzciniowe siedzisko pękło, a kiedy nacisnął na oparcie i próbował wstać, przechylił się na bok i utknął w
krześle. Reggie podbiegła do niego.

— Och, Jake! — krzyknęła. — Och, jej! Nic ci nie jest? Och, Jake,

tak mi przykro!

Teraz jej nienawidził.

- Nic się nie stało — powiedział. — Już nie jestem głodny.
- Ale, Jake, nic nie zjadłeś!
- Nie chcę, dziękuję. Przyniosłem papiery z pracy. Zajmę się ni-
mi. Dobranoc, Reggie. Dobranoc, panno Castle.

Poszedł do swojego gabinetu, idiotycznego pokoju, i zamknął się na lducz. Wziął książkę wuja Freda, ale ręce mu się tak trzęsły, że nie mógł jej utrzymać. Miał w szufladzie biurka butelkę whisky. Wyjął ją i nalał sobie szklaneczkę.

Już dobrze! Dobrze! — mówił sobie w duchu. Zapomnę o tym wszystkim. To nic takiego.

Ale widziała go panna Castle. To nic. Ona nie będzie się tym przejmowała. Pomyśli, że to... nieprzyjemny wypadek. Mogło się zdarzyć każdemu. To nic. Po prostu kiedy człowiek trochę za dużo waży... może być odrobinę przewrażliwiony.

26

Niech szlag trafi te krzesła! Trzeba być Reggie, żeby kupić takie wiotkie, tandetne rzeczy. Niech to szlag. Dobrze! Przeklęta Reggie. Jeśli o mnie chodzi, między nami wszystko skończone. Nawet ciotka Lou zrozumiałaby to teraz, gdyby tu była.

Usłyszał pukanie do drzwi.

- Tak? — powiedział.
- To ja, Jake.
- Jestem teraz bardzo zajęty, Reggie.
- Tylko chwilkę, Jake! Proszę!

Odłożył butelkę i schował szlankę pod biurkiem. Otworzył drzwi.

- Tak mi przykro z powodu tego, co się stało.
- To nic, zupełnie nic, moja droga.
- Jake, tak mi przykro. Chyba te krzesła są do niczego.
- To nic. Nie mówmy o tym.

- Jake, mogłabym tu z tobą chwilę posiedzieć i poczytać?
- Dziękuję, ale mam do przejrzania dość ważne papiery z biura.
- Może przepiszę coś na maszynie?
- Nie, dziękuję, nic nie trzeba przepisywać.
- Jake... — Położyła mu dłoń na ramieniu. — Nie chcę, żeby tak było między nami.

Więc zrób coś z tym, mówił w duchu. Zrób coś, żeby mnie obu-dzić, żebym znów coś czuł. Nie stój jak... ten przeklęty kwiat...

- Czujesz się ostatnio źle, Jake?
- Doskonale — odparł.
- Martwię się o ciebie.
- Dlaczego?
- Cóż, prawie nic nie jesz. — Przerwała. — Rozmawiałam z ciotką Lou o tym, jak byłeś małym chłopcem. Mówiła, że zawsze trudno było cię rozbawić, że tak łatwo się wszystkim nudziłeś. — Znów przerwała. — Pomyślałam, że może jesteś już trochę znudzony.
- Och, oczywiście, że nie! — powiedział z bezbarwną uprzejmością.
- Bo jeśli tak jest, Jake, to może moglibyśmy coś z tym zrobić?

My? Ty mogłabyś. Mogłabyś postarać się być trochę bardziej podniecająca, uwodzicielska.

27

- Może moglibyśmy gdzieś pójść, do teatru albo do klubu, albo gdzieś indziej.
- Dziękuję, Reggie. To bardzo dobry pomysł. Może któregoś

dnia.

— Jake... Kiedyś się kochaliśmy...

— Oczywiście. I wciąż się kochamy, teraz jednak jestem trochę zajęty. Przepraszam cię, ale...

— Dobrze, dobranoc, Jake — powiedziała i pocałowała go w policzek.

Jeden z jej przeklętych pocałunków jak kwiat, pomyślał. Nie wytrzymam tak dłużej. Nie mogę tego znieść. Nie będę tego znosił.

Rozdział piąty

Obudził się rano dziwnie chory. Kiedy wstał z łóżka, miał tak słabe nogi, że nie mógł na nich ustać. W żołądku czuł palący ból.

To nie jest kac, pomyślał. Zresztą, nie wypięm wczoraj aż tak dużo. Nie. To coś innego, coś poważnego.

Bał się wziąć zimny prysznic w takim stanie. Ubrał się tak szybko, jak potrafił, ale ręce straszliwie mu się trzęsły. Kiedy czesał włosy, szczotka jakimś trafem wyslizgnęła mu się z dłoni i grzmotnęła go prosto w głowę. Ledwie mu się udało zawiązać krawat.

To nie kac, pomyślał. Miewałem już ich wiele, ale to nie to. Wypiję małego drinka, ale on mi wiele nie pomoże. Przynajmniej nie na to, cokolwiek to jest.

Miał szczęście, bo udało mu się zejść na dół, nie spotykając nikogo po drodze. Pamiętał, że butelka w jego gabinecie była pusta, więc musiał sięgnąć do kredensu w jadalni. To go przerastało. Mogła wejść Mary, Reggie albo panna Castle czy Jay, albo ktokolwiek inny i zobańczyć, jak pije alkohol przed śniadaniem. Sama myśl o tym napawała go strachem i rozpaczą.

Ale muszę, pomyślał z żalem. Nie mogę tak dalej. Otworzył drzwi kredensu, odkręcił zakrętkę na butelce i nalał sobie sporego drinka, zanim zauważył, że to gin, a nie whisky.

— Och, niech to! — powiedział głośno.

28

Ale potem coś mu przyszło do głowy. Postawił butelkę na miejsce i dopełnił szklankę do połowy wypełnioną ginem czystą wodą z karafki. Zniósł szklankę do gabinetu i zamknął drzwi. Napisał kilka liczb bez znaczenia w notesie leżącym na biurku, upił tyk ze swego drinka i zapalił papierosa. Wiedział, że Reggie zapuka za chwilę do drzwi i tak też zrobiła.

- Proszę! — powiedział nieobecny tonem.
- Och, Jake. Nie powinieneś palić przed śniadaniem, kochanie!
- Jeszcze chwilę... — rzucił równie obojętnie i znowu napisał kilka liczb. Podniósł szklanke i upił kolejny łyk. — Za chwilę do ciebie przyjdę, Reggie.

Każdy na pewno założyłby, że to, co pił, musi być wodą. Nie spodziewamy się raczej zobaczyć mężczyznę pijącego gin o ósmej rano. W normalnej sytuacji, pomyślał. To chyba bardzo zły znak, dość poważna sprawa. Tylko że tak cholernie źle się czuję...

Ale teraz już się tak nie czuł. Dziwna słabość, ból, drżenie, wszystko to minęło. Umysł miał czysty i pamiętał, jaki sobie ułożył plan ze-szej nocy. To był dobry plan i miał zamiar go wprowadzić w życie na tychmiast.

Wszedł do jadalni i dopiero teraz zauważył, że na dworze padało. Do pokoju docierało słabe, szare światło dnia. Reggie miała na sobie czarną sukienkę z długimi rękawami i wyglądała jak sprzedawczyni w sklepie.

- Jay!... — zawołała panna Castle, a chłopiec wstał.
- Dzień dobry, tato — powiedział i usiadł tak ciężko, że jego krzesło nieznacznie się przechyliło.
- Dzień dobry — odparł Duff. — Dzień dobry, panno Castle.
- Dzień dobry, panie Duff.

Lubił ten rytuał porannej wymiany dzień dobry. Panna Castle wyglądała bardzo ładnie w białej bluzce i szarej spódnicy, zdrowo zaróżowiona na policzkach. A Jay, pomyślał, to niezwykle dziecko. Nie był specjalnie przystojny, ale już teraz wyglądało na to, że wyrośnie na kogoś ważnego.

- Możesz chyba jeść gotowane jajka, prawda, Jake? — zapytała Reggie.

29

- Nie, dziękuję — odparł. — Nie mam apetytu. Chyba potrzebuję zmiany. Wiesz co, Reggie, jeśli nie masz żadnych planów, może by-

śmy pojechali do domku nad morzem na weekend?

— Och, z radością! — powiedziała.

— Dobrze! Ty możesz pojechać dziś po południu. Zjemy w klubie jachtowym, żebyś nie musiała gotować.

— Och, nie, zjedźmy w domu! Kupię wszystko po drodze. Uwielbiam gotować, Jake.

— Nolan może tam poczekać, póki nie wrócę z pracy — powiedział. — Nie chcę, żebyś tam była sama. To dość odludne miejsce o tej porze roku.

— Dobrze, Jake — odparła.

Wypił filiżankę kawy i zjadł tost.

— Mogę już iść? — zapytał Jay.

— Nie — odparł Duff. — Zostaniesz przy stole, póki wszyscy nie skończą.

Jay oparł się i splótł ręce na piersi.

— Nie zaplataj rąk — powiedział Duff.

— Ale dlaczego? Co w tym złego?

— Rób, co każę — odrzekł Duff.

Jay wyciągnął ręce przed siebie i spojrzał na ojca spod oka.

— Usiądź porządnie! — krzyknął Duff.

— To znaczy jak? Nie wiem, jak to jest porządnie!

— Więc cię nauczę. Potrzebne ci porządne lanie.

— Nieprawda! — krzyknął Jay i zaczął płakać.

— Chodź, Jay — powiedziała panna Castle, wzięła go za rękę

i wyprowadziła z pokoju.

— Naprawdę, Jake, on nie chce być niegrzeczny — odezwała się

Reggie. — Tylko że...

— Mogłabyś łaskawie nie usprawiedliwiać przede mną mojego

własnego syna? — rzucił, odsuwając krzesło. — Wiem dokładnie, co

się stało z Jayem.

To wszystko twoja wina, pomyślał. Był kiedyś bardzo grzecznym dzieckiem, tak mówili obcy ludzie. Ty go zachęcasz do siedzenia ze służbą, wysyłasz go do garażu, do Nolana.

Muszę się pozbyć Reggie, pomyślał.

30

Nie spodobała mu się ta myśl w tak ostrej formie. Chodziło mi o separację. W żaden sposób do siebie nie pasujemy i dziecku to również nie służy. Ona zresztą pewnie też nie jest szczególnie szczęśliwa. Może gdybym zaproponował jednak separację, zgodziłaby się. Ale ciotka Lou zrobiłaby mi za to piekło. Daj Reggie szansę. Biedna dziewczyna i tym podobne. Ona nic nie rozumie.

No cóż, muszę przejść przez to w ten nieprzyjemny sposób, pomyślał. Plan ułożony zeszłej nocy był mu naprawdę wstrętny. Takich rzeczy nie robi gentleman, pomyślał. Ale co innego mi pozostało? W jej pokoju nie byłem już blisko dwa miesiące... a jej to chyba nie przeszkadza. Nigdy nikogo tu nie zapraszam. Nigdy nigdzie jej nie zabieram. Gdyby nie była tak cholernie głupia i pospolita, zauważyłaby... A zresztą, może i zauważyła. To w końcu wygodne życie, dużo pieniędzy, dużo strojów. Pani Duff...

Nienawidził tego domu i z radością z niego wyszedł, ale biura też nienawidził.

— Wychodzę na filiżankę kawy — powiedział o jedenastej do

panny Fuller.

Tym razem poszedł do innego baru, żeby to wymykanie się na drinka nie wyglądało na codzienny rytuał. W tym barze spotkał znajomego, Sammy'ego Poole'a.

— Cześć! — rzucił niezmiernie zaskoczony. — Co ty tutaj robisz

o tej porze?

— Och, przychodzę tu co rano — odparł Sammy.

Nie wydawał się tym wcale zakłopotany. Wyglądał na zdrowego, grał w golfa, chodził na siłownię i tak dalej. Duff nie usprawiedliwiał się, jak miał to zamiar zrobić. Jeśli Sammy uznaje to za coś normalnego, to i lepiej. Wypił dwa drinki, tylko dwa. Tego limitu nigdy nie przekraczał. Potem wrócił do biura.

Nie wiem, pomyślał. Może w ogóle przestanę jadać obiady. Na pewno schudnę, jeśli nie będę jadł w południe.

Podyktował jakieś listy, przyjął dwoje czy troje interesantów i po-rozmawiał z Hanburym.

— Panie Duff— odezwała się panna Fuller — czy mogłabym te-
raz iść na obiad? Jest już po drugiej.

— Och, oczywiście, oczywiście! — powiedział. — Niech pani
idzie. Nie zdawałem sobie sprawy, która jest godzina.

31

Kiedy wyszła, nie miał nic do roboty i znów poczuł się niedobrze. Poszedł do pobliskiego baru i to go przygnębiło. Nie mogę ciągle biegać po barach, pomyślał. To nie wygląda dobrze. Muszę mieć coś w biurze na wypadek, gdybym potrzebował. Wielu facetów tak robi. Tylko że u mnie ciągle jest panna Fuller.

Poczuł się trochę lepiej, kiedy wrócił. O czwartej zadzwonił do Vermilyea.

— Jeśli nie chcesz, to odmów, stary — powiedział — ale mam pe-
wien plan. Moja żona pojechała do naszego domku nad morzem
i chcę się do niej przyłączyć. A ci z garażu powiedzieli, że nie mogą mi
wypożyczyć samochodu. Nie mogą albo nie chcą. Pociągiem to byłaby
okropna podróż, z dwiema przesiadkami, więc pomyślałem, że
gdybyś miał dość benzyny, może byś mnie podwiózł i został na noc.

— Bardzo chętnie, Duff — odparł Vermilyea. — O której?

— Nie mogę się wyrwać wcześniej. Mam mnóstwo roboty. Może
o siódmej?

— Z dworca centralnego odchodzi pociąg o szóstej dwadzieścia

— powiedział Vermilyea. — Może ten będzie ci pasował? Mógłbym na

ciebie czekać na stacji Vandenbrinck.

— Świetnie! Idealnie! — odparł Duff. — Bardzo mi pomogłeś,
Vermilyea.

Potem zadzwonił do domku: — Przykro mi, Reggie, ale coś mi właśnie wypadło. Przyjeżdża jeden facet z Waszyngtonu i muszę po-czekać. Wezmę tu na noc pokój w hotelu, a dojadę jutro rano.

— Och, tak mi przykro, Jake!

— Powiedz Nolanowi, żeby został — rzucił. — Nie chcę, żebyś
tam siedziała sama.

— Dobrze, Jake — odparła. — Trzymaj się. Zobaczymy się jutro.

Coraz bardziej mu się ten plan nie podobał. Jeśli Reggie będzie się
odpowiednio zachowywała, nic się nie stanie, pomyślał. A jeśli nie... nie powinienem mieć żadnych
wyrzutów sumienia.

Znał Reggie bardzo dobrze i wiedział, że zachowa się tak, iż będzie to wyglądało podejrzanie. Na pewno
zrobi coś, co zaszokuje Vermilyea, bo ona nie ma godności, nie wie, co to dyskrecja.

W jego głowie zaczęły pojawiać się obrazy. A gdyby zastali Nola-na i Reggie siedzących na schodach
domu, gawędzących i śmiejących się?

32

Może będą popijali coś mocniejszego? Wyobraził sobie, jak opowiada o tym ciotce Albany. Powiedziałyby
jej: „Teraz chyba rozumiesz, jak się czułem, kiedy przyjechałem z moim kolegą, Vermilyea'em, a moja
żona i szofer...”

Gdyby się kochali... pomyślał. Nieważne, co tam zastanę, nie powinienem tego wykorzystać.
Powinienem jednak wziąć z nią rozwód i zadbać o jej utrzymanie. Tak naprawdę, ja tylko chcę, żeby
wszyscy zrozumieli, jaka ona jest. Wszyscy, a zwłaszcza ciotka Lou.

Vermilyea czekał na niego na stacji Vandenbrinck.

— Wyglądasz nieszczególnie, Duff — zauważył.

— Jestem zmęczony jak pies — odparł Duff.

— Zdrzemnij się po drodze — orzekł Vermilyea. — Noc jest taka
ładna po deszczu.

Duff oparł się wygodnie w ciemnym samochodzie i zamknął oczy. Nie ma lepszego świadka niż Vermilyea, człowiek honoru, gentle-man, który zrozumie ukryte znaczenie tego, co zobaczy. Pani Duff siedząca z szoferem na schodach, popijająca z nim, jego dłoń na jej ramieniu...

To było gorsze niż przypuszczałem. Na trawniku przed domem była karuzela. Reggie siedziała na czarnym koniu, a Nolan za nią, obejmując ją w pasie. Kręcili się w koło i śmiali. Muzyka grała bardzo głośno. Na szczęście była z nim ciotka Lou i widziała na własne oczy, co się działo.

— Cała dzieńnica o tym mówi — tłumaczył ciotce — ale ona się tym nie przejmuje...

Otworzył oczy i zauważył, że są już w samej wiosce. Radio gdzieś głośno grało.

— Och, posłuchaj, Vermilyea! — powiedział Duff. — Może byśmy się cofnęli trochę? Chciałbym się zatrzymać w monopolowym.

Nie mam nic w domu...

Mężczyzna ze sklepu znał go dobrze z czasów, kiedy przychodził tu z Helen.

— Wcześniej pan przyjechał — rzekł. — Jeszcze nikogo w tym sezonie tu nie ma.

— Ciężko pracowałem — wyjaśnił Duff — i potrzebowałem trochę morskiego powietrza.

— To najlepsze lekarstwo — przyznał sprzedawca.

oo

— Może kupię trochę na zapas. Dwie butelki żytniówki... i jeszcze dwie butelki ginu. Sporo osób lubi gin, martini, Toma Collinsa i tym podobne. Ja osobiście nie lubię ginu.

Zastanawiał się, dlaczego to powiedział i w ogóle dlaczego tak dużo mówił. To pewnie dlatego, że jestem tym wszystkim przygnębiony, pomyślał. Wrócił do samochodu z wielką papierową torbą, a Vermilyea ruszył dalej. Jechali ulicą Nadmorską, skąd widać było morze, blade pod rozgwieżdżonym niebem. Kilka metrów poniżej drogi stał solidny, wygodny, niewielki bungalow z widokiem na ocean. Zawsze z Helen nazywali go „daczą”. Był to jedyny oświetlony dom w okolicy.

— Mam nadzieję, że Reggie otrzymała mój telegram — powie-

dział Duff. — Nie mogłem się dodzwonić, więc wysłałem jej telegram, że przyjeżdżamy.

— Liczmy, żę dotarł — odrzekł Vermilyea. — Nie chciałbym sprawić pani Duff kłopotu.

— Lepiej zatrzymaj tutaj samochód. Nolan wprowadzi go do garażu. To dość stroma i niebezpieczna droga.

Vermilyea zaparkował wóz przy drodze, a Duff poprowadził go w dół po drewnianych schodach na plażę. Miał międdde kolana. Było mu zimno i czuł się podle. A jeśli natkniemy się na coś... oburzające-go? A jeśli Nolan jest w jej pokoju? Cóż, uspokajał się, Vermilyea nigdy nic nie powie. Nikt inny się nie dowie.

Wszedł po trzech stopniach wiodących na werandę i zajął przez okno do salonu. Nolan w samej koszuli grzebał coś przy radiu, trzy-mając papierosa w kąciku ust. Reggie siedziała w wiklinowym fotelu, z Jayem na kolanach.

Rozdział szósty

Och, cześć, Jake! — krzyknęła Reggie. — Witam, panie Vermilyea!

— Witam! — odparł ten z szerokim uśmiechem.

— Nolan, wstaw samochód naszego gościa do garażu — powiedział Duff. — Jay, już sporo czasu temu powinienes być w łóżku. Co w ogóle tu robi dziecko, Reggie?

— Cóż, chciał jechać — odparła.

34

Duff walczył ze wzbierającą agresją, nad którą zupełnie nie potrafił zapanować. Był wściekły na Nolana, który leniwie wkładał marynarkę, na Reggie w jej czarnej sukience i na Jaya.

— Idź natychmiast spać, Jay — rzucił.

— Muszę go przenieść do pokoju gościnnego, Jake — powiedziała Reggie. — Nie wiedziałam, że przyjeżdżasz i chciałam go położyć ze mną w sypialni.

— Nie dostałaś mojego telegramu?

— Cóż, nie. Ja po prostu...

— Nie zmieniaj mu już łóżka — powiedział Duff. — Będę spał w pokoju z Vermilyea'em. Połóż go tylko już spać.

Prawie krzyczał, a wiedział, że to niedobrze. Musiał wziąć się w garść.

— Siadaj, Vermilyea — rzekł już grzeczniej. — Siadaj! Siadaj!

Napijemy się. Co wolisz, gin czy żytniówkę?

— Proszę żytniówkę, Duff.

— Ja też nie lubię ginu — rzucił Duff.

Nie musiał ciągle tego powtarzać. Poszedł do kuchni, ale w lodówce nie było lodu ani wody sodowej. Otworzył butelkę ginu i nalał sobie do szklanki, a potem włożył butelkę z powrotem do papierowej torby. Później otworzył butelkę żytniówki, wziął dwie szklanki i za-niósł do salonu.

— Przykro mi, stary, ale nie ma lodu ani wody sodowej.

— To mi nie przeszkadza — odparł Vermilyea.

— Przyniosę zwykłą wodę — zaoferował się Duff i wrócił do kuchni, wypił gin i opłukał szklankę.

— Papierosa, stary?

— Mam swoje, Duff. W tych czasach są na wagę złota.

— Ależ proszę! Weź mojego! — nalegał Duff. — Na razie mam sporo. Moja ciotka dała mi w zeszłym tygodniu dwa kartony. To nie-zwykła kobieta.

— Tak, słyszałem. Znają ją Roger i Elly Pendleton.

— Niezwykła kobieta — powtórzył Duff. — Ma sześćdziesiąt pięć lat, ale wciąż jest nadzwyczajna. Często mówiła mi o tym, jak to bywa-ła na polowaniach ze swoim mężem. I wiesz co, wydaje mi się, że je-szcze dziś mogłaby się na nie wybrać! A kiedy byłem dzieckiem, naj-

bardziej lubiłem, gdy ona przychodziła po mnie do szkoły. Przywozi-

35

ła mi wtedy prezenty, pamiątki z Afryki, Indii i zewsząd, gdzie była. Opowiadała mi historie ciekawsze niż jakakolwiek książka, którą przeczytałem. Przychodziły też zaraz inne dzieci. To wspinała ko-bieta. Nad wyraz wspinała.

— To bardzo ciekawe, Duff.

Duff opowiedział mu historię o pani Albany i nosorożcu.

— No, niech skonam! — rzucił Vermilyea.

— Mój wuj mawiał, że w tarapatach wolął mieć przy sobie ją niż jakiegokolwiek mężczyznę, którego znał.

— To z pewnością wspinały komplement — stwierdził Vermilyea.

— Tak, a na dodatek to prawda. Jeszcze kieliszeczek, stary?

— Ale mały, Duff. A ty nie pijesz?

— No, nie — odparł Duff. — Jeśli mam być szczerzy, kiedy wypiję przed pójściem do łóżka, nie mogę wtedy zasnąć.

— Ze mną jest odwrotnie — odparł poważnie Vermilyea. — Ja zasypiam, kiedy tylko głowa dotknie poduszki, ale jeśli kiedyś się zdarzy, że nie mogę zasnąć, kropelka whisky zawsze mi pomoże.

— Masz szczęście — stwierdził Duff.

Czekał, aż wróci Reggie. Przynajmniej jest chyba na tyle dobrze wychowana, że powie Vermilyea'owi dobranoc, pomyślał. Ale nadeszła jedenasta i Vermilyea zaczął dyskretnie ziewać.

— Położymy się? — zapytał.

Z torby podróżnej Vermilyea wyjął piżamę, szlafrok i ranne pantofle, parę kosmetyków, maszynkę do golenia, wszystko najlepszej jakości, absolutnie doskonałe. Boże, co za ulga być z dala od Reggie z jej tandetnymi rzeczami porozrzucanymi dookoła!

Vermilyea po chwili już spał, oddychając spokojnie w swoim łóżku w ciemnym pokoju. Ciekawe, co sądził o tej rodzinnej scenie? Pa- ni Duff i szofer w samej koszuli z papierosem w ustach.

Dlaczego przywiozła ze sobą dziecko? Zastanawiał się nad tym, a złość w nim rosta i rosła. Ona go zepsuje. Zachęca go cały czas do przebywania ze służbą. Bóg jeden wie, czego on się nauczy.

Po jakimś czasie wstał i bosy poszedł do kuchni. Nalał sobie ginu, i to sporo. Muszę się trochę przespać, pomyślał.

Wrócił do łóżka i teraz mógł zasnąć, oddychając świeżym powietrzem z morza.

36

Kiedy się obudził rano, łóżko Vermilyea było puste. Usłyszał głosy. Śmiech Jaya i Reggie. Ona nastawia dziecko przeciwko mnie, pomyślał. Kiedy Helen żyła, biegł, żeby się ze mną przywitać, jak tylko przekroczyłem próg domu. Tylko cztery lata minęły od śmierci Helen. Nie czuję tego wcale. Ciotka Lou mogła powstrzymać mnie przed tym fatalnym drugim małżeństwem. Po raz pierwszy w życiu kogoś źle oceniła.

Było mu niedobrze. Czuł się chory, ale tego się spodziewał. Głupio zrobił, że nie przyniósł sobie tu wczoraj butelki. Teraz, jeśli ktoś jest w kuchni, nie będzie mógł się napić.

Ależ mogę, pomyślał. Wstał z łóżka i włożył szlafrok i kapcie. Poszedł prosto do kuchni. W jadalni Reggie, Vermilyea i Jay siedzieli przy stole.

— Dzień dobry wszystkim! — powiedział Duff.

— Jay! — rzuciła Reggie, nerwowo naśladując pannę Castle, na co Jay wstał.

Pani Duff przygotowała nam wspaniałe śniadanie — orzekł Vermilyea. — Wspaniałe. Żałuję tylko, że nie mam więcej czasu. Nie wiadomo po co, ale muszę zjawić się w biurze bardzo wcześnie.

Wielka, papierowa torba stała na ladzie kuchennej. Duff wziął ją i zaniósł do sypialni. Nic nie wyjaśniał. Nie musiał wyjaśniać. Nalał sobie sporą porcję ginu i postawił na toaletce, kiedy wszedł Vermilyea po swoją torbę.

— Dobrze się bawiłem, Duff — powiedział. — Jesteś szczęściarzem.

— Och, tak! — potwierdził.

Kiedy tylko zniknął Vermilyea, w drzwiach stanęła Reggie.

- Tak? — zawołał wzdychając.
- Chciałam tylko wiedzieć, czy chcesz parówki, Jake — powiedziała.
- Nie, dziękuję, nie powinienem.
- Jake — zaczęła — teraz, kiedy jesteśmy tu razem... kiedy mamy trochę czasu dla siebie... nie moglibyśmy porozmawiać poważnie?
- O czym? — zapytał.
- O tym, co między nami zaszło.

Nigdy wcześniej nie przejęła inicjatywy, nigdy go o nic nie pytała. Nie był na to przygotowany i nie wiedział, czy chce jej odpowiedzieć.

37

- Obawiam się, że mam niewiele czasu — odrzekł. — Muszę dziś rano wracać do biura.
 - Och, myślałam, że zostaniemy tu do niedzieli. Tak powiedziałam Jayowi. Będzie rozczarowany, biedny maluch.
 - Przykro mi — rzucił pośpiesznie.
- Dlaczego sobie nie poszła? Najwyraźniej była zdenerwowana. Jedną ręką skubała sukienkę, a policzki miała zaczerwienione. Nie patrzyła na niego. Ma coś na sumieniu, pomyślał.
- Jake... — zaczęła znów. — Jake, kochanie, co się stało?
 - O co ci chodzi? O czym ty mówisz?
 - Wszystko się skończyło. Wszystko jest między nami nie tak — powiedziała, a na jej policzkach pojawiły się łzy. — Na pewno każde małżeństwo ma swoje wzloty i upadła, ale sądziłam, że wyjaśnimy nasze sprawy, jeśli uda nam się spokojnie porozmawiać.
 - Moja droga — rzekł — to nie jest odpowiedni czas. Nie wypi-

tem nawet filiżanki kawy i... — przerwał. — Nie czuję się za dobrze — dodał.

— Wiedziałaś! — krzyknęła. — Już wcześniej wydawało mi się, że jesteś jakiś dziwny.

— Taktownie to ujęłaś — zakpił.

— Nie chciałam być nietaktowna, ale...

— Nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli odłożymy to na później? — zapytał. — Chciałbym się ubrać i wypić kawę.

Wyszła, a on skończył się ubierać i w pośpiechu wypił swojego drinka. Ale zamiast pójść do jadalni, wyszedł z domu i skierował się do garażu. Drzwi były otwarte, a Nolan stał i palił papierosa.

— Dzień dobry panu — rzekł pośpiesznie.

— Dzień dobry — odpowiedział Duff. — Wyjeżdżamy za godzinę. Kiedy nas odwieziesz do domu, zapłacę, ile jesteście ci winni, i możesz odejść.

— A to dlaczego? — zapytał Nolan z zaciekawieniem.

— Nie podobają mi się twoje maniery — powiedział Duff. — Nie podoba mi się, że znajduję szofera w salonie bez marynarki, palącego papierosa.

Nolan zaciągnął się.

— Wiedziałem, że chce pan nas wrobić — odparł.

Duff spiął się, jakby otrzymał cios.

38

— O czym ty mówisz? — zapytał.

— Nie jestem naiwny — powiedział Nolan. — Próbował pan wrobić mnie i pańską żonę.

- Cicho bądź! Jasne?
- Na razie będę cicho — odrzekł Nolan.

Rozdział siódmy

Nolan będzie mnie szantażował, pomyślał Duff. Albo przynajmniej spróbuje. Ale nic nie może udowodnić. Nie udowodni przecież, że nie wysłałem telegramu do Reggie i innych spraw też nie. Ale ja nie chcę, żeby podsuwał Reggie jakieś pomysły.

Na samą myśl o tym pocił się ze strachu. Gdyby Reggie zwróciła się przeciwko niemu, oskarżyła go o ten pożałowania godny postępek... Nie zniósłbym tego, pomyślał. To był błąd. Żałuję, że w ogóle próbowałem coś takiego zrobić. To do mnie niepodobne.

A gdyby Vermilyea wiedział... No dobrze, pomyślał Duff. Jest mi przykro. To był zły pomysł, coś, czego gentleman nigdy by nie zrobił i nawet by o tym nie pomyślał. Ale nie sądzę, żeby Vermilyea mógł się kiedykolwiek dowiedzieć. Kto by mu powiedział? Zresztą, i tak by w to nie uwierzył.

Ale Reggie mogłaby uwierzyć, gdyby Nolan jej powiedział. Ona i Nolan, bez wątpienia, mówili tym samym językiem. Bardzo możliwe, że znali oboje takie przypadki: podejrzliwy mąż przyjeżdża do domu, choć zdecydowanie powiedział, że nie wróci na noc. To takie prostackie. Jak mogłem to zrobić?

- Czy kawa jest dobra, Jake? — zapytała.
- Bardzo dobra, naprawdę bardzo dobra.

Była wyraźnie zadowolona.

— Bardzo się cieszę, że ci smakuje, Jake — powiedziała. — Naprawdę sądzę, że mogłabym być całkiem dobrą kucharką. Wiem, że by mi się to spodobało. Bo przed poślubieniem ciebie, w tym małym mieszkanku jakoś nie miałam okazji o to zadbać:

- Oczywiście. Będziesz gotowa za pół godziny?
- Tylko umyję naczynia, Jake.

— Nie martw się o to. Pani Anderson przychodzi raz w tygodniu, żeby przewietrzyć mieszkanie. Ona się nimi zajmie.

— Szczerze mówiąc, Jake, wolałabym to zrobić sama — powiedziała. — Nie chciałabym wyjechać i zostawić brudnych naczyń. To zajmie tylko chwilę.

— Cóż, jeśli wolisz... — rzekł, a jego zgodliwy ton wywołał na jej ustach szeroki, olśniewający uśmiech.

Będę się inaczej zachowywał, pomyślał. Nie będę się tak łatwo irytował. A jeśli Nolan spróbuje jej coś sugerować, na pewno mu nie uwierzy. Zresztą, nie próbowałem ich zrobić. Po prostu chciałem sprawdzić, czy ten jegomość nie zachowuje się zbyt familiarnie, zbyt swobodnie, kiedy mnie nie ma w pobliżu. No i zobaczyłem.

Poszedł do sypialni, żeby się spakować, a kiedy sięgnął po butelkę z papierowej torby, zmarszczył brwi na widok niewielkiej ilości ginu, która w niej została po wczorajszej nocy. Oczywiście, to cholerstwo wyparowuje, pomyślał, ale mimo to za dużo wypilem. Muszę się ograniczać.

Reggie wciąż była w kuchni, a Jay z nią. Wycierał naczynia.

— Żołnierze wycierają naczynia! — krzyknął Jay. — Reggie jest frontową pielęgniarką, a ja żołnierzem.

Duffowi nie podobało się, że dziecko nazywają Reggie, ale nigdy nie znalazł rozsądnego zwrotu, którym mały mógłby ją nazywać. Nie podobało mu się też, że Jay wyciera naczynia. Zresztą cała atmosfera tej scenki była nieprzyjemna. Kiedy przyjeżdżali tu z Helen, zawsze przywozili służącą. Oczywiście wszystko było po domowemu, ale nie tak.

— Prawie skończyłam, Jake — powiedziała. — Chcę tutaj, ile się da, zostawić czyste i sprzątnięte.

— Rozumiem! Reggie... Wiesz, pomyślałem, że skończę pracę wcześniej, więc może pojechałabyś ze mną do miasta pociągiem, a Nolan zawiezie Jaya do domu. Ty zrobiłabyś zakupy, a potem spotkalibyśmy się gdzieś na obiedzie?

— Och, bardzo chętnie! — powiedziała Reggie.

— Ja też chcę jechać do Nowego Jorku — wtrącił Jay.

— Nie dziś — odparł Duff.

— Przywiozę ci niespodziankę — obiecała dziecku Reggie i mały

wydawał się zadowolony.

40

Nolan zawiózł ich na stację i wsiedli do pociągu.

— Chcę z tobą pomówić na temat Nolana, Reggie — powiedział potem Duff. — Nie wiesz, jaki bezczelny jest ten człowiek.

— Naprawdę, nigdy nic nie powiedział...

— Byłem oburzony, kiedy zobaczyłem go w salonie — rzekł.

— Ale on tylko naprawiał radio. Poprosiłam go o to, Jake.

— Ale chyba nie poprosiłaś go, żeby zdjął marynarkę i zapalił papierosa, prawda?

— Cóż, nie. Ale chyba nie chciał zachowywać się zbyt poufale.

— Jego zachowanie jest dużo bardziej niż, jak ty to nazywasz, „poufałe”, moja droga. Muszę go zwolnić.

Przyglądał jej się uważnie, żeby zobaczyć, jak to przyjęła, ale nie dostrzegł żadnych emocji na jej szczupłej, delikatnej twarzy.

— Cóż — powiedziała. — Chyba znajdzie sobie szybko inną pracę.

— To mnie nie obchodzi — odpowiedział Duff. — Na pewno ode mnie nie dostanie referencji.

— Ależ, Jake, to trochę zbyt surowa kara.

— Moja droga — uciął Duff — to niebezpieczny człowiek.

— Niebezpieczny?

— Tak — ciągnął Duff. — Nie chcę wchodzić w szczegóły, ale próbował mnie szantażować.

— Och, Jake, jak on mógł! Czym?

— Nie mówmy o tym, Reggie. Na szczęście, wiedziałem, jak sobie z nim radzić.

— Ale, Jake, czym on mógłby cię szantażować?

Duff milczał przez chwilę.

— Nie powiem ci, moja droga, na razie nie — odrzekł.

— Jake, czy to dotyczyło mnie?

— Nie mam zamiaru o tym więcej rozmawiać — odparł i poklepał ją po dłoni. — Skończyłem.

— Jake, jeśli zrobiłam coś, co źle wygląda, to bardzo mi przykro.

— Nie martw się, Reggie — rzekł, przykrywając dłonią jej dłoń.

Dobrze, pomyślał. Niech teraz Nolan spróbuje jej powiedzieć o próbie wrobienia ich. Zobaczymy, dokąd go to zawiedzie.

Odprowadził Reggie do taksówki i wsiadł w inną, która zawiozła go do biura. Nadeszła jedenasta, a on z zadowoleniem stwierdził, że

41

nie odczuwa najmniejszej potrzeby wypicia drinka. Nie chciałbym z tego robić jakiegoś przyzwyczajenia, pomyślał.

Miał się spotkać z Reggie o pierwszej w hotelu w śródmieściu. Przyjechał jednak wcześniej i zatrzymał się w barze na podwójne martini. Cocktail mi nie zaszkodzi, pomyślał, zwłaszcza że będę zaraz jeść. Chociaż, gdybym jadł obiad sam, nie musiałbym się napić. Tylko że tak trudno się rozmawia z Reggie. Nie ma nic do powiedzenia. Ona nigdzie nie była, nic nie widziała...

Kiedy wszedł do restauracji, Reggie już na niego czekała. Poczuł nagłe zdziwienie na jej widok. Była niezwykle piękna i dystygowna. Miała na sobie nowy kostium, szary, podkreślający piękną linię jej ciała, niebieską bluzkę, niebieski turban z białym paskiem, który otaczał jej szerokie, kształtne czoło jak czapka. Do tego szare rękawiczki i niebieską kopertówkę. Tak ubrana, z podniesioną wysoko głową, szczupłą szyją, prostymi plecami, siedząc spokojnie i swobodnie, wyglądała naprawdę arystokratycznie.

Irytowało go to. Drażnił go też uśmiech, który pojawił się na jej twarzy, kiedy tylko go zauważyła.

- Cześć, Jake! — rzuciła. — Jak ci się podoba mój strój?
- Niezwykle ładny.
- Zadzwoiłam do ciotki Lou i pojechała ze mną na zakupy.
- Cóż, dobrze się razem spisałyście — orzekł.

Szef sali zaprowadził ich do stolika, który odpowiadał Duffowi. Wziął listę dań i studiował ją długo.

- Wybierz coś dla mnie, Jake — powiedziała. — Wiesz, co jest dobre.

- Nie ma tu nic specjalnego.

- Może byś sobie zamówił cocktail, Jake — zaproponowała. —

To ci pobudzi apetyt.

- To nie jest dobry pomysł. Nie powinno się pić w południe.
- Ale jeden raz...?

! — Dobrze — powiedział i roześmiał się wesoło. — Kelner, wy-trawne martini. Albo lepiej od razu podwójne. Niech nie biega z drugim — wyjaśnił Reggie. — Skoro ty nie pijesz, nie chcesz prze-cieź siedzieć i patrzeć, jak ja to robię.

- Och, mnie to nie przeszkadza, Jake. Ciotka Lou pytała mnie dziś, jak się mają sprawy.

42

- Jakie sprawy?
- To znaczy... czy się jakoś dogadujemy. Powiedziałam, że tak.
- Och, tak?
- Tak. Byłeś dla mnie taki miły, Jake, w tej sprawie z Nolanem...
- Nie mówiłaś chyba o tym ciotce Lou?
- Och, nie! Powiedziałam tylko, że między nami się poprawiło,

a ona była bardzo zadowolona.

— Rozumiem! — rzucił nieobecny tonem.

Dobrze zrobiłem, pomyślał. Znacznie lepiej dla wszystkich będzie, jeśli między nami zapanuje miła, przyjacielska atmosfera. Jeśli Nolan pójdzie do niej teraz z tą wydumaną opowieścią, nie uwierzy w ani jedno jego słowo. Tylko nie będę się z nią kochał.

— Reggie — powiedział. — Jeśli nie byłem ostatnio zbyt namięt-
ny, to dlatego, że nie czułem się dobrze...

Czerwone plamy pojawiły się na jej policzkach.

— Och, Jake, cóż... — zaczęła. — Małżeństwo to nie tylko... to.

To znaczy... że...

Dobry Boże, pomyślał. To odrażające! Jest jak szesnastolatka z za-konu. Nie można z nią o niczym porozmawiać.

— Powinniśmy już zamówić — rzekł. — Powiedziałem Nolano-
wi, że wrócimy pociągiem za dziesięć trzecia...

Zdrzemnął się potem chwilę w pociągu i obudził bardzo wypoczę-ty. Nolan siedział na peronie, przystojny i gotów do działania. Kiedy jechali do domu, Duff utkwił wzrok w mocnej szyi kierowcy i myślał o jego bezczelności.

— Chciałbym z tobą porozmawiać, Nolan — powiedział, kiedy
samochód się zatrzymał.

— Dobrze, proszę pana — odparł Nolan i poszedł z nim do gabi-
netu.

— Zamknij drzwi — rzucił Duff. — A teraz, zapłacę, co jesteśmy
ci winni, i możesz zniknąć.

— Dobrze, proszę pana — odparł Nolan.

— I nie dostaniesz ode mnie referencji.

— Trudno, skoro tak — rzekł Nolan.

Jego pogodny nastrój drażnił Duffa. Dziwnym trafem ta rozmowa nie szła tak, jak sobie to wyobraził.

— Co więcej — powiedział — jeśli jeszcze raz usłyszę, że powta-
rasz komuś te oszczerstwa, podejmę odpowiednie kroki.

— Jakie niby kroki? — zapytał Nolan.

— Ostrzegłem już panią Duff, więc lepiej żebyś nie próbował jej
tego powtarzać...

— Jeśli powiedziałbym komuś o tej próbie wrobienia nas, to na
pewno nie pani Duff.

Nie mogę go zapytać, komu by powiedział, ostrzegał się w myśli. Będzie wyglądało na to, że się tym
denerwuję. Ale musiał wiedzieć.

— Czyżby? — rzucił z uśmiechem pełnym politowania. — Może
pójdiesz z tym do gazet?

— Nie, do pani Albany — odparł Nolan.

To było jak uderzenie w splot słoneczny. Teraz musiał walczyć.

— Wyobrażasz sobie może, że dostaniesz pieniądze od pani Al-
bany za takie niedorzeczne kłamstwa?

— Nie mówiliśmy o żadnych pieniądzach. Chodzi o to — wyja-
śniał Nolan — że gdybym chciał powiedzieć to komuś, kto w to uwie-
rzy, wybrałbym panią Albany. Gdybym jej przedstawił fakty, zrozu-
miałaby, o co chodzi.

— Próbujesz mnie szantażować, co? Straszysz mnie, że powiesz
pani Albany...?

— Nie straszę pana i nie żądałem pieniędzy — odparł Nolan.

— Ale masz zamiar to zrobić później. To oczywiste.

— Jeśli mam być szczery — ciągnął Nolan — nigdy nie przyszło
mi to do głowy, póki pan o tym nie wspomniał. Dla mnie ta cała spra-

wa jest dość śmieszna.

— Śmieszna?

— Komiczna. To takie cholernie prymitywne, kazać mi zostać z żoną, póld pan nie przyjedzie, a potem zadzwonić, że wcale pan nie przyjedzie i nagle zjawić się z naocznym świadldem. A na koniec znalazł pan z nami dziecko. Według mnie to śmieszne. Tak uważam.

— Jesteś bezczelny! — krzyknął Duff.

— Możliwe — odparł swobodnie Nolan.

Duff nie miał pomysłu, jak sobie radzić z jego zachowaniem. Nie wysuwał żadnych żądań, żadnych oskarżeń, którym mógłby zaprzeczyć, nic, z czym można by walczyć.

44

— Wypiszę ci czek — powiedział. — Ale pamiętaj, jeśli usłyszę znów te twoje kłamstwa...

Nolan nic nie odpowiedział. Nie uśmiechnął się. Nic nie dało się wyczytać z jego oblicza. Wziął czek, który podał mu Duff.

— Dziękuję — powiedział i odwrócił się.

I gdzie się wybierał? Co miał zamiar zrobić?

Jeśli pójdzie z tą historyjką do ciotki Lou, ona to z nim krótko załatwi. Pani Albany nie cierpi słuhać plotek służby.

Nie...! — powiedział do siebie w duchu, czując straszliwy ciężar w sercu. Ona mu uwierzy.

Czuł to przez skórę. Ciotka była wobec niego lojalna, uwielbiała go, ale bardziej niż ktokolwiek inny znała jego słabości i możliwości. Gdyby usłyszała o tym, gdyby podano jej wszystkie fakty, uwierzyła-by i już zawsze by nim pogardzała.

Nie mógł sobie wyobrazić większego nieszczęścia niż utrata jej przychylności. Ona była jego sumieniem. Jeśli powiedziała, że ma być tak, tak właśnie było, jeśli coś potępiła, musiało być złe. Od dziecinnych lat jej opinia była dla niego najważniejsza. Rodzice nie robili na nim wielkiego wrażenia. Szanował ich, był pogrążony w żalu na ich pogrzebach, ale już prawie zupełnie o nich zapomniał. To ciotka Lou zupełnie opanowała jego umysł. Ta wolna, pełna energii kobieta wciąż wracała z dżungli lub stepów. Prezenty,

które dawała mu na urodziny i na gwiazdkę, miały prawie mistyczną wartość. Ponad wszystko inne na ziemi najbardziej był dumny, że jest jej jedynym spadkobiercą.

Nie zaznał biedy w żadnym stopniu. Zawsze miał dość pieniędzy, teraz też. Nie był ekstrawagancki ani specjalnie ambitny. Jednak z pieniędzmi, które miała mu zostawić po sobie pani Albany, czekała go wielka przyszłość. Tę fortunę miał potem zostawić swojemu synowi. Ta fortuna miała z niego zrobić człowieka ważnego. Obwieścił mu to wszystko prawnik pani Albany, kiedy Duff skończył dwadzieścia jeden lat.

— Powinieneś nauczyć się inwestować — powiedział mu wtedy.

— Pewnego dnia spadnie na ciebie wielka odpowiedzialność.

Jeśli Nolan do niej pójdzie... Takiej rzeczy ciotka nigdy mi nie wybaczy. Nigdy. Zastawiłem pułapkę na własną żonę i sprowadziłem Vermilyea do domku...

45

Ale czy Nolan jej to powie? Nie wiem. Nie mogę rozgryźć tego człowieka. Ma jakiegoś asa w rękawie, to pewne. Ale jakiego? Nie postąpiłem z nim właściwie.

Poszedł do swojej sypialni i zamknął za sobą drzwi. Wyjął z torby butelkę żytniówki. Nie powinienem był go wyrzucać, pomyślał. To był wielki błąd. Nie... Należało to wszystko potraktować z humorem, wyśmiać go. Trzeba było dać mu do zrozumienia, że mam do Reggie pełne zaufanie.

Teraz jego umysł pracował jasno. Wiedział, co powinien był powiedzieć, jakie środki przedsięwziąć. Zachowałem się jak głupiec, pomyślał. Odkryłem się zupełnie. Nie mogę pozwolić, żeby ten jegomość chodził sobie wolno po świecie z talami pomysłów w głowie. Nie... powiem mu, że przemyślałem wszystko i postanowiłem pozwolić mu zostać.

Potem sam pójdę do ciotki Lou i opowiem jej o wymysłach Nola-na. Powiem jej, że zdecydowałem mimo wszystko go nie wyrzucać. Powiem jej, że omówiłem to z Reggie.

Schował butelkę i poszedł na dół. Zadzwoił po służącą.

— Powiedz Nolanowi, że chcę się z nim widzieć po kolacji —

rzekł do niej. — O wpół do dziewiątej.

Potem poszedł do salonu, gdzie panna Castle piła herbatę. Wyglądała czarująco z tymi promieniami popołudniowego słońca lśniącymi na jej gładkich włosach.

— Mogę się przyłączyć? — zapytał.

— Och, proszę! — odparła. — Zadzwoię na służbę, żeby przy-

nieśli drugą filiżankę. Miło pana widzieć w domu tak wcześnie, panie Duff. Pani Duff martwiła się już, że się pan przepracowuje. Bardzo by chciała, żeby pan poszedł do lekarza.

— Właśnie byłem — odrzekł Duff zadowolony z jej zainteresowania. — Jestem tylko trochę przemęczony.

— I nie ma pan apetytu — zauważyła panna Castle.

— Nie, nie mam — przyznał. — Ale dał mi na to tonik.

Jakże mu się to podobało! Miły, wykształcony głos, ten rytuał nalewania herbaty, spokojna pewność siebie w jej zachowaniu były balsamem na jego rany.

W pokoju robiło się ciemno, a wietrzyk wpadający przez otwarte okno wydawał się chłodniejszy.

46

— To najmiłsza pora dnia, nie sądzi pan? — zapytała panna Castle, podnosząc się.

— Tak — rzekł Duff. — Opuszcza mnie pani, panno Castle?

— Pora na kolację Jaya, a obiecałam mu jeszcze poczytać — wyjaśniła. — To go uspokaja przed snem.

Wszystko w niej było takie spokojne i przyzwoite. Zapalił potem papierosa i oparł się wygodnie na krześle, myśląc z niepokojem o kłopotach, które go czekały, o rozmowie z Nolanem, z panią Albany. I te wszystkie kłopoty mam przez Reggie. Niech to!

— Cześć, Jake! — przywitana się właśnie. — Nie chcesz zapalić światła? Jest tak ciemno.

— Nie, dziękuję.

— Wiesz, adresowałam koperty dla starszej pani Vermilyea...

— To miło — odparł.

— Chodzi o ten apel, o którym ci mówiłam, o zdrowie dzieci.

— Och, tak, to bardzo chwalebne.

Wszystko, co mówiła, męczyło go albo irytowało. Nic nas nie łączy, pomyślał.

— Starsza pani Vermilyea jest przemiła, nie sądzisz, Jake?

Starsza pani Vermilyea była żoną Charlesa Vermilyea — i to wystarczyło.

— Taak — odparł, wstając. — Pójdę na górę i przygotuję się do kolacji.

Postanowił być bardzo uprzejmy i miły dla Reggie, ale nie mógł dłużej znosić jej towarzystwa. Przy kolacji uczynił wysiłek i rozmawiał z nią. Z pomocą panny Castle poszło mu nawet dobrze. Po kolacji chciał się przygotować na rozmowę z Nolanem. Panie poszły do salonu na kawę, a on przeprosił je.

— Doktor doradził mi ograniczyć kawę na jakiś czas — wyjaśnił i poszedł na górę.

To idiotyczne, że muszę iść na górę za każdym razem, kiedy chcę się napić, pomyślał. I wygląda to dziwnie. Powinienem trzymać coś w gabinecie. Problem polegał na tym, by przenieść butelkę niepostrzeżenie. Nie mógł tak sobie iść z alkoholem w dłoni. Westchnął, wykończony tymi drażniącymi drobiazgami.

Napił się odrobinę ginu, a potem włożył butelkę do teczki, a żyłniówkę do szuflady w toaletce.

AJ

Ważne było oczywiście, jak wyjaśni pojawienie się teczki, więc stanął w drzwiach salonu i powiedział:

— Przenoszę wszystkie papiery. Pomyślałem, że w ten sposób będę musiał chodzić tylko raz.

— Całkiem logicznie — orzekła Reggie. — Chciałbyś z nami zagrać w remika?

— Jeśli skończę wcześniej — zastanawiał się. — Ale mam dziś dużo roboty.

Poszedł z teczką do gabinetu. Zostało mu tylko dziesięć minut. Postanowił powiedzieć Nolanowi, że przemyślał to wszystko i doszedł do wniosku, że to burza w szklance wody. Jesteś dobrym szoferem i dotąd byłem z ciebie bardzo zadowolony. Omówiłem to z panią Duff i ona się zgodziła... albo ją może z tego wyłączyć.

Nolan się nie śpieszył. Było już dobrze po wpół do dziewiątej. Za piętnaście dziewiąta. Zadzwoił po służącą.

- Przekazałaś Nolanowi moją wiadomość, Mary?
- Tak, proszę pana.
- Powiedziałaś mu, że ma być u mnie o wpół do dziewiątej?
- Tak, proszę pana.
- Dziękuję — powiedział po chwili, zastanawiając się, czy nie kazać jej poszukać Nolana.

O dziewiątej wpadł w nagłą furię i znów zadzwonił.

- Pobiegnij do garażu i powiedz Nolanowi, że chcę się z nim widzieć natychmiast — zwrócił się do służącej.

Nalał trochę ginu z wodą do szklanki i czekał. Niech szlag trafi te-go człowieka! On to robi naumyślnie, ale muszę się opanować. Muszę sobie z nim poradzić, to ważne.

- Nolana nie ma, proszę pana — powiedziała Mary ze zdziwieniem.
- To gdzie jest?
- Nie wiem, proszę pana. Wołałam, wołałam, aż w końcu poszłam do jego mieszkania i zobaczyłam, że zniknęły jego wszystkie ubrania, a jego samego tam nie ma.
- Dziękuję ci.

Ogarnęła go panika. Zadzwoię do ciotki Lou, pomyślał. Ostrzegę ją, że ten facet będzie chciał się z nią widzieć i opowiedzieć jej jakąś wysaną z palca historyjkę. Nie, nie mogę. Może on wcale do niej nie

48

pójdzie. Nie rozumiem... nie wiem, co robić... Nie mogę go powstrzy. mać, jeśli zechce jej powiedzieć. A ona mu uwierzy. Jej nie oszukany

Chyba już nie będę się przejmował tym, ile wypiję, pomyślał. tego wszystkiego serdecznie dość...

Rozdział ósmy

Tym razem posunąłem się za daleko, pomyślał. O Boże! To na pewno to. Mam delirium. O Boże...

Trząsł się cały, dłonie, nogi, usta. Falami nachodziły go mdłość. To musi być to... Teraz nie odważę się nawet napić. Nie w tym stanie. Zaraz chyba zacznę wrzeszczeć...

Co ja zrobię? Jak mam się teraz komuś pokazać? Przypomniał sobie, że wczoraj w nocy potknął się na schodach, a Reggie wybiegił z pokoju. Próbowała wziąć go pod ramię, pomóc mu. Może byłem dla niej niegrzeczny, pomyślał. Nie pamiętam. Potrzebuję lekarza. Ale ja mam pozwolić, żeby mnie ktoś zobaczył w takim stanie? Wolałby umrzeć. Chciałbym umrzeć.

Tracił panowanie nad sobą, rozpadał się na kawałki. Aspiryna, pomyślał i począł do łazienki. Ale po aspirynie było mu niedobrze. Poszedł z powrotem do sypialni i wyjął z szuflady toaletki butelkę żywności. Wypił łyk z butelki i zadławił się.

— O Boże — jęknął i drżącymi rękoma nalał sobie trochę

szklanki. Dodał wody i usiadł, by wypić. Jest za późno. Posunąłem się

za daleko. Teraz mi nic nie pomoże.

Nie, zastanawiał się. To zwykła reakcja psychiczna. Czuję się winny, bo Reggie widziała mnie wczoraj, kiedy byłem mocno wstawiony. Dobrze. Przyznaję się. Wstydzę się tego. Talach rzeczy gentleman nie robi. Siedzieć samemu w domu i pić, to wstyd. Przyznaję. To już się nigdy więcej nie powtórzy, koniec sprawy. Mam gigantycznego kaca, ale tak naprawdę to nie może być nic poważnego.

Ręce już mu się mniej trzęsły, usta też. Wziął zimny prysznic i ubrał się. Po tym wszystkim czuł się już całkiem dobrze. Poszedł pukać do drzwi Reggie.

— Kto tam? — zapytała.

49

— To ja.

— Och, wejź — odparła.

Miała białe nogi i bładoniebieską, satynową koszulę. Ciemne włosy spadały luźno na ramiona. Wyglądała pielenie i delikatnie jak anioł.

— Reggie — powiedział — przykro mi bardzo z powodu wczorajszego wieczoru.

— Och, to nic — odrzekła. — Martwiłam się tylko o twoje zdro-

wie.

— To drobiazg w porównaniu z moim wstydem. Chciałbym cię bardzo przeprosić, Reggie. To już się nie powtórzy.

— Jake — zaczęła — nie wstydz się, że ja wiem o takich sprawach. Wiem, że zwykle nie pijesz dużo. A jeśli raz na jakiś czas, kiedy jesteś bardzo zmęczony albo zdenerwowany, jeśli wypijesz zbyt wiele, to znaczy... — Szukała słowa. — Nie bądź zawstydzony. To nic.

Zawstydzony, pomyślał. Cóż za dobór słów. To typowe dla niej. Poldepał ją po nagim ramieniu.

— Jesteś bardzo dobra i cierpliwa, Reggie — powiedział.

— Zaraz zejść na śniadanie! — zawołała, Idedy wychodził z pokoju.

Prawie biegł po schodach z nadzieją desperata, że może uda mu się skończyć i wyjść z domu, nim ona zejdzie na dół. Panna Castle i Jay byli już przy stole. Jay wstał.

— Dzień dobry, tato.

— Dzień dobry. Dzień dobry, panno Castle.

Dziś rano ten rytuał go nie cieszył. Muszę pomyśleć, przemknęło mu przez głowę. Muszę się zastanowić. Muszę się dowiedzieć, gdzie podział się ten Nolan. Nie mogę tak dalej. A może już się widział z ciotką Lou? Cóż, jeśli tak, ona na pewno się do mnie odezwie. Ale dlaczego miałyby to robić? Nic by na tym nie zyskała. Chyba że jest po prostu mściwy. Może nienawidzi bogatych.

Do pokoju weszła Reggie i musiał poświęcić jej trochę uwagi. Mu-siał z nią porozmawiać, przynajmniej chwilę, a przecież chciał pomyśleć.

Nadjechała taksówka, którą zamówiła Mary, i Duff mógł nareszcie uciec. Czas zacząć działać, pomyślał. Nie powinienem, spodziewając się najgorszego, biernie czekać na to, co temu człowiekowi przyjdzie do głowy.

50

Kiedy dotarł do dworca centralnego, zadzwonił do pani Albany.

— Wybieram się dziś do miasta — powiedział. — Może zjedliby-

śmy razem obiad?

— Chciałabym, Jacobie, ale zabieram koło obywatelskie do muzeum. Jeśli masz czas około piątej, możemy się spotkać na herbacie.

— Spróbuję, ciociu Lou — odparł.

Był pewien, że nie usłyszała jeszcze nic od Nolana, bo ciotka nie tylko nie potrafiła udawać, ale nie miała ochoty tego robić. To sprawiło mu chwilową ulgę. Szybko jednak przypomniał sobie, że Nolan może w każdej chwili się u niej zjawić.

Zadzwoił do swojego biura i powiedział, że przyjedzie później. Poszedł do baru w dużym hotelu i zamówił podwójną żytnią. Popijając, przeglądał gazetę w poszukiwaniu czegoś, co już prawie umknęło mu z pamięci. Potrzebował informacji. Prywatnego detektywa. Porządnej agencji detektywistycznej.

Znalazł adres jednej mieszczącej się na ulicy Czterdziestej Drugiej. Dopił drinka i wyszedł zadowolony. Dowiem się, co ten człowiek zamierza, pomyślał. Ta sprawa śmierdzi. Najpierw wysuwa nieprawdopodobne oskarżenia, praktycznie zaczyna go szantażować, a potem po prostu znika.

Szedł ruchliwą ulicą w czystym, wiosennym słońcu i ogarnęło go nagłe, straszliwe poczucie samotności. Nie miał w tej okropnej sytuacji nikogo, komu mógłby się zwierzyć, żadnego przyjaciela, który by go wspomógł. Szedł sam w tak piękną pogodę do agencji detektywistycznej. Samotny Jacob Duff.

Podejrzewam, że ci ludzie mogą być groźni. Może sami są szantażystami. Bardzo ryzykuję, idąc tam, nic o nich nie wiem. Powinienem kogoś poprosić, żeby mi polecił dobrą firmę. Ale kogo? Muszę zaryzykować, to wszystko.

Ale jeśli się dowiedzą za dużo? Zaczął się pocić, usta mu drżały. Zatrzymał się i spojrzał na szybę wystawową. A jeśli znajdą Nolana i on im wszystko powie? Może... lepiej to zostawić tak jak jest.

Jednak po chwili odrzucił tę myśl. Dobry Boże, westchnął w duchu. Nie popełniłem żadnego przestępstwa. Nie mają mnie czym szantażować, nawet gdyby chcieli. Ja chcę tylko wiedzieć, gdzie jest ten Nolan. Może chcę się z nim zobaczyć, dać mu ostatnie ostrzeżenie albo i nie. Po prostu źle się czuję z myślą, że nie wiem, gdzie on jest.

51

Na tablicy informacyjnej w małym, starym budynku znalazł agencję „Zaufanie”. Czwarte piętro. Wsiadł do windy. Wewnątrz było luźno, a widoczne w nim odbicie dodało mu otuchy. Rumiana twarz, nieskazitelny, filcowy kapelusz, dobrze skrojony, jasny płaszcz i dośkonaty krawat. Wyglądał na bogatego, szanowanego, pewnego siebie i taki był. Taki właśnie był. Był Jacobem Duffem i chciał się czegoś dowiedzieć o zwolnionym służącym. Dlaczego? Nikogo to nie powinno obchodzić.

Poczekalnia była zupełnie zwyczajna, przy biurku siedziała ładna dziewczyna.

— Chciałbym się zobaczyć z... szefem — powiedział Duff.

— Tak, proszę pana — odparła dziewczyna i zaraz sięgnęła po telefon.

Zaszczębiotała do słuchawki tak szybko, że jej słowa były zupełnie niewyraźne, a głos przypominał wręcz dziwaczne kwakanie.

— Kwa, kwa, kwa — powiedziała i czekała. — Kwa, kwa, kwa — odpowiedziała i odwiesiła telefon. — Przyjmie pana pan Fearn — zwróciła się do Duffa. — Tędy, proszę.

Poszedł za nią przez krótki korytarz, zadowolony, że nie pytała go o nazwisko. Była bardzo dyskretna. Otworzyła drzwi i Duff wszedł do niewielkiego, skromnego biura, które jednak w żaden sposób nie wyglądało na podejrzaną. Człowiek siedzący przy biurku wstał. Był krępy, miał kwadratowe ramiona, bladą twarz i jasne oczy. Blond włosy uczesał z wyraźnym przedziałkiem na środku.

— Co możemy dla pana zrobić? — zapytał.

— Chcę, żebyście kogoś dla mnie namierzyli... znaleźli — poprosił się. — Chodzi o szofera, którego zwolniłem.

— Proszę usiąść — powiedział Fearn. — Proszę podać jakieś szczegóły. Pan się nazywa...?

— Duff. Jacob Duff. Ten człowiek był bezczelny, wręcz groźny.

Zwolniłem go, ale powiedziałem, że chcę się z nim zobaczyć, nim wyjedzie. Nie przyszedł. Po prostu zniknął.

— Wziął coś ze sobą?

— Własne ubrania. Nic więcej, z tego, co wiem.

— Odebrał pieniądze?

— Tak. Odebrał.

— Gotówką?

- Nie. Dałem mu czek.
- Chciałby pan, żeby go śledzić czy tylko zlokalizować?

To podsunęło Duffowi nowy pomysł.

- Chciałbym wiedzieć, co dokładnie robił, od kiedy opuścił mój dom, jeśli to możliwe.

- Jasne. A kiedy go znajdziemy, mamy go śledzić?

- Tak — odparł Duff po chwili.

- Przejdźmy więc do naszych cen... — zaczął Fearn.

Duffowi wydały się bardzo wysokie.

Potem Fearn zaczął wypytywać o Nolana, wiek, wzrost, wagę, kolor oczu i włosów, szczególne gesty, sposób chodzenia. Duff nie odpowiadał zbyt szczegółowo i wiedział o tym. Nie potrafił opisać Nola-na, choć w myślach widział go aż nazbyt wyraźnie.

- Dobrze — rzekł Fearn. — Chciałby pan, żebyśmy poinformo-wali pana telefonicznie czy nie?

- Chodzi o to, czy pocztą?

- Poczta albo wyślemy do pana naszego człowieka, kiedy tylko coś znajdziemy.

- To by było lepsze — powiedział Duff. — Do mojego biura.

Cała sprawa była znacznie łatwiejsza, niż się spodziewał. Nie musiał podawać żadnego powodu, dla którego kazał szukać Nolana. Wszystko tu było bardzo rzeczowe, jak każdy inny interes. A ten pomysł, żeby go śledzić, doskonały, pomyślał Duff. Jeśli chcę, nie ma powodu, żeby tego nie zrobić. Wypił podwójne martini, a potem jeszcze jedno małe i próbował coś zjeść, ale nie miał apetytu. Czuł się zmęczony i przygnębiony. Gdybym mógł się zdrzemnąć, pomyślał, chociaż piętnaście minut...

Zapalił papierosa, oparł się wygodnie i nie patrzył na nietknięte jedzenie na talerzu przed nim. Dziwaczna rzecz, pomyślał, ta cywilizacja, którą zbudowaliśmy. Nie ma żadnego miejsca, gdzie można by się zdrzemnąć przez piętnaście lub dwadzieścia minut. Tylko tył mi trzeba. Miałem kiepską noc. Nie wiem, o której położyłem się spać.

Senność zaczęła mu bardzo doskwierać, ale tu nie mógł zamknąć oczu. Nie w restauracji. Musiał wrócić

do biura. No bo i dlaczego, do cholery, nie miałby się tam przespać, jeśli chciał? Zastanawiał się nad tym ze złością. Muszę tak zrobić. Oczy same mi się zamykają.

53

Poszedł do swojego biura i cicho rzucił do panny Fuller:

— Nie wiem, co się ze mną dzieje. Oczy mi się zamykają.

— To wiosenne przesilenie — powiedziała. — Sama tak czasem mam.

— Tak, to chyba to — rzekł Duff, zadowolony z dziewczyny. —

Mogłaby pani dopilnować, żebym miał piętnaście lub dwadzieścia minut spokoju?

— Jasne, panie Duff— odparła z uśmiechem.

Położył zaraz nogi na biurku i ułożył się wygodnie. Zamknął ciężkie powieki...

— Panie Duff! Panie Duff!

— Och, co tam?! — krzyknął. — Prosiłem, żeby mi nie przeszkadzano przez piętnaście minut.

— Ale minęło już pół godziny, panie Duff, a jakiś mężczyzna na pana czeka. Mówi, że to sprawa osobista. Oto wizytówka.

Wizytówka była w zaklejonej kopercie. Pan Martin McGinnis. Agencja „Zaufanie”.

— Och... niech go pani wprowadzi — powiedział Duff, z rosnącym w sercu uczuciem strachu i zmieszania.

Pan McGinnis był szczupłym, wątłym, młodym człowiekiem o gęstych, czarnych brwiach, czarnych włosach i niskim czole.

— Cóż, proszę pana — zaczął. — Zlokalizowałem dla pana tego człowieka.

— Bardzo szybka robota — zdziwił się Duff.

— Tak. Nie marnowałem czasu — ciągnął McGinnis. — Znalazłem tego Nolana.

— Gdzie jest?

— Jest w sąsiedztwie, w Vandenbrinck.

— Co pan mówi? Znam moje sąsiedztwo...

— Zna pan tę drogę, która wiedzie z tyłu pana domu? Tam jest taki mały domek. On jest w tym domku. Z pana okien widać nawet to miejsce...

— Co on tam robi? — zapytał Duff.

— Pije, i to ostro — odparł krótko McGinnis. — Już trzy razy wysłał do monopolowego. Nie opuścił domu, od kiedy tam wszedł.

Duff milczał przez chwilę.

54

— Wyjadę teraz na dzień lub dwa — oznajmił w końcu. — To za-leczenie lekarza. Oto numer telefonu, pod którym mnie pan zastanie. Niech pan pilnuje Nolana i da mi znać, kiedy się ruszy...

Rozdział dziewiąty

To wykluczone, Jacobie — powiedziała pani Albany. — Chciałabym odwiedzić ciebie i Reggie, ale jest tak wiele spraw, które...

Pochyliła się nad stolikiem do kawy i położyła mu rękę na ramieniu.

— Ale to miły pomysł — dodała. — Cieszę się bardzo, że się pogodziliście. Mam nadzieję, że to oznacza powrót do normalnego życia małżeńskiego.

Jej jasnoszare oczy, czyste jak woda, pozostawały utkwione w jego twarzy, a Duff zaczerwienił się ze złości.

— Och, tak... — odparł. — Ale chodzi o to, że nie czuję się ostatnio zbyt dobrze.

- Za dużo pijesz — skwitowała pani Albany.
- Mylisz się — uciął krótko.
- Nie, nie myślę się. Wyczułam alkohol w twoim oddechu, kiedy tu dzisiaj przyszedłeś. Jesteś za gruby i opuchnięty.
- Nie czuję się ostatnio dobrze.
- Należysz do tego typu ludzi, którzy łatwo się rozpijają — ciągnęła pani Albany. — Zupełnie jak wujek Eugene. Jesteś pod wieloma względami do niego podobny. Tak łatwo się wszystkim nużysz.
- To nie zbrodnia — oburzył się Duff.
- Owszem, tak — odparła pani Albany. — Kościół tak to traktował w średniowieczu. Nikt nie ma prawa się nudzić. Jeśli nie będziesz uważał, Jacobie, jeśli nie będziesz się gimnastykował, jeśli nie będziesz żył pełnią życia, bardziej aktywnie, zaczniesz pić sam w domu. A to już początek końca.
- Dobrze więc — powiedział, wstając — skoro taką masz o mnie opinię...
- Ona również wstała.
- No już — uspokajała go. — Ja cię tylko ostrzegałam, Jacobie. Jesteś znacznie bardziej wrażliwy niż twój wujek Eugene. On się nigdy nie ożenił. Wydaje mi się, że gdyby miał taką słodką, śliczną, młodą żonę jak twoja, nigdy nie doprowadziłby się do takiego stanu. Powiem ci, co zrobię, Jacobie. Jutro wpadnę do tej waszej daczki tak wcześnie, jak tylko mi się uda. Zjemy razem obiad.
- To zbyt męcząca podróż, żeby zaraz wracać.

— Dla mnie nic nie jest męczące — powiedziała pani Albany. —

Tak zrobię, Jacobie. Pojadę pociągiem o dziewiątej i wezmę taksówkę ze stacji.

— To bardzo miło z twojej strony, cioteczko Lou.

Ale nie tego chciał. Pragnął, żeby ciotka i jego żona zostały na kilka dni w daczynie nad morzem, gdzie Nolan nie będzie mógł się z ni-mi skontaktować. Przynajmniej, póle wszystko się nie uspokoi, pomyślał.

Sama myśl, że Nolan znajduje się w jakimś małym domku tuż pod jego nosem i pije, była nie do zniesienia. Jak tylko McGinnis wyszedł z jego biura, Duff zadzwonił do Reggie.

— Posłuchaj, Reggie! — powiedział. — Udało mi się ułożyć sprawy w biurze na tyle, że mogę wziąć lalka dni wolnego. Może byśmy dziś pojechali na daczynie?

— Och, dzisiaj?

— Dlaczego nie?

— No, to znaczy, dopiero wróciliśmy, prawda? Nie mamy dość paliwa, żeby...

— Wiem. Pojedziemy pociągiem. Bądź tak dobra, spakuj moje rzeczy i zabierz je ze sobą. Spotkamy się na dworcu centralnym. Możemy zjeść wczesną kolację, a potem pojechać. Och, i nie zabieraj ze sobą Jaya.

Sądził, że uda mu się przekonać panią Albany, by pojechała z ni-mi i głęboko rozczarował się porażką. Nic nie powstrzyma Nolana przed dostaniem się do pani Albany. A jeśli ten facet pije, pomyślał Duff, będzie zupełnie bezwzględny. Bóg jeden wie, na co go stać...

Już prawie zapomniał, co takiego Nolan może zrobić. Strach przed Nolanem był niewyjaśniony, ale bardzo silny. Muszę wszystko przemyśleć, powiedział sobie. Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby się pozbyć tego człowieka raz na zawsze. Nie mogę już tak dłużej.

56

Ledwie mógł znieść widok szczęśliwej miny Reggie.

— To naprawdę urocze, Jake! — powiedziała, kiedy się spotkali.

Urocze, co?

— Jake, co to za dziwna torba?

— Kupiłem ją dzisiaj po południu. Zabieram ze sobą papiery z biura.

— Och, miałam nadzieję, że nie będziesz pracował, Jake! Myślałam, że może zrobimy sobie piknik. Ugotowałam dla nas coś dobrego, usiedlibyśmy na plaży, pospacerowali.

Nigdy sam nie wymyśliłbym czegoś gorszego, pomyślał Duff. I tak nie wiem, jak wytrzymam tyle czasu zamknięty tam z nią sam na sam.

— Jutro przyjeżdża na obiad ciotka Lou — oznajmił jej.

— Och, to miło — odparła Reggie. — To wspinała osoba, prawda?

Nie musiał odpowiadać na tak idiotyczną uwagę. Zresztą, nie czekała na odpowiedź. Zabrał ją do restauracji. Spodobała jej się tam. Smakował jej obiad, zachwycało ją dosłownie wszystko. Zupełnie nie miała poczucia krytycyzmu, w żadnej dziedzinie.

— To jak drugi miesiąc miodowy, co, Jake? — powiedziała, kiedy wsiedli do pociągu. — To znaczy, tylko ty i ja...

— Niestety, nie — odparł. — Urwałem się z biura, bo nie czuję się dobrze. Dla mnie to nie jest wyjazd dla przyjemności. Po prostu nie mogę sobie pozwolić, żeby się rozłożyć.

— Tak mi przykro, mój drogi — dodała.

Gorzko żałował, że zaproponował tę wycieczkę. Bez pani Albany nie miała sensu. Nolan i tak mógł uderzyć. Jedyne, czego dokonał, to zafundował sobie kilka koszmarne nudnych dni. Koszmar to adekwatne słowo. Pociąg też był jak z dziwnego snu, słabo oświetlony, przesiąknięty zapachem stęchlizny. Inni pasażerowie byli jacyś błdzi i beznadziejni. Zamknął oczy, żeby Reggie do niego nie mówiła, ale zdawało mu się, że czuje wyraźnie, jak biją od niej wibrujące fale energii. Siedziała cicho, ciągle jednak miał wrażenie, że wszystko w niej tętni.

Maleńka stacja była wyludniona. Nieopodal stała tylko jedna tak-sówka i to jakaś zdezelowana, jak z dziwnego obrazu.

— Czujesz zapach morza, Jake? — zapytała Reggie.

— Tak — odparł, wzdychając.

57

Na głównej ulicy małej wioski nie było nikogo. Światła paliły się tylko w dwóch sklepach.

— Wcześniej się kładą spać, prawda? — zauważyła Reggie. —

Jest dopiero około dziewiątej, a tu co?

— Ja też się wcześniej położę — odparł Duff.

— Tak. I mamy w lodówce dość jedzenia z soboty, żeby zrobić

śniadanie, a jutro wybiorę się już na zakupy. Przywiozłam ze sobą

kartki żywnościowe.

Domek wyglądał niewiarygodnie i strasznie. Białe jak kości ściany sterczały pod rozgwieżdżonym niebem.

Odgłos morza przypominał ciche dyszenie dzikiej bestii. Duff otworzył drzwi i włączył światło.

Taksówkarz postawił torby na podłodze.

-^ Dziękuję panu — powiedział, kiedy dostał napiwek.

Drzwi się za nim zamknęły.

— Mam jeszcze pracy na około pół godziny — rzucił natychmiast

Duff. — Wolałbym to zrobić od razu i mieć z głowy.

— Może chciałbyś pracować w jadalni, Jake? Tam jest stół i dobre

światło...

— Dzięki, popracuję w gościnnym — odparł.

Zamknął drzwi na Hucz i otworzył nową, małą torbę, w której z łatwością mieściły się trzy butelki zakupione dziś po południu. Na-lał sobie drinka i przekręcił lducz w zamku. Gdyby Reggie przyszła, żeby mu zawracać głowę, dziwnie by wyglądało, gdyby drzwi były zamknięte. Rozłożył papiery, które na chybił trafił zabrał z biura, wziął drinka i znów usiadł, czując mdłości. Nienawidzę tego, pomyślał.

Jesteś opuchnięty, przypomniał sobie słowa ciotki. Cóż, to możliwe. Wczoraj dość mocno popił. Ale jeśli

dzisiaj prześpi spokojnie całą noc... Już nic takiego się nie powtórzy. Wracając do Nolana...

Mysł o Nolanie go nudziła. Popijał gin, żeby jego mózg znów zaczął działać. Och, do diabła z Nolanem, pomyślał. Ludzie z agencji na pewno powiedzą mi, jeśli uda się do ciotki Lou, a wtedy podejmę odpowiednie kroki. Zrobię to, co zaplanowałem. Tak, ale co to było...? Do diabła z tym. Nic się dzisiaj w nocy nie stanie. Potrzebuję snu, długiego-go snu.

Miał ze sobą tygodnik i zaczął czytać. Zaraz poczuł się znacznie lepiej. Rano, pomyślał, jak tylko się wyśpię, kiedy odeśpię wczorajsze pijaństwo, będę w stanie sobie poradzić ze wszystkim, co nadejdzie.

58

Usłyszał pukanie do drzwi.

- Co się stało? — zawołał, chowając gazetę pod papierami.
- To ja, Jake.
- Mówiłem ci, że muszę popracować.
- Ale mówisz, że krótko, Jake. Pół godziny już dawno minęło.

Martwię się, że się nie wyśpisz.

- Poradzę sobie, dziękuję.
- Chciałbyś filiżankę kakao?
- Nie, dziękuję.

Weszła do pokoju i stanęła obok niego.

- Przyniosę ci świeżej wody — powiedziała, biorąc jego szklankę.
- Postaw to, proszę! — krzyknął. — Nie lubię, kiedy ktoś się wokół mnie kręci.

Podniosła szklankę do nosa.

- Jake! — krzyknęła.
- Odstaw to! — wrzasnął. — A teraz, jeśli możesz, zajmij się swoimi sprawami i zostaw mnie w spokoju.

— Jake... — wykrztusiła drżącym głosem. — Jake... Jak ci mogę pomóc?

— Nie chcę żadnej pomocy — odparł. — Chcę być sam.

Spojrzał na nią i napotkał jej wzrok. Patrzyli na siebie przez chwilę, a potem odwróciła się i wyszła z pokoju. Podskoczył i zamknął drzwi na klucz. Wyjął butelkę z torby. Będę pił, kiedy mi się spodoba i ile mi się spodoba, powiedział sobie w duchu. Nie znoszę jej. Ona mogłaby każdego doprowadzić do pijaństwa.

Nienawidzę jej, pomyślał.

Bywał już nią znudzony, wyczerpany, całkowicie wykończony, ale teraz to była nienawiść. No i dobrze, orzekł. Może teraz zrozumie, co się dzieje i wyniesie się. Nalał sobie jeszcze i położył się na łóżku, chciał koniecznie zasnąć i przestać myśleć. Ale serce mu waliło. Za-czął kasłać tak silnie, że musiał wstać. Muszę się przespać, nawet jeśli będę musiał wypić z tego powodu całą butelkę.

Coś było z nim nie tak, coś straszego. Może atak serca? Coś prze-rażającego... Wypił wszystko ze szklanki, ale nie pomogło. A jeśli to nie pomoże, co ma teraz zrobić?

Zadzwonił dzwonek do drzwi.

59

— Dobry Boże! — krzyknął na głos.

To było na pewno coś pilnego. Otworzył drzwi i pośpiesznie wyszedł na korytarz. Reggie stała w drzwiach w tym niebieskim, satynowym negliżu. Przeszedł obok niej i próbował odsunąć łańcuch z za-padła w drzwiach wejściowych. Dzwonek brzęczał i wibrował mu w głowie. To było coś pilnego. Coś się stało. Zdjął łańcuch i otworzył drzwi.

— Pan Duff? — usłyszał głos. — Chciałbym z panem porozmawiać.

Światło z przedpokoju ukazało Duffowi drobnego, starszego mężczyznę, z krótko przystrzyżonymi, siwymi włosami, schludnie odzianego w ciemny garnitur.

— Czego pan chce? — zapytał Duff. Serce wciąż mu biło, a złość wstrząsała całym ciałem. — Co pan sobie myśli, przychodząc tutaj o tej porze?

— Chcę z panem porozmawiać o Geraldzie — powiedział męż-

czynna.

— A kim, do diabła, jest ten Gerald?

— Gerald Nolan — objaśnił mężczyzna.

Duff wyszedł na ganek i zamknął za sobą drzwi. To nazwisko było dla niego groźne.

— Panie Duff—rzekł surowym tonem nieznajomy. — Naślad pan na Geralda policję.

— Niepodobnego!

— To na pewno był pan. Wyrzucił pan Geralda z domu... i wiem dlaczego.

— Zamknij się! — krzyknął Duff. — Wynoś się!

— Nie zamknę się. Da mi pan na piśmie, że policja ma go zostawić w spokoju, albo pana pobiję.

W świetle padającym z okna Duff zauważył szpicrutę w lewej dłoni człowieka.

— Ty przeklęty głupcze...! — rzucił rozwścieczony Duff. — Wynoś się!

— Nie! Gerald mówił mi, że już go pan próbował zrobić. Teraz przyjechała policja i wypytuje o mnie i innych. Napisze pan, co każe, albo pana pobiję.

Duff roześmiał się.

60

— Och, do diabła z tobą! — powiedział. — Nie będę się zajmował takim wariatem. Idę spać.

Odwrócił się, żeby otworzyć drzwi, kiedy szpicruta trafiła go w skroń, zadając piekący ból. Obrócił się błyskawicznie i uderzył nie-znajomego. Silny cios trafił w klatkę piersiową i sprawił, że mężczyzna spadł ze schodów aż na ziemię.

— No, może teraz się wyniesiesz! — rzucił.

Intruz usiłował podnieść się na kolana. Duff zszedł za nim po schodach. Pod kapciem poczuł szpicrutę i podniósł ją.

— Nie ujdzie ci na sucho uderzenie mnie w twarz — powiedział.

— Wstawaj!

Oświetlił ich strumień światła. To Reggie otworzyła drzwi.

— Wstawaj! — powtórzył Duff. — Wstań... jak mężczyzna!

Złapał nieznanego za ramię i podniósł na nogi. Trzymał go lewą ręką za kołnierz, a prawą uderzał raz po razie szpicrutą, byle gdzie, byle trafić.

— Teraz się wynoś! — powiedział i odwrócił się.

— Jake! — krzyknęła Reggie.

— Wracaj do domu.

— Jake, on upadł!

— Niech tam zostanie. Przeklęty wariat!

— Jake, to pan Paul...

Odsunął ją i wszedł do środka.

— Nieważne, kto to jest. Przyszedł tu... uderzył mnie w twarz...

o tutaj. Widzisz?

— Jake, muszę wyjść...

— Nigdzie nie pójdziesz — powiedział, opierając się o zamknięte drzwi.

— Jake, proszę... Muszę zobaczyć...

— To musisz obejrzeć — orzekł, pokazując na skaleczoną skroń.

— To ci wystarczy.

Ruszyła korytarzem w przeciwną stronę, ale złapał ją za ramię.

— Tylnym wyjściem też nie wyjdiesz — rzucił. — Nie wyjdiesz

z tego domu, rozumiałaś?

— Jake, muszę zobaczyć, czy nic mu się nie stało. Jake, proszę...!

Nie mogę jej uderzyć, tłumaczył sobie w duchu. Nie można uderzyć kobiety, nieważne jak bardzo się jej nienawidzi.

61 .

— Jake — powiedziała. — Błagam cię, proszę, pozwól mi wyjść i sprawdzić, czy panu Paulowi nic się nie stało.

Mówiła już spokojniej, opanowała się trochę i teraz była dla niego znacznie bardziej groźna. Teraz on się musi opanować, wyciszyć.

— Reggie — odparł — nie mogę ci pozwolić tam wyjść. Ten człowiek jest pijany.

— Nie — zaprzeczyła.

— Mówię ci, że jest pijany. Chodź tu i usiądź.

— Nie mogę. Proszę, pozwól mi wyjść.

Popchnął ją, tak łagodnie, jak tylko mógł, żeby usiadła na krześle.

— Nie bądź niemądra — powiedział. — Tego człowieka już tam nie ma.

— Pozwól mi zobaczyć...

— Nie — krzyknął. — Nie pozwalam. Dobry Boże! Przecież to jakiś pijany wariat, który przychodzi tu, uderza twojego męża w twarz, a jedyne, o czym ty myślisz, to czy mu się nic nie stało.

— Pozwól mi chociaż spojrzeć... — prosiła znów.

Złość wezbrała w nim tak silnie, że drżały mu wargi i broda. Nie-dobrze, pomyślał.

— Ja pójdę zobaczyć — rzekł. Reggie wstała. — Siadaj — rozkaż. — Zostań tam, gdzie jesteś, bo inaczej nie pójdę sprawdzić i tobie

też nie pozwolę.

Kiedy usiadła, podszedł do otwartych drzwi i wyrzwał. Zamknął zaraz drzwi i zasunął łańcuch.

- Oczywiście, że sobie poszedł — rzucił kpiącym tonem.
- Pozwól mi zobaczyć...
- Sądziysz, że kłamię?

Spojrzała na niego, a potem spuściła w dół czarne rzęsy. Twarz miała białą jak papier.

- Zrobię ci drinka — zaproponował.
- Nie chcę drinka. Ja jeszcze nigdy...
- Dobrze ci zrobi. Po tej całej bezsensownej hysterii...

Butelka żytniówki, którą otworzył, gdy był tu Vermilyea, stała w jadalni. Nalał pół szklanki, dopełnił resztę wodą i przyniósł jej.

- Nie mogę, Jake. Ja...
- Wypij! — rozkazał. — Mam już dość tych bzdur.
- Czy to jest mocne?

62

- Oczywiście, że nie. Wiem, co robię.

Przełknęła trochę i zakrztusiła się. •

- Więcej nie mogę, proszę...
- Wypij wszystko! — nakazał. — A potem, na litość boską, idź

już spać. Daj mi chwilę ciszy i spokoju.

Siedziała jakiś czas ze szklanką w dłoni, a potem zaczęła pić, po-woli, miarowo. Wyglądała, jakby piła truciznę, wiedziała, że ją to za-bije i nie dbała o to wcale. Cóż, to nie trucizna, pomyślał. Nie zaszkodzi jej. Właściwie to jej nawet dobrze zrobi.

- Teraz idź spać.
- Nie mogę—jęknęła.

Zapalił papierosa i usiadł naprzeciw niej. Wyjął chusteczkę i przyłożył do skroni. Wciąż krwawił. Widziała to, ale nic nie powiedziała. Nic ją to nie obchodzi, pomyślał. Nie zmartwiłaby się wcale, gdyby ten przeklęty wariat mnie zabił.

Siedziała tak w tej tandetnej, niebieskiej, satynowej koszuli. Była blada i nie poruszała się. Udawała, że nigdy wcześniej nie piła alkoholu, a wyłopała całą szklankę i nie skrzywiła się nawet. W pokoju było zimno, bardzo zimno. Czuł się źle, ale musiał zostać. Nie mógł jej tu zostawić, żeby otworzyła drzwi i wyrzuciła na zewnątrz. Zapalił następnego papierosa. Jak długo...?

— Pójdę się położyć... — powiedziała niewyraźnie.

Ledwie szła. Objął ją ramieniem i pomógł jej dojść do łóżka. Ułożyła się na poduszce i patrzyła na niego zamglonym wzrokiem. Po chwili już spała.

Wrócił do swego pokoju i napił się jeszcze. Wyjął latarkę z szuflady i po cichu wyszedł do przedpokoju. Nie mocował się już z łańcuchem, nie drżały mu dłonie, nie miał mętliku w głowie.

Tamtem wciąż leżał na plecach na piasku. Stojąc na ganku, Duff skierował latarkę na niego. Włosy mu lśniły jak srebro, oczy miał zamknięte, a usta lekko otwarte. Nie żyje?

Musiał zejść po schodach i sprawdzić. Ukląkł przy nim, odchylił mu płaszcz i nasłuchiwał bicia serca. Nic nie usłyszał. Podniósł dłoń nieznanego. Była chłodna i bezwolna. No i stało się, pomyślał. To oznacza policję.

To było w samoobronie, pomyślał. Co do tego nie ma wątpliwości. Reggie jest świadkiem, no i mam na twarzy to skaleczenie.

63

Ale ja nie chcę tu policji. Ten człowiek ma coś wspólnego z Nolanem. Nie chcę, żeby ta historia się wydała. Zgasił latarkę i wstał. Stał w ciemności, próbując sobie przypomnieć, o co chodziło w tej sprawie z Nolanem, ale nie udało mu się. Pamiętał tylko, że Nolan groził mu czymś strasznym, druzgocącym.

Nie, pomyślał. Pójdę do domu i zostawię go tu. Ktoś inny go znajdzie. Powiem, że nie wiedziałem, że ten człowiek tu jest. Powiem, że mi groził, że mnie uderzył, a potem poszedł sobie. Powiem, że musiał wrócić. Nie chcę być w to wplątany. Nie mógłbym stawić...

Nie umiem stawić czoła przeciwnościom. Ciotka Lou zawsze mi to powtarza. Staw czoła przeciwnościom, nieważne, czy to nosorożec, czy lew, czy wizyta u dentysty. Staw temu czoła. Jeśli stawisz czoła sprawom, masz szansę je załatwić. Jedyne, o co możesz wtedy zabiegać w życiu, czego możesz oczekiwać, to szansa, że się uda.

Dobrze, pomyślał. Mam szansę. Jeśli podejmę walkę. Ale jeśli będę siedział w domu i pozwolę sprawom toczyć się własnym torem, pozwolę policji wtrącić się do tego, pozwolę Nolanowi mówić...

Jestem zupełnie trzeźwy, pomyślał. Dzięki Bogu za to. To pewnie skutek szoku. Co by to nie było, czuję się pełen wigoru, błyskotliwy, czuję siłę, jakiej nie miałem w sobie od dawna. Zabierzemy pana Pau-la na małą wycieczkę, postanowił. Nikt go tu nie zapraszał i nikt go tu nie chce. Niech mnie szlag, jeśli dam się wplątać w jakiś skandal z po-wodu tego maniaka.

Złapał mężczyznę za nogi i zaczął go ciągnąć na plażę. Był lekki, dał się wlec bez trudu. Żadnego oporu. Jedyne problem, to pochyla-nie się nad nim tak długo. Chyba jest odpływ, bo do wody zrobiło się tak daleko. Mimo to dotarł na brzeg.

Dopiero kiedy woda dosięgnęła jego kostek, poczuł nagłe uderze-nie zimna, przykrego i kłującego. Mimo to szedł dalej tyłem, ciągnąc tego pana Paula. Gdyby nie był naprawdę martwy, pomyślał Duff, to by go na pewno obudziło. Twarz mężczyzny i siwe włosy znajdowały się już pod powierzchnią lodowatej wody. Tylko że ja chciałem, żeby unosił się na wodzie, pomyślał Duff. Chciałem, żeby ciało stąd odpły-nęło...

Duff płakał, do pasa zanurzony w lodowatej, czarnej wodzie, a ten Paul leżał na dnie i nie wypływał. Jak to było? Wypływają po trzech dniach? A może tylko ci, co stracili przytomność, pływają po po-

64

wierzchni? Albo tylko martwi? Jak to było...? O Boże! Gdybym tylko mógł go wypchnąć na jakiś prąd, który go stąd wyniesie...

Puścił kolana mężczyzny, brnął w stronę brzegu, żeby go z tyłu chwycić za ramiona. Pociągnął go głębiej. Ale nie było żadnego prą-du, tylko łagodne fale odpływu. Zaczynał sztywnieć z zimna. Woda sięgała mu do piersi. Wypłyn, rozkazywał nieboszczykowi w myśli i pociągnął go w górę, ale tamten tonął jak kamień.

Musiał go wyciągnąć. Nie mógł pozwolić, żeby wypłynął mu pod do-mem, kiedy nadejdzie przyptyw. Zrzucił kaptur i zanurzył się w zimnej wodzie. Pociągnął go za ramię. Rozejrzał się dokoła z desperacją. Tylko jedno małe światełko jego domu, gwiazdy i nieskończona ilość czarnej wody. Co mam z nim zrobić? Co mam z nim zrobić?

Nie mogę pływać w ubraniu, pomyślał, ale wiedział, że jeśli musi, potrafi to zrobić. Zaczął płynąć, ciągnąc pana Paula za ramię, póki nie zaczął dyszeć, prychać i trząść się, gdzieś na środku oceanu. Pchnął ciało i ruszył w stronę brzegu, ale siły go opuściły. Ramiona i nogi po-ruszały się bezładnie. To koniec... pomyślał. Zanurzył się pod wodę i zaczął walczyć, machał z całych sił, póki jego noga nie trafiła na pia-sek. Mimo koszmarne wysiłku i długiego czasu, nie udało mu się wypłynąć dalej niż na głębokość dwóch metrów.

Brodził do brzegu, dysząc i szczękając zębami. Powoli zaczął so-bie zdawać sprawę z faktu, że wydaje z siebie jakiś dziwny dźwięk, jęk, szloch czy coś podobnego. Musiał się powstrzymać. Wyszedł z wody, a wtedy zimny wiatr przeszył go na wylot. Światło domu by-ło niewyraźne, mglistopomarańczowe, niezmiernie dalekie i niezwy-kle samotne. Drżąc, włókł się po plaży. Był tak zmęczony, że pomagał sobie

rękoma jak małpa. Opierał dłonie o piasek.

Jeśli mnie usłyszysz... pomyślał z przerażeniem. Wszedł na schody werandy prawie na czworakach, ale nie potknął się. Otworzył drzwi. A jeśli drzwi jej sypialni są otwarte i stoi w nich bez ruchu, taka blada? Niech teraz nie wychodzi, błagał w duchu. Nie zniósłbym tego.

Woda kapiała z niego na cały przedpokój. Nieważne. Żebym tylko dotarł do pokoju, nie widząc się z nią. Niech się trzyma z daleka.

Wszedł do środka i zamknął drzwi. Niech sobie woła, niech krzyczy. Jestem bezpieczny.

65

Rozdział dziesiąty

Pukała i krzyczała:

— Jake...!

Jej głos upewnił go, że coś było nie tak. Usiadł na łóżku.

— Co się stało? — krzyknął.

— Jest już po dziewiątej — powiedziała. — Którym pociągiem przyjedzie ciotka Lou?

Słońce jasnym strumieniem wpadało do pokoju, ogarnęło butelkę ginu i sprawiło, że zaśniła jak diament. Patrzył na nią przez chwilę. Miał przyspieszony oddech. Cholernie źle się czuł, obudzony w ten sposób z głębokiego snu.

— Będzie tutaj około wpół do dziesiątej — powiedział. — Mogła-
byś zrobić kawę?

— Już gotowa — odparła.

Duff wstał z łóżka i nalał sobie drinka. Wczoraj otworzyłem drugą butelkę, pomyślał. Cóż, Bóg jeden wie, że tego potrzebowałem. Stał, pijąc, oparty jedną ręką o toaletkę. Przypomniał sobie wydarzenia ze-szłej nocy. Pozbierał mokre ubrania i cisnął je do szafy. Zamknął ją na klucz i zabrał go ze sobą. Na podłodze widniały mokre plamy. To nic, pomyślał, przecież mogłem rozlać wodę. Wstawił jedną nowo otwartą butelkę i drugą opróżnioną do torby, którą wczoraj kupił, po czym zaczął się ubierać. Muszę się wziąć w garść przy ciotce Lou, pomyślał i tak też uczynił.

Znajdą tego starego wariata wyrzuconego przez wodę na plażę. No i dobrze. To nie ma ze mną nic wspólnego. Jeśli zaczną mi zadawać pytania, powiem im po prostu prawdę. Przyszedł tu pijany. Choć

może sprawdzą, że nie był pijany. Powiem, że zachowywał się jak wariat. Zażądał pieniędzy. Zaatakował mnie i powaliłem go, a po-tem cofnąłem się do domu. Nie wiem, co on zrobił, gdzie poszedł po wszystkim. Nie wiem, kim jest. Nic o nim nie wiem.

Przyjrzał się krytycznie swojej twarzy i przygotował się do gole-
nia. Jesteś opuchnięty, przypomniał sobie znów słowa ciotki. Może trochę. Rozcięcie na skroni goiło się bardzo dobrze. Widocznie je-
stem w dobrej formie, pomyślał, wspominając wydarzenia zeszłej nocy.

66

Miał ze sobą czystą bieliznę, a świeże ubranie wisało w szafie. Mógł więc ubrać się porządnie. Znów zamknął szafę na klucz, a w środku pozostawił stertę mokrych ubrań. Później będę musiał coś z nimi zrobić, pomyślał. Oprócz nich nie istnieje nic, co mogłoby sta-
nowić dowód czy nawet podejrzenie, że wrzuciłem tego starego ma-
niaka do wody. Gdyby mi się udało odciągnąć go daleko w głąb, to by-
łoby to rozsądne rozwiązanie. Teraz, oczywiście, kiedy nadejdzie przy-
pływ, wyrzuci go na plażę. Ale to i tak lepsze, niż gdyby go znale-
źli tuż pod moim domem.

Żałował tylko, że pani Albany przyjedzie tu dzisiaj, w dniu, kiedy znajdą tego starego wariata i będą zadawać pytania. Bez niej byłoby mu łatwiej. Co więcej, ona na pewno mocno skomplikuje jego sytua-
cję. Na pewno zauważy, kiedy Duff zacznie co chwilę chodzić do swo-
jego pokoju i zamykać się na klucz. Będzie chciała wiedzieć, co za pra-
ca go tak bardzo zajmuje. Nie będzie mógł już tak otwarcie nalewać sobie ginu z wodą. Nie po wczorajszej nocy.

Gdyby tylko Reggie pilnowała własnego nosa, pomyślał w przy-
pływie złości. Nie miała prawa tu wchodzić i wachać mojej szklanki. Gdyby mnie zostawiła w spokoju, nie potrzebowałbym tyle pić.

Włożył klucz od szafy do kieszeni i rozejrzał się po pokoju. Mokre ubrania były zamknięte, więc może sobie tu węszyć, ile jej się podoba. Wyszedł z pokoju, zostawił szeroko otwarte drzwi. Ruszył w stronę kuchni, gdzie usłyszał kręcącą się Reggie.

— Dzień dobry — powiedział.

— Dzień dobry — odparła. Nie cześć?

Odwróciła się w jego stronę, stając tyłem do zlewu. Przestraszył się, kiedy zauważył, jaka jest blada. Pod oczami miała ciemne obwód-ki. Nie uśmiechała się.

— Nie czujesz się dobrze? — zapytał.

— Niezbyt — odparła.

— Dlaczego? Co się stało?

— Chyba nic takiego — zbyła go. — Zrobić ci tosty?

— Nie, dziękuję.

Nie powinna tak się zachowywać i tak okropnie wyglądać, gdy przyjedzie ciotka Lou.

— A zresztą, zrób tosty, jeśli to nie kłopot — rzekł. — Pójdę tylko po zegarek.

C.H

yj /

Musiał szybko wypić jeszcze jednego, maleńkiego drinka przed przyjazdem ciotki. Nie miał na to wcale ochoty. Zrobiło mu się niedo-brze, ale musiał wypić, zwłaszcza że Reggie tak się zachowywała. Co z nią jest? Zastanawiał się nad tym ze złością i przestachem. Przeptu-kał usta płynem i wrócił do kuchni.

— Och, dziękuję, Reggie! — powiedział. — Wygląda smakowi-
cie. A ty nic nie jesz?

— Już jadłam śniadanie, Jake, dziękuję.

— Więc posiedź ze mną, a ja zjem — poprosił.

Usiadła po drugiej stronie stołu.

— Wiesz co? — zaczął. — Wezwę taksówkę i na obiad pojedzie-
my do Idubu jachtowego. Wyglądasz na zmęczoną. Powinnaś odpo-
cząć. Nie musisz gotować.

— Dziękuję, Jake, ale ja lubię gotować.

— Powinnaś zaczerpnąć świeżego powietrza, Reggie. Trochę
słońca. Jesteś blada. O, zobacz, może trochę rózu pomoże?

— Nie mam rózu. Nigdy go nie używałam.

To znaczy, że nigdy wcześniej nie była taka blada. Co z nią jest, do cholery?

Sięgnął przez stół i poldepał ją po dłoni.

— Zdaje mi się, że oboje potrzebujemy odpoczynku i zmiany. Ja
spróbuję się tak nie irytować, Reggie. Postaram się umilić ci życie.

— Dziękuję, Jake — powiedziała ugodowo, zupełnie bez życia.

Nigdy jeszcze jej takiej nie widział. Musiał to przerwać, zanim przyje-
dzie ciotka Lou.

— Reggie — zaczął, ale było już za późno, bo przyjechała tak-
sówka.

Pani Albany ubrana była w podróżny strój, szary kostium z wyło-gami i mały, czarny kapelusik
przechylony do przodu, prawie na czo-ło. Ze swoim garbatym nosem i ciężkimi powiekami, wyglądała,
tak się zdawało Duffowi, jak Sherlock Holmes. Reggie zaprowadziła ją do sypialni, posprzątanej na jej
przyjazd. Po chwili pani Albany dołączy-ła do swojego siostrzeńca w salonie.

— Nie, dziękuję — powiedziała, kiedy zaproponował jej papiero-
sa. — Ostatnimi czasy palę tylko swoje.

Podpalił jej papierosa, a ona oparła się wygodnie i założyła kości-stą nogę na nogę.

68

— Co się z wami dzieje? — zapytała szybko.

— Ależ nic. Dlaczego tak sądzisz...?

— Oboje wyglądacie... — przerwała, szukając słowa. — Jak du-
chy. Co masz na skroni, Jacobie?

— Poślizgnąłem się.

— Piłeś? — zapytała.

— Nie — oburzył się. — Dobry Boże, ciociu Lou, zaczynasz mieć
obsesję na tym punkcie. Ubzdurałaś sobie, że jestem pijakiem.

— Nie o to mi chodziło, Jacobie. Martwię się tylko, że pijesz po-
nad miarę, a to ci szkodzi. Mam nadzieję, że nie nabrałeś nawyku,
który ostatnio panoszy się wśród ludzi. Wszyscy piją cocktail przed
obiadem. Twój wujek Fred zawsze mawiał, że nie powinno się pić
przed zmierzchem.

Ciekawe, jak mam wytrzymać? Jeśli pojedziemy do klubu jachtowego, jak mam się niezauważony wymknąć do baru?

— A jeśli się pokłóciłeś z Reggie — ciągnęła — to może dlatego, że wypięś o jednego za dużo. Od tego robisz się nerwowy, Jacobie.

Zauważyłam to już wcześniej.

— Nie pokłóciłem się z Reggie.

— Więc co się stało z tym biednym dzieckiem? — zapytała. —

Wygląda potwornie.

— Nie wiem, co z nią jest — rzucił. — I nie rozumiem, dlaczego uznająś, że to musi być moja wina.

— Jest z natury pogodna — odpowiedziała pani Albany.

Wiedział, że będzie musiał jakoś wytłumaczyć dziwne zachowanie Reggie. Powinien był sobie coś przygotować.

! — Może byśmy się przespacerowali? — zaproponował.

— Chętnie — zgodziła się pani Albany — ale weź kapelusz, Jacobie, bo słońce dość mocno świeci.

— Rzadko noszę tu kapelusz.

— A powinieneś. Jesteś mocno zbudowanym mężczyzną, masz wysokie ciśnienie i nie powinieneś wychodzić na słońce bez kapelusza.

Poszedł do pokoju po kapelusz. Była tam Reggie. Słała jego łóżko. Nie mógł otworzyć przy niej szafy.

— Reggie — powiedział — mogłabyś poszukać w jadalni mojego portfela? Chyba go tam zostawiłem.

Wyszła bez słowa, a on otworzył szafę i wyjął z niej kapelusz. Zamknął drzwiczki szafy na klucz, kiedy

wróciła.

— Nie znalazłam go — stwierdziła.

— Nieważne. Na pewno się nie zgubił. Idę tylko z ciotką Lou na spacer. Przyjdź do nas za chwilę, dobrze, Reggie? Będziemy szli drogą w górę.

— Dobrze, Jake — odparła.

— Chciałbym, żebyś się uśmiechnęła, Reggie — powiedział zachęcająco. — Bo... jest mi przykro, kiedy cię taką widzę.

— Przepraszam, Jake, ale nie mogę.

Lepiej teraz o nic nie pytać. Pani Albany czekała w salonie. Założyła swój mały kapelusik.

— Pójdziemy drogą nad morzem — zaordynowała.

— Och, nie! — rzucił Duff. — Droga na górę jest znacznie lepsza, drzewa i ta reszta.

— Wolałabym przejść się plażą.

Dobrze! Dobrze, pomyślał z wściekłością. Chodźmy więc tam, a może znajdziesz tego starego wariata. Sama się o to prosiłaś. Potem powiem: „Dobry Boże! Ależ to ten staruch, który mnie wczoraj napadł! Był pijany albo zwariował. To przez niego mam to skaleczenie na czole. Uderzył mnie szpicrutą, którą przyniósł ze sobą.”

Gdzie jest ta szpicruta? Leży na piasku przed domem? To dobry dowód rzeczowy.

No, no. Uspokój się. Dowód czego? Nie popełniłem żadnej zbrodni. Zresztą, nigdy nie zamierzałem zaprzeczać, że ten człowiek przyszedł do mego domu. Gdyby mnie ktoś zapytał, powiedziałbym, że tu był. Nie ma się czym martwić. Ale przed obiadem koniecznie muszę się napić. Po tym wszystkim, co przeszedłem wczorajszej nocy, chyba mi się należy.

— No, to teraz mi powiedz — zaczęła pani Albany.

— Co mam ci powiedzieć? — zapytał przestraszony.

— Powiedz mi, co się dzieje z Reggie.

Zapalił papierosa, umysł zaczął mu pracować. Musiał coś wymyślić. — Nie spodoba ci się to, ciociu Lou.

— No, to posłuchajmy, Jacobie.

— Dobrze więc. Zachowuje się tak, od kiedy wyrzuciłem z pracy tego Nolana.

70

— To bzdura, Jacobie!

— Wiedziałem, że to powiesz.

— Jacobie — zagadnęła po chwili. — Wydaje mi się, że sobie to wmówiłeś. Ale to nieprawda. To tylko pretekst, żebyś nie musiał być jej wierny.

— Nigdy jej nie zdradziłem — odparł krótko.

— To, co robisz, to najgorszy rodzaj niewierności — powiedziała pani Albany. — Znudziłeś się nią. Jesteś niestały, Jacobie. Gdzie są twoi przyjaciele ze szkoły i z college'u?

— Widywałem ich, kiedy mieszkałem w Nowym Jorku.

— Chodziłeś do klubu i rozmawiałeś z tymi, którzy tam akurat byli. Było ci obojętne, z kim. Nie, Jacobie. Nigdy nie udało ci się nawet utrzymać przyjaźni.

— W stosunku do ciebie nigdy nie byłem niestały — zauważył. Włożyła mu rękę pod ramię.

— To prawda — zgodziła się. — Nigdy się mną nie znudziłeś. Alę jestem coraz starsza, nie będzie mnie tu...

— Nie mów tak! — krzyknął.

— Nie ma sensu odsuwać od siebie faktów. Przecież...

Nie słuchał pozostałych słów, bo zauważył skórzany kapeć leżący na piasku. Nie był już czerwony, lecz czarny, namoknięty wodą. Tam, gdzie wypłynął kapeć, niedługo wypłynie również stary wariat, po-myślał. Przyniesie go ten sam prąd. Rozejrzał się po plaży, ale nic takiego nie zauważył. Może jednak gdzieś podryfował.

— Usiądźmy i poczekajmy na Reggie — powiedział.

Usiedli obok siebie na wielkim pniu, do połowy zakopany w piasku. Jeśli pojedziemy do klubu, pomyślał, nie wiem, jak, do cholery, uda mi się zdobyć drinka. Nie mogę od nich uciec...

— O, jest! — pani Albany zauważyła Reggie.

W granatowych spodniach wyglądała na wyższą niż była w rzeczywistości. Lekki wiatr zwał czarne włosy z jej bladej twarzy. Szła spokojnie, stanowczo. Kiedy ją obserwował, poczuł ukłucie strachu. Co właściwie wiedział o tej dziewczynie, o czym myślała, co czuła?

Zauważył, że się zatrzymała i spojrzała na coś leżącego na piasku. Wiedział, co to było. To jego kapeć.

71

Rozdział jedenasty

Zrobię na podwieczorek szkockie bułeczki — obwieściła pani Albany. — Piekę je z proszkiem do pieczenia.

— Och, chciałabym popatrzeć! — powiedziała Reggie.

— Zdążę się zdrzemnąć? — zapytał Duff. — Tylko piętnaście minut. Morskie powietrze zawsze mnie usypia.

— Możesz iść — zgodziła się pani Albany.

Zamknął drzwi na Iducz bardzo cicho i wyjął butelkę z torby, ale przez cały czas brała go złość, bo podejrzewał, że one wiedzą, co tu robi. Najprawdopodobniej rozmawiały teraz o nim po cichu, bardzo zasmucone, zastanawiając się, jak mu pomóc. Miał potworny dzień, nudny, nie do wytrzymania. Pani Albany i Reggie postanowiły nie je-chać do Idubu jachtowego i ugotować obiad w domu. Zamówiły ta-ksówkę do wsi, a pani Albany poprosiła go, żeby pojechał z nimi, do pomocy. Wrócili z wielkimi torbami, one obie rozprawiły tylko o ce-nach i kartkach najedzenie.

Od śmierci męża pani Albany żyła w hotelach. To już dziesięć lat. Ale Idedy żył, i tak spędzali większość czasu na podróżach. Mimo to staruszka wierzyła, że jest doświadczoną, doskonałą gospodynią domową i kucharką. Wszędzie potrafię przygotować mały, smaczny po-siłek, lubiła się chwalić. Na pokładzie statku, w stepie i w dżungli.

Nie wierzę, żeby ona kiedykolwiek coś takiego robiła, mówił sobie w myśli Duff, po raz pierwszy z irytacją. Wyprawy wujka Freda były zawsze w wielkim stylu. Ale jeśli ona chce tak właśnie myśleć...

Szybko przełknął drinka, odłożył butelkę z powrotem do torby, przekręcił Iducz w zamku i położył się na łóżku. Mówią, że niedobrze jest wypijać alkohol tak szybko, pomyślał. No cóż, nie robiłbym tego, gdybym

nie musiał. Wystarczyłyby dwa cocktaile dziś po południu, wypite w przyzwoity, cywilizowany sposób. Wystarczyłoby, żeby mnie nie nazywano pijakiem...

Wcale nie był śpiący. Leżał na łóżku z zamkniętymi oczyma i zastanawiał się nad całą sytuacją. Ten kapeć... pomyślał. Reggie nie mogła wiedzieć, że to mój. Nikt nie mógłby zidentyfikować kaptura w talom stanie. Chyba że tu myszkowała, żeby sprawdzić, czy moje

72

kaptury są na miejscu. Zresztą, to też by jej nic nie dało, bo szafa jest zamknięta.

Kiedy znajdą tego starego wariata...? Chciałbym, naprawdę bym chciał, żeby już go znaleźli i żeby to wszystko już się skończyło. Takie czekanie mnie denerwuje. Przyjazd tutaj to błąd, całkowita pomyłka. Nie znoszę być zamknięty w domu z Reggie.

Zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć, dlaczego właściwie tu przyjechał. To z powodu Nolana, skojarzył. Tak... Przecież luźnie z agencji cały czas mają go na oku. Ten stary wariat powiedział, że wie, dlaczego zwolniłem Nolana. To znaczy, że on już zaczął mówić. No i dobrze. Niech gada. Mam już tego po dziurki w nosie. A właściwie o czym on miałby mówić...? Och, tak, ta nedorzeczna historia, że próbowałem zrobić Reggie.

Złość zapłonęła na jego twarzy i poczuł dziwne, nieprzyjemne wrażenie, że puchnie mu głowa. To straszne, że muszę być zamieszany w takie tanie szykany, pomyślał. To do mnie niepodobne. Wszystkie te szczegóły... Moje kaptury, te mokre ubrania zamknięte w szafie. Zapakuję je w dużą torbę i wezmę do domu. Ale co potem z nimi zrobię? Dobry Boże! Muszę się zachowywać jak kryminalista, planować, ukrywać. I to tylko dlatego, że nie mogę ufać własnej żonie.

Szpicruta. Muszę się i tym zająć. Nie ma końca tym bzdurom!

— Jacobie! — zawołała pani Albany. — Pięć minut do podwieczorku!

Wstał i umył twarz zimną wodą, ale i tak pozostała ciemnoczerwona. Wciąż miał to dziwne uczucie uciskania w głowie. Brzydziła go perspektywa siedzenia z nimi, picia herbatki i te rozmowy. Gdyby mnie tylko zostawiono w spokoju, przestałbym pić. To źle wpływa na moje zdrowie.

Wziął potem jedną ze szkodach bułeczek pani Albany i kiedy zaczął jeść, ze zdziwieniem stwierdził, że jest twarda jak kamień.

— Bardzo dobre, ciociu Lou — skłamał.

— Nieprawda — zaprzeczyła, wzdychając. — Nie wyszły tak, jak trzeba.

Nastała zupełna cisza. Drażniło go to. Nie był sam zbyt gadatliwy i przyzwyczał się, że całe życie kobiety starały się podtrzymać konwersację. Ich zadaniem było nie dopuścić do takiej ciszy. Nigdy nie

73

zdarzyło się, by kobieta siedziała teraz tak jak Reggie i nawet nie próbowała podjąć rozmowy.

— Moja taksówka będzie tu za pół godziny — powiedziała pani

Albany.

— Szkoda, że nie możesz zostać dłużej — rzekł Duff.

A Reggie wciąż nic nie mówiła. Co z nią jest? Próbowałem być miły i przyjacielski, zwłaszcza dziś rano. Przeprosiłem za to, że byłem taki nerwowy. Jednak ona wciąż tylko siedzi...

Zadzwonił telefon i Reggie poszła odebrać. W przedpokoju wisiał na ścianie staromodny aparat. — To do ciebie, Jake.

— Kto to?

— Powiedział, że to sprawa osobista.

— Panie Duff? — usłyszał po chwili męski głos. — Mówi McGinnis. Osoba, która pana interesuje, nie wykonała żadnego ruchu.

Wciąż siedzi w domu i chyba pije. Ale jest coś, co mnie zdziwiło. Osoba, która wynajmuje ten dom, gdzieś znikła.

— Jak się nazywa?

— Ma jedno z tych długich, rosyjskich nazwisk, ale go nie używa.

Przedstawia się jako pan Paul. Przyszło mi do głowy, że mógłby się pan zainteresować związkiem między zamieszkaniem przez Nolana w tym domu i zniknięciem pana Paula. Mógłbym zacząć...

— Nie — zaprzeczył Duff. — Niech pan to zostawi.

— To znaczy, że mam tylko śledzić Nolana?

— Nie, to też nie. Niech pan to wszystko zostawi. Odezwę się do was jutro. Nic więcej już nie róbcie.

— Cóż... — zawahał się McGinnis. — Dobrze!

Duff odłożył słuchawkę i wrócił do salonu, oznajmiając:

— Interesy. Muszę wracać jutro do Nowego Jorku...

Przyjechała taksówka po panią Albany i Duff pomógł jej wsiąść.

Potem poszedł na plażę. Przechadzał się w nadziei, że znajdzie kapeć i go zakopie. Może nawet trafi na ciało tego starego wariata. Jednak głównym powodem spaceru była chęć oddalenia się od domu i od Reggie.

Będziemy tu teraz całkiem sami, pomyślał z obrzydzeniem, zupełnie jakby wcześniej nie bywał z nią sam. Nie wiedział, jak sobie z tym radzić. Słońce zachodziło. Wiedział, że za chwilę będzie ciemno i zo- staną tam oboje zamknięci. Wielkie nieba, chciałbym tak sobie po

74

prostu iść i już nigdy nie wrócić, pomyślał. Mój prawnik zająłby się jej dochodami. Prawdopodobnie tylko o to jej chodzi i dlatego za mnie wyszła. Nie mogło jej chodzić o pozycję społeczną czy coś w tym sty-lu. Bardzo dobrze, mogę jej dać pieniądze.

Gdybym tylko mógł się jej pozbyć... Przeprowadziłbym się do No-wego Jorku i uwolnił od tego podmiejskiego życia. Wtedy, gdybym miał ochotę na cocktail przed obiadem, tobym sobie go wypił bez za-mykania drzwi i ukrywania butelek. To poniżające. Przez to piję wię-cej, niż potrzebuję.

Dotarł do pnia, na którym siedział z panią Albany. Nie zauważył kaptura i niczego, co mogłoby go zmartwić. Usiadł i spoglądał na bla-de lustro wody z poczuciem wielkiej straty w sercu. Kiedyś byłem szczęśliwy, pomyślał. Teraz nie jestem. Kiedyś czułem się dobrze i by-łem taki szczęśliwy. Lubiłem wędkowanie i pływanie, a teraz nic mnie nie bawi. Nie, kiedy Reggie jest w pobliżu.

Był fizycznie zmęczony. Z wielkim wysiłkiem wstał i brnął przez piasek, z powrotem do domu, którego nienawidził, i kobiety, której się obawiał. Było już szaro, a w domu paliło się tylko jedno światło w kuchni. Podeszedł z boku i spojrzął przez okno. Zobaczył Reggie przy piekarniku, w fartuszkowi zawiązanym w pasie. Miała ten poddań-czy, potulny wygląd, który go mierzył. Helen nigdy nie pozwoliłaby, żeby ją ktoś zobaczył w kuchni w fartuszkowi, pomyślał.

Patrzył, jak wchodzi do jadalni i zapala tam światło. Zaczęła na-krywać do stołu. Będziemy jedli sami, pomyślał. Nie będziemy mieli sobie niedopowiedzenia. Cały wieczór... i jutro. I pojutrze i... jak dłu-go jeszcze?

Chcę jechać do domu, pomyślał. Wyobraził sobie, jak panna Ca-stle nalewa herbaty, taka piękna i rozmowna, taka poukładana, weso-ła, taka dojrzała. Prawdziwa kobieta, pomyślał. Chcę jechać do domu.

Nawet jeśli Nolan jest tuż za bramą? Przyszło mu do głowy, że Nolan z pewnością wie, iż staruch przyjechał tutaj. Może to właśnie Nolan go tu wysłał. Nie powinienem był odwoływać agencji, pomyślał w panice. Teraz, jeśli Nolan tu przyjedzie, nie będę nic o tym wiedział. Może właśnie jest już w drodze. Mógłby... nie wiem, 'co mógłby zrobić. Mógłby mnie oskarżyć o zabicie tego jegomościa.

Przecież go zabiłem, pomyślał z wielkim zdziwieniem. Oczywiście, to był straszny wypadek, ale go zabiłem.

Wyprostował się. I nawet się nie zawahałem, pomyślał. Ten człowiek pojawił się nagle w środku nocy, straszyl mnie, zaatakował... a ja byłem zupełnie spokojny. Podjąłem decyzję, co zrobić, by jak najlepiej załatwić, by uniknąć plotek i kłopotów. Zrobiłem, co postanowiłem. Zupełnie sam. Kiedy coś nieoczekiwanego się wydarzyło, poradziłem sobie. Nie powinienem się bać Nolana.

Stał w poświacie księżyca. Musisz stawić czoła światu, Jacobie... Dlaczego nie miałbym stawić czoła Nolanowi, zamiast przed nim uciekać? Dobrze, pomyślał. Jeśli Nolan pojawi się dziś w nocy, stawię mu czoła, tak jak temu Paulowi.

Nagle przypomniał sobie o szpicrucie. Przeszedł od frontu i znalazł zgubę leżącą w piasku. Podniósł ją i zatknął za pasek. Potem zapiął guziki marynarki. Nie zawaham się użyć jej na Nolana, jeśli będzie coś kombinował, pomyślał. Tak się trzeba rozprawać z tego typu ludźmi, zwolnionymi ze służby szantażystami.

Kiedy otworzył drzwi, Reggie zawołała do niego:

- Kolacja gotowa, Jake.
- Dziesięć minut — odparł. — Chcę się umyć.

Zamknął drzwi, otworzył szafę i wyjął torbę. Włożył do niej szpic-rutę. Dobry Boże, jakie ja wiodę życie, pomyślał, wyjmując butelkę. Przemykam się, wszystko trzymam pod kluczem...

To wina Reggie, tylko jej. Musiał się napić w pośpiechu, bo bał się pukania do drzwi. Musiał znów zamknąć torbę w szafie, otworzyć drzwi do pokoju. Nie ma końca temu otwieraniu i zamykaniu. Wszedł do jadalni, a Reggie wyszła do niego z kuchni.

Co się z nią dzieje? Dlaczego się nie uśmiecha?

- Mam nadzieję, że będzie ci to smakowało — powiedziała. —

Miałam tylko jagnięcinę, więc zrobiłam gulasz.

- To dobrze — odparł. — Problem w tym, że nie odzyskałem jeszcze apetytu. Mój tonik miał coś na to zaradzić, ale jak na razie nie

działa.

— Przykro mi — rzekła i zamilkła.

Ona myśli o tym kapciu, stwierdził. Dobrze, ale dlaczego nic nie mówi? Dlaczego nie powie: „Ten kapeć na plaży wyglądał zupełnie jak twój.” Odpowiedziałaby: „Moja droga, nie przywiozłem ze sobą kapci.” Nie może. Sama pakowała mu torbę. „Moja droga, kapcie są przecież w mojej szafie.”

76

Był teraz gotów stawić czoła wszystkim sprawom, ale co mógł zrobić, kiedy siedziała bez słowa? Zjadł trochę, a jego umysł pracował szybko.

— Obudził cię w nocy ten przeklęty pies? — zapytał.

— Nie, nic nie słyszałam — odparła.

— Mnie obudził — skarżył się. — Wył tuż pod oknem. Wstałem i rzuciłem w niego kapciem. Uciekł, ale wrócił. Więc rzuciłem w niego drugim.

— Tak?

— Najśmieszniejsze, że — ciągnął dalej — nie mam teraz obu kapci. — Spojrzał na nią, a jej ciemne rzęsy opadły w dół. Nic nie można było wyczytać z jej twarzy. — Pewnie pies je zabrał.

Czekał.

— Nie jesteś zbyt rozmowna — dodał. — To nieładnie.

— Przykro mi. Ja tylko...

— Tylko co?

— Jake — zaczęła. — Może przysłałabym tu Ellen, żeby dla ciebie gotowała?

— O czym ty mówisz?

— Ja chciałabym... wrócić do Jaya. Chcę wracać jutro.

Nie rozumiał tego, a wiedział, że powinien. To coś niebezpiecznego.

- Dlaczego? — zapytał po chwili.
- Cóż, tęsknię za Jayem...
- Nie. Dlaczego chcesz jechać?
- Ja... po prostu chcę, Jake.
- Proszę bardzo! — powiedział, odsuwając krzesło. — Proszę bardzo. Jedź do diabła, skoro tak chcesz.

Zamknięty potem w pokoju leżał na łóżku i od razu zachciało mu się spać. Obudził się ze strachem i złością na Reggie. Ona chce mnie zostawić. Dobrze. Niech sobie idzie. Niech sobie idzie do diabła.

Słyszał krzątanie w kuchni, stukanie porcelany, zgrzytanie za-mykanej szuflady. Wciąż pracowała w kuchni. Krzątała się w furtu-szku, jak służąca do wszystkiego. Niech sobie pracuje. To właśnie lubiła ta pani Duff.

Usłyszał pstryknięcie kontaktu w kuchni, kroki Reggie, zapalenie światła i powolne przejście przez korytarz do pokoju obok jego sypial-

77

ni. Drzwi się zamknęły i usłyszał przekręcanie klucza w zamku. Wyraźnie to usłyszał. Usiadł na łóżku w ciemności.

Dlaczego ona zamykała drzwi na lduć? Nigdy wcześniej tego nie robiła. Czego się bała? Aż zadrżał ze strachu.

Rozdział dwunasty

Nie mógł jej tego wybaczyć.

- O wpół do dziesiątej jest pociąg — powiedział, ldedy siedzieli przy śniadaniu. — Zadzwońię po taksówkę i zdążymy na czas.
- Obawiam się, że nie zdążę się przygotować do tego czasu.
- Ja pobieram swoje rzeczy. Ty na pewno zdążysz się spakować w ciągu godziny, prawda?
- Tak, ale zostają naczynia i...
- Moja droga — przerwał jej. — Byłbym wdzięczny, gdybyś

przestała ciągle rozmawiać o naczyniach i twojej kuchni, i takich sprawach. Nie jesteś żoną prostego robotnika.

— Dobrze, Jake — powiedziała.

Zadzwoił po taksówkę, a potem zamknął się w pokoju, otworzył szafę, gdzie na dnie leżały mokre ubrania. Musiały się zmieścić do dużej torby. Pakowanie doprowadzało go do szału. Nie nawykł do talach prac. Dawno już zgubił Iducz do walizki, więc obwiązał ją skórzanym pasdem. Najgorsze, że będąc musiał wieźć tę pustą butelkę aż do Nowego Jorku. Nie mogą bez czyjegoś komentarza wyrzucić pustej butelki we własnym domu! Kiedy zapakował walizki, zaniósł je do salonu, a tam już stała Reggie w płaszczu i kapeluszu. Torba stała obok niej. Przez otwarte drzwi zobaczył, że talerze ze śniadania wciąż stoją na stole. Co się z nią dzieje? — zastanawiał się.

Nie przejmował się już Nolanem ani tym starym wariatem. To wszystko należało do przeszłości. Wracał do domu w Vandenberg, do normalnego życia, pod jednym dachem z normalną panną Castle. Po prostu będzie ignorował Reggie, pomyślał. Przynajmniej póki nie przejdzie jej ten napad złego humoru, czy co tam jej jest.

Po drodze do Nowego Jorku prawie nie rozmawiali. Na dworcu centralnym odprowadził ją na pociąg do domu.

78

— Wróć na kolację — powiedział pośpiesznie.

Miał przed sobą niewielki, ale denerwujący problem. W małej torbie spoczywała pusta butelka, w drugiej było tylko ćwierć objętości płynu, a jeszcze jedna była pełna. Chciał kupić jeszcze dwie butelki, ale mała torba nie mieściła więcej niż trzy. Nie wiedział, jak się pozbyć dwóch pustych butelek.

Nieprawdopodobne, pomyślał. Oto jestem w wielkim mieście, w Nowym Jorku i nigdzie nie ma miejsca, gdzie mógłbym zostawić puste butelki. Przepłniony goryczą usiadł w poczekalni, marszcząc brwi.

Na Boga, zostawię je tutaj, w męskiej toalecie, postanowił i wstał. Zamknął się w ubikacji, wyjął pustą i drugą prawie pustą butelkę z małej torby. Postawił je na podłodze w kącie. Potem ogarnęła go panika. Jeśli otworzy drzwi, może spotkać się twarzą w twarz z kimś, kogo zna. Albo nawet gorzej, mógłby spotkać kogoś zupełnie nieznanego, kto rozpoznałby Jacoba Duffa i opowiadał potem wszystkim, jak Jacob Duff zostawia w toalecie męskiej na dworcu głównym puste butelki. Zupełnie jak stary pijak.

Włożył butelki z powrotem do torby i wrócił do poczekalni. Usiadł i spojrzał na zegarek. Była już prawie dwunasta. Marnują cały dzień na te przekłete bzdury, myślał z wściekłością. Powinienem zjeść obiad, a potem zobaczymy...

Zostawił w przechowalni obie torby i poszedł do baru w najbliższym hotelu. W środku był tłok. Musiał

czekać w kolejce, żeby się do-stać do baru. Poczłł mdłłłci. Ręce znów mu drżały. Kiedy w końcu znalazł miejsce, zamówił podwójną żytniówkę i wodę. Wypił wszyst-ko, ale mu nie pomogło. Strasznie małe tu robią drinki, pomyślał.

— Jeszcze jedną podwójną — powiedział do barmana.

— Czeeeeść, Duff! — usłyszał za sobą głos.

To był Vermilyea.

— Martini — rzucił do barmana, a potem zwrócił swoją poważną, męską twarz w stronę Duffa. — Przykra sprawa z tym panem Paullem, co?

— Co takiego? Nie slyszalem — odparł Duff.

Był teraz zupełnie spokojny i przygotowany na wszystko.

— No, ten biedak zniknął. Dwa dni temu wyszedł z domu, wsiadł do pociągu do Nowego Jorku i nikt go od tej pory nie widział.

79

— Nie sądzę, żebym go znał — powiedział z namysłem Duff. — Paul...? Paul?

— Masztalerz — wyjaśnił Vermilyea. — Twoja żona brała u niego lekcje jazdy konnej. Porządny, starszy gość. Mnie się wydaje, że to jeden z tych przypadków amnezji. No wiesz, zapominają, jak się nazywają i wszystko inne.

— Tak, to bardzo prawdopodobne — zgodził się Duff.

— Moja matka jest bardzo przygnębiona — ciągnął dalej Vermilyea. — Paul był w pewnym sensie jej protegowanym. Poznała go jakieś dwa czy trzy lata temu w Nowym Jorku, udzielał lekcji rosyjskie-

go, ledwie wiązał koniec z końcem. To ona wyciągnęła go do Vandenberg, znalazła mu uczniów i postawiła na nogi. Jeszcze jednego, Duff?

— Nie, dziękuję — odparł. — Jeśli mam być szczery, nieczęsto piję w ciągu dnia.

— Masz rację — przyznał Vermilyea. — Ja też nie. Nie częściej niż raz na ćwartał. Dzisiaj po prostu byłem w pobliżu i miałem sporo czasu... No wiesz, powiedziałem sekretarce, że nie będzie mnie do wpół do trzeciej. Sądziłem, że zajmie mi to więcej czasu, ale ci ludzie działają bardzo sprawnie. To był pomysł mojej matki. Powiedziała, że policjaniewystarczająco się interesuje sprawą Pauła, więc znalazła tę agencję.

— Jaką agencję? — spytał Duff.

— Zapomniałem nazwy. Zobaczyła ich reklamę w gazecie. Czeka... mam tu wizytówkę. „Zaufanie”... tak się nazywają. Na ulicy Czterdziestej Drugiej.

— Vermilyea — zaczął Duff — tak się składa, że wiem coś o tych ludziach i radzę ci nie mieć z tym nic wspólnego. Powinieneś się trzymać od nich z daleka.

— Dlaczego?

— Mój przyjaciel powiedział mi w zaufaniu, że oni szantażują swoich klientów.

— Fiu, fiu — zagwizdał Vermilyea. — Ale na pewno nie znajdą nic, czym mogliby szantażować moją matkę. W najgorszym przypadku najwyżej stracimy pieniądze, a w najlepszym może uda im się

znaleźć tego biedaka. — Dokończył drinka. — Jadłeś już obiad,

Duff?

80

— Tak — skłamał, patrząc na zegarek. — Muszę już iść. Do zobaczenia.

Wrócił na dworzec i stał w holu głównym, paląc. Tego już za wiele, myślał. Co mam zrobić? Jeśli ten McGinnis przyjedzie do Vanden-brinck...

Spokojnie. Spokojnie. To co, nawet jeśli przyjedzie? Wynająłem go do obserwowania Nolana, a Nolan przypadkiem mieszka w domu Paula. To nie robi ze mnie przestępcy. To znaczy, nie mam z tym nic wspólnego. Właściwie, dlaczego miałoby mnie to obchodzić?

Przez chwilę stał jak sparaliżowany, czując przerażającą pustkę w głowie. Czuł się zagrożony z każdej strony i miał wrażenie, że jest bezbronny. Nolan, McGinnis, Paul, nawet Vermilyea, wszyscy mu zagrozili, ale nie wiedział właściwie, w jaki sposób.

Muszę coś zjeść, pomyślał.

Kiedy zrobił krok, poczuł jak miękkie ma kolana. Nie uda mi się nawet przejść przez ulicę, pomyślał. Jest tu takie miejsce... Trzeba coś tutaj zjeść. I muszę przestać pić, bo mnie to zabije. Muszę mieć trzyżwy umysł.

Wszedł do restauracji i wpatrywał się w menu.

— Jajecznice i smażoną kiełbasę — powiedział do kelnerki. —

Tosty i kawę. Ach, i owsiankę — dodał.

— Owsiankę? — zdziwiła się. — Nie podajemy owsianki na obiad.

— Tak się składa, że to jest moje śniadanie — objaśnił Duff z robawieniem.

Zmusił się, by zjeść ile się dało i zapalił papierosa. Pojadę do domu, pomyślał. Prześlpię się w pociągu. To mi dobrze zrobi. Koniecznie muszę ograniczyć picie, ale nie zostanę bez kilku butelek, w razie gdybym potrzebował wypić kieliszeczek. Lepiej stopniowo ograniczać, niż rzucić nagle.

Naprzeciw restauracji był sdep z alkoholem. Kupił dwie butelki ginu i niósł je w papierowej torbie.

Odebrał obie torby z przechowalni i tak obciążony wszedł z powrotem do męskiej toalety. Włożył obie puste butelki do papierowej torby, a w ich miejsce wstawił pełne. Torbę zostawił w kącie. Mam w nosie, czy ktoś to zauważy, pomyślał. Powiem, że to nie moja, że nie wiem, skąd się tu wzięła.

81

Wszedł do pociągu i znalazł miejsce pod oknem, i natychmiast zamknął oczy. Nawet jeśli wsiądzie ktoś, kto go zna, to zostawi go wtedy w spokoju. W środku było gorąco, brakowało powietrza. Czuł się okropnie. Zaczynał przysypiać, a potem obudził się ze strachem, sądząc, że jego własna walizka spada mu na głowę. Ale nic się nie stało. Wszystko było na półce jak poprzednio. Mokre ubrania znajdowały się w środku.

Następny problem, następne zmartwienie. Nie mógł wysuszyć ubrania niezauważony. Mógł je zabrać do pralni, ale to by wywołało plotki. To tylko i wyłącznie wina Reggie, pomyślał. Nie mogę jej nic powierzyć. Nie mogę po prostu pójść i poprosić, żeby się zajęła tymi ubraniami. Te butelki to też jej wina. Wszystko to jej wina.

Spał jakiś czas. Obudził się zupełnie odświeżony. Okna były teraz otwarte, a do środka wlatywało rześkie powietrze. Westchnął i spojrzął na rzekę. Czuł się w pewnym sensie oczyszczony z winy, był spokojny i niewinny. Na stacji Vandenberg miał dużo szczęścia, udało mu się znaleźć taksówkę. Oglądał z pewnym zadowoleniem zieleń wokół, wiosenny krajobraz. Dla Jaya lepiej jest mieszkać pod miastem, pomyślał.

Myślał teraz o Jayu przepętiony wzruszeniem. Ładny chłopiec i inteligentny. Nieodwracalną stratą była dla niego śmierć matki, zwłaszcza że był jeszcze taki mały, kiedy odeszła. Ale jeśli pójdzie do dobrej szkoły, pomyślał Duff, jeśli zaprzyjaźni się z odpowiednimi osobami... Jeśli ożeni się z odpowiednią dziewczyną... To sprawa pierwszej wagi. Dziewczyna powinna pochodzić z dobrej rodziny, być lojalna, zrównoważona.

Wszedł do domu i z radością spostrzegł pannę Castle w salonie.

— Witam — powiedziała. — Zaraz zejść.

Pośpiesznie wszedł do pokoju, zamknął dwie torby w szafie i wszedł do salonu.

— Jay jest w domu? — zapytał.

— Pani Duff zabrała go na spacer — odparła panna Castle.

— Chyba jest już za duży, żeby go zabierano na spacer — zdziwił się Duff.

— Och, on to lubi — zauważyła panna Castle. — To bardzo towa-

rzyskie dziecko. Napije się pan herbaty, panie Duff?

82

— Tak, dziękuję. Moja ciotka też bardzo lubi pić herbatę po połu-
dniu, tak jak pani, panno Castle.

— Och, mam te swoje nawyki — rzekła.

Wszystkie jej nawyki wynikają z dobrego wychowania, pomyślał. Wszystko w niej było spokojne, zrównoważone. Miała na sobie szary, wełniany sweter i niewielki sznur pereł. Porządnie ułożone, lśniące włosy, do tego rumieńce na policzkach nadające jej wygląd zdrowej, szczęśliwej osoby z rodziny królewskiej.

— Szokująca jest ta sprawa biednego pana Paula, prawda? — za-
gadnęła.

— Och, tak — odparł. — Ale ja nigdy nawet nie widziałem go na
oczy...

— To był porządny, starszy pan — dodała. — Mam nadzieję, że
go znajdą.

Znajdą? A gdzie on właściwie jest? Dlaczego nie wyrzuciło go gdzieś na brzeg? Dlaczego to wszystko nie może się wreszcie skończyć?

— Szkoda, że nie mogliście państwo pobyc trochę dłużej nad mo-
rzem — zauważyła panna Castle.

— Ten domek to dość smętne miejsce — odparł Duff.

— Och, tak? A ja słyszałam od Jaya bardzo chwalebny opinię
o nim.

— Cóż, jeździł tam kiedyś z matką — powiedział Duff. — Wtedy
było oczywiście inaczej.

— Biedny malec — westchnęła panna Castle.

Ona to rozumie, wie, co malec stracił... i co zyskał w zamian za Helen. Gdybym kiedyś mógł z nią

porozmawiać szczerze...

— Panie Duff— zaczęła —jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, że coś zasugeruję...

— Nie. Oczywiście, że nie. Proszę mówić!

— Wiem, że leczy pana doktor Staples. On jest, oczywiście, doskonałym lekarzem. Tak sobie świetnie poradził, kiedy Jay miał odrę. Czasem może się tak zdarzyć, że lekarz nie postawi najlepszej diagnozy, nie uważa pan...? Jest pewien lekarz na wsi, doktor Hearty... poleciła mi go pani Vermilyea i jestem bardzo zadowolona. Jest trochę staromodny, ale taki rozsądny.

— Doktor Hearty?

83 —

Odpowiadała mu ta rozmowa, ale nuta zmartwienia w jej głosie sprawiła, że nie czuł się dobrze.

— Chyba poprawiło mi się nieco — dodał.

— Och, tak — przyznała bez przekonania panna Castle. — Po prostu pomyślałam, że może doktor Hearty miałby jakiś stary sprawdzony lek... To tylko sugestia.

Tak, pomyślał Duff, to może być lekarz o nieco lepszy niż Staples. Ale nie sądzę, żeby on wiele zdziałał tymi swoimi tabletkami...

Zaraz, przecież ja wcale nie byłem u Staplesa! — pomyślał trochę zaszokowany. Nigdy nie miałem lekarstwa, o którym mówiłem. Ta hi-storyjka skutkuje, Idedy rozmawiam z Reggie. Opowiadam jej o toni-ku i przestaje mnie męczyć pytaniami. Ale muszę wszystko pamiętać. Przecież nie byłem u lekarza od dwóch czy trzech lat.

Mary weszła do pokoju.

— Jest tu Nolan. Pyta, czy nie może pan poświęcić mu kilku minut.

— Tak — odparł Duff. — Poproś go do gabinetu.

Wstał, zawahał się przez chwilę. Nie był pewien, czy powinien wyjaśniać coś pannie Castle. Ale w końcu nie wiedział, co ona słyszała na temat Nolana.

Pójdę na górę i najpierw się napiję, pomyślał, ale pod schodami zatrzymał się. Nie, nie będę pił. Muszę mieć trzeźwy umysł, żeby się rozprawić z tym człowiekiem.

Najgorsze jednak było to, że to właśnie kilka drinków sprawiało, że umysł miał jasny, a ręce przestawały mu się trząść. Pod każdym względem był wtedy pewniejszy. To bardzo źle, pomyślał. To nie może tak trwać. To niebezpieczne.

Napił się jednak. Przeszedł cały, irytujący proces zamykania i otwierania drzwi, a potem poszedł do gabinetu. Nolan stał pod oknem, wyprostowany i nieruchomy, napięty jak silne, dzilde zwierzę. Jego przystojna twarz, widziana z boku, sprawiała wrażenie brutalnie żywotnej. Ciemne włosy wyrastały nisko ponad skronią, prosty nos i ostre kąty szczęk wyglądały groźnie.

— Cóż? — zapytał krótko Duff.

— Chciałem tylko zapytać, czy nie widział pan starego Paula — powiedział Nolan. Mówił tak, jak robił to zawsze wcześniej. Nie był natrętny, choć nie okazywał wielkiego szacunku.

84

— Paul...? — zastanawiał się Duff— Och, ten człowiek, który zniknął? Nie. Nigdy nie widziałem go na oczy.

Odwrócił się, żeby zamknąć za sobą drzwi, i zobaczył w krótkim korytarzu za sobą Reggie, trzymającą Jaya za rękę.

Zatrzasnął drzwi z hukiem, ale było już za późno. Reggie na pewno słyszała, co powiedział.

Rozdział trzynasty

Dlaczego miałbym się spotykać z tym człowiekiem? — zapytał Duff.

— Cóż, prawdę mówiąc — odparł Nolan — nie wiem już, co powiedziałem panu Paulowi o panu.

— O mnie? A co mógłbyś mieć o mnie do powiedzenia?

— Gdybym mu o wszystkim opowiedział, na pewno byłby wście-

kły. A on naprawdę niczego się nie bał, biedny staruszek. Nie ma takiej rzeczy, której nie zrobiłby dla przyjaciela, ale nie pamiętam, co mu powiedziałem.

— Jak to?

— Byłem pijany — wyjaśnił Nolan. — Zupełnie nieprzytomny.

Czasem, kiedy nie pracuję, mam ochotę przez kilka dni pić bez przerwy.

— Wplącesz się kiedyś przez to w kłopoty — stwierdził Duff.

— To możliwe — zgodził się Nolan.

A gdyby Reggie teraz weszła, trzymając Jaya za rękę? Gdyby wskazała męża palcem w geście oskarżenia...?

Oskarżenia o co? Ten człowiek mnie zaatakował. Uderzył mnie, a ja mu oddałem. Reggie o tym wie. Wszystko widziała. Ten człowiek jest szalony, a zresztą, to bardzo prawdopodobne, że ma amnezję.

Przestań, przecież wiesz, gdzie on jest. Nie oszukuj sam siebie. Jest w morzu.

A jeśli nie jest? Jeśli w ogóle nie umarł? Może się wydostał... i nie-długo tu przyjdzie? Może już teraz jest w pobliżu? Za oknem... ocieka wodą... siwe włosy, blada twarz...

Zaczynam wariować, pomyślał Duff. Zupełnie jak ten pisarz, który tworzył opowiadania o tym, jak ludzi chowają żywcem, a oni

85

potem wychodzą z grobów. Poe, tak się nazywał. Edgar Allan Poe. Sporo pił. Może to alkohol... Musiał się napić.

— Napijesz się, Nolan? — zapytał.

— Poproszę.

Duff wyjął butelkę z szuflady biurka.

— Och, gin? — zauważył ze zdziwieniem. — To niedobrze. Nie można go wypić bez mieszania.

— Mnie to nie przeszkadza — stwierdził Nolan.

Duff nalał średnią ilość ginu do dwóch kieliszków, jednego czyste-go i jednego brudnego.

— Wody? — zapytał i nalał z karafki pokrytej warstwą kurzu trochę wody pełnej bąbelków.

— Najlepsze jest to, że ja nigdy nie piję przed piątą.

— Nie wydaje mi się, żeby to miało jakieś znaczenie, o której się pije — zauważył Nolan.

— Ależ ma — zaprzeczył Duff. — Każdy, kto zaczyna pić od rana, musi się stoczyć.

— To możliwe — przytaknął Nolan bez zainteresowania.

— Osobiście — ciągnął Duff— nie sędzę, by ktokolwiek, kto zaczął za dużo pić, mógł się kiedykolwiek wyleczyć.

— Znam wielu ludzi, którzy się wyleczyli — powiedział Nolan.

— Znałeś ich osobiście?

— Jasne. Mój ojciec był pijakiem. Pił na umór, a pewnego dnia, nie wiem dlaczego, po prostu przestał. Nigdy nie tknął więcej ani kropli.

— Może nie pił dużo.

— Ćwierć litra dziennie.

— Pewnie przeszedł piekło, kiedy rzucił — stwierdził po chwili Duff.

— Nawet jeśli tak było, nigdy nic nie powiedział. Zresztą, pił czy nie pił, nigdy nie obijał się w pracy.

— Jaką miał pracę?

— Był kapitanem parowca towarowego.

- I pił ćwierć litra dziennie?
- Tak, w pracy też — potwierdził Nolan.

86

— To dziwne... — zastanawiał się Duff. — Dlaczego ludzie piją ponad miarę?

— Lepiej się czują — odparł Nolan.

Lepiej się czują, powtórzył w myśli Duff. Ty głupcze.

— To wielki problem dla wielu ludzi — rzekł.

— Nie dla mnie — powiedział Nolan. — Kiedy mam ochotę na małą bibkę, piję. Ale nigdy nie tknę alkoholu, kiedy nie mam na to ochoty lub kiedy czuję, że to mi nie służy.

Było coś miłego w Nolandzie. Trudno to nazwać, zdefiniować. Jest taki normalny, pomyślał Duff, naprawdę normalny. Kiedy się nad tym zastanowić, trudno zakwalifikować Nolana do jakiegokolwiek kategorii. Nie mówił z jakimś wyraźnym akcentem. Właściwie, to mówił całkiem ładnie. Czarny garnitur miał dobrze skrojony, a krawat w do-brym guście. Nikt by nie pomyślał, że jest szoferem. Mógłby być kim-kolwiek.

- Otrzymałeś dobre wykształcenie... — zauważył Duff.
- Dwa lata Yale — odparł Nolan.
- Dlaczego nie skończyłeś?
- Wujek Sam mnie potrzebował. Dostałem powołanie.
- Rozumiem — rzekł Duff. — Z pewnością mogłeś dostać lepszą pracę niż ta.
- Lubię być szoferem — stwierdził Nolan.
- Może chciałbyś wrócić, znów pracować dla mnie?
- Dlaczego nie?
- Jeszcze jednego drinka? — zaproponował Duff.
- Dlaczego nie?

Duff poczuł wielką ulgę. Był prawie szczęśliwy, że udało mu się przyjąć Nolana z powrotem do pracy. Wiedział o próbie wrobienia go, a i tak chciał pracować. Na pewno nie był groźny.

— Bardzo chciałbym wiedzieć, co się stało z Paulem — dodał

zamyślony Nolan.

— Pan Vermilyea sądzi, że to przypadek amnezji.

— Bardzo lubię tego staruszka — ciągnął Nolan. — Zawsze mogłem do niego pójść i zostać, jak długo chciałem, robić, co chciałem.

Kiedy już kogoś polubił, akceptował wszystko, co ta osoba robi.

— Policja na pewno niedługo go znajdzie — powiedział Duff.

— Wielu ludzi nigdy nie zostaje odnalezionych.

87

A topielcy? Chociaż Paul się nie utopił. Był martwy, nim znalazł się w wodzie. Czy w takim wypadku trup unosi się na wodzie, czy nie? Czy trupy zawsze wypływają gdzieś na brzeg?

Wydawało mu się, że tak. Zawsze. Dobrze, dobrze. Nic nie wiąże mnie z Paulem, pomyślał Duff. Nikt nie będzie nic podejrzewał. Z wyjątkiem Reggie. Boże! Wyglądała... strasznie, kiedy tak stała w holu. Co ona teraz robi? Podślučuje?

— Może już pan odwołać swojego detektywa — odezwał się po chwili Nolan.

— Mojego detektywa? — zapytał Duff ze zdziwieniem.

— Ciągłe się tu kręci. Wszędzie węszy. Nie podoba mi się to. Ja tu próbuję się ukryć.

— Ukryć się?

— Mam matkę, ojca, dwie siostry i narzeczoną w New Heaven — powiedział Nolan. — Nie chcę, żeby mnie znalazły.

— Och, tak.

— Kiedy wróciłem z wojny, byłem jakiś czas w szpitalu. Wszyscy

przyjechali mnie odwiedzić. Kiedy tylko wyszedłem, zniknąłem. Napisałem im miłe listy. Napisałem, że potrzebuję czasu, żeby sobie wszystko poukładać, zanim wrócę do domu i się ustatkuję.

- Rozumiem — przytaknął Duff trochę zdezorientowany.
- Mam nadzieję — rzekł Nołan — że już ich nigdy nie zobaczę.
- Och... rozumiem!
- To nowy rodzaj neurozy — wyjaśnił Nolan. — Boję się powrotu do domu. Nie chcę być w pełnym miłości domu rodzinnym. Nie chcę, żeby mi ktokolwiek pomagał, opiekował się mną i mnie sprawdzał. — Wziął swój kapelusz. — Może pan powiedzieć swojemu psu gończemu, że szczeka pod niewłaściwym drzewem. Ja nie jestem zwierzyną, której szuka.

— Co masz na myśli? — krzyknął Duff. — Znasz może kogoś...? Postuchaj, Nolan! Jeśli masz jakiegokolwiek informacje, dobrze za wszystko zapłacę...

— Nie są na sprzedaż — odparł Nolan, wstając.

Duff również wstał. Nie wiedział, co właściwie Nolan miał na myśli i bał się, że zdradzi się z czymś. Ale skoro powiedział, że nie jest zwierzyną, której szuka detektyw... Czyżby w życiu Reggie był inny mężczyzna?

88

- Nolan, powiedz tylko, gdzie mam szukać...
- Dobrze — zgodził się Nolan. — Niech pan sprawdzi książeczki czekowe...

Rozdział czternasty

Nie dotyczy go dobro ani zło — powiedział do siebie Duff.

Takie wrażenie zrobił na nim Nolan. To człowiek, myślał, który nie poddaje się konwencjom, nie ma skrupułów. Robi to, co mu odpowiada. To naprawdę wolny człowiek.

Gdybym ja mógł być wolny, pomyślał, siedząc przy stole z Reggie i panną Castle, gdybym mógł wypłatać się z tej sytuacji i zacząć od nowa. Wszystko zrobiłbym inaczej. Nie mieszkałbym na tym przeklętym przedmieściu. Nie byłbym takim... niewolnikiem. Nie mogę robić tego, na co mam ochotę.

Pomyślał o mokrych ubraniach i pustych butelkach zamkniętych w szafie. Złość i frustracja wezbrały w nim silnie. Jak mam się pozbyć tych ubrań? Postanowił wyjść z torbą, iść gdzieś daleko w stronę wsi i znaleźć jakieś miejsce, gdzie mógłby je zakopać. To brzmi świetnie w powieści, ale w prawdziwym życiu ktoś cię na pewno zapyta, gdzie idziesz z torbą. Ktoś cię zapyta, co się stało z granatowym garniturem. W prawdziwym życiu nie znajdziesz odpowiednio oddalonego miejsca, żeby spokojnie kopać łopatą.

Dobrze! Dobrze! Nolanowi chodziło chyba o książeczkę czekową Reggie. Może znajdę tam coś, co załatwi całą sprawę. Chodziło mu zatem o to, że istnieje inny mężczyzna.

Spojrzał na Reggie. Zobaczył twarz bez wyrazu, jak maska, zupełnie bladą. Gdyby ciotka Lou ją teraz zobaczyła, może zmieniłaby zdanie. Może uwierzyłaby, że Reggie nie jest taka zupełnie naiwna, że nie jest taką słodką dziewczyną, jak sądziła. Gdybym jeszcze znalazł coś w jej książeczce czekowej, coś, co mógłbym pokazać ciotce Lou...

— Muszę dziś jeszcze popracować — oznajmił, kiedy pili potem kawę.

— Och, to niedobrze! — powiedziała panna Castle.

89

— Cóż, jak to podczas wojny... — rzucił, wstając. — Powiem więc paniom dobranoc. Nie czekaj na mnie, Reggie.

Poszedł do gabinetu i zamknął się na klucz, ale kiedy zapalił papierosa i usiadł wygodnie w fotelu, usłyszał pukanie do drzwi.

— Kto tam? — zawołał ostro.

— To ja — usłyszał głos Reggie.

Otworzył drzwi, a ona weszła jak duch, ubrana w czarną sukienkę.

— Jake — zaczęła natychmiast. — Jake, chcę odejść.

— O czym ty mówisz?

— Chcę odejść. Muszę odejść.

— Chcesz mnie zostawić?

— Tak — odparła.

— Na zawsze? — zapytał. — To znaczy, że chcesz rozbić nasze małżeństwo?

— Tak.

Zaskoczyło go to. — Chcesz powiedzieć, że wyprowadzisz się z tego domu, opuścisz mnie?

— Tak — odparła.

Poczuł zimny strach. To było niebezpieczne.

— Mogę zapytać o powód tej nagłej decyzji? — zapytał.

Nie odpowiedziała.

— Jaki powód podasz innym ludziom? Na przykład ciotce Lou?

— Żaden — odparła. — Nigdy nikomu nie powiem.

Serce zaczęło mu bić zbyt mocno.

— Czego nie powiesz?

Spuściła wzrok, a jej twarz znów zmieniła się w tę maskę. To było nie do zniesienia. Wstał.

— Nie pozwolę... — zaczął, a kiedy na niego spojrzała, w jej oczach zobaczył coś niezwykłego. Przerazenie, wielki strach przed nim.

Chwilę zajęło mu uspokojenie przyśpieszonego oddechu.

— Dobrze — rzekł. — Porozmawiamy o tym jutro.

— Chciałabym odejść teraz, jeszcze dzisiaj.

Usłyszała, jak powiedział Nolanowi, że nigdy nie widziałem na oczy starego Paula, pomyślał. Nie może stąd odejść i rozpowiedzieć ludziom...

— Mogłabyś przynajmniej łaskawie poczekać do jutra... W końcu jestem człowiekiem o określonej pozycji społecznej. Chyba nie wymagam zbyt wiele, prosząc, żebyś to załatwiła z godnością, przyzwoicie.

Chyba że po prostu bawi cię poniżanie mnie.

— Nie — odparła.

Była głupia. Nie do zniesienia. Nie miała nic do powiedzenia. Na początku sądził, że to zaleta, nie była przecież buntownicza, ale teraz, kiedy widział, jak stoi wyprostowana, z rękoma wiszącymi luźno po bokach, głową trochę pochyloną, ten jej spokój sprawiał, że wyglądała na kretynkę. Była głupia, ale jednocześnie niebezpieczna.

— Porozmawiamy o tym rano — rzekł. — Mówiłaś już pannie

Castle?

— Nikomu nic nie powiedziałam — odparła.

— A co miałabyś powiedzieć?! — krzyknął, a kiedy milczała, chwycił ją za przegub. — Mam dość tych ukrytych aluzji... gróźb... czy co to ma być. Jeśli masz coś do powiedzenia, to powiedz!

— Nie powiem tego tobie, nie powiem nawet sama sobie. Przy-
sięgałam, że będę cię wspierać.

— Uciekasz ode mnie. To ma być wsparcie?

— To jedyne, co mogę teraz zrobić. Muszę odejść.

— Dobry Boże — rzekł i puścił jej rękę. — Zwariowałaś.

Odwrócił się w stronę okna i po chwili usłyszał, jak zamykają się za nią drzwi.

Zamknął je znowu na klucz i nalał sobie drinka. Miał zamiar nie pić dzisiaj wieczorem, ale po takiej scenie... Czyta się te historie o Kopciuszku, pomyślał, o tym, jak księżę żeni się z pomocą domową, o królu, zaraz, jak on miał na imię... i żebraczce. Ale nikt nigdy nie wspomina, że ta dziewczucha wyciągnięta z kuchni nigdy się nie zmieniła. Nigdy niczego nie docenia, nie rozumie...

Teraz na dodatek chce ze mnie zrobić durnia, i to publicznie. Pewnie to się dostanie do prasy. A już na pewno wszyscy w klubie będą plotkowali. Biedny, stary Duff! Ta pospolita, nic niewarta dziewczyna, z którą się ożenił, odeszła od niego. Jest dwadzieścia lat młodsza od niego. Może nie nadążał. Cha, cha.

Na dodatek przypomniał sobie, jak stała w korytarzu i podsłuchiwała. To jest najgorsze. Groziło mu coś więcej niż poniżenie. Ona jest jedyną osobą, która wie.

Otworzył drzwi i wyrzął. W salonie wciąż paliło się światło. Wyglądał tak co chwilę przez prawie dwie godziny, pocąc się z niecierpliwości i irytacji. Raz, kiedy przeszedł przez korytarz, zobaczył w salonie Reggie i pannę Castle, jak siedziały i rozmawiały.

Ale w końcu światła zgasły. Począł jeszcze pół godziny według jego zegarka, nim poszedł do salonu i włączył lampę. Wiedział, gdzie Reggie trzyma książeczkę czekową, w niezamykanej na klucz szufladzie. Pewnie dlatego, że zanim za niego wyszła, nigdy nie miała nic, co warto by zamykać na ldu. Wyjął ją i zaniósł do gabinetu.

To była duża książeczka czekowa, trzy czeki na stronie. Pokazał jej, jak ją prowadzić, i rzeczywiście wszystko było porządnie i skrupulatnie zapisywane. W prezencie ślubnym dał jej trzy tysiące dolarów i przez jakiś czas wypłacał kieszonkowe, ale ona niezbyt na nie należała, więc po pewnym czasie dawał jej tylko od czasu do czasu jakiś czek. Nigdy nie pytał, co robiła z pieniędzmi.

Pierwszy wpis w książeczce był dwa miesiące temu. Kratki były wyraźnie wypełnione. Drogeria, kosmetyki i leki. Fundusz Czerwonego Krzyża. Weber, buty. Potem kapitan Ferris, 250 dolarów. Duff zapalił drugiego papierosa i czytał dalej. Weber, szalik i rękawiczki. Załóżka dla Mary na okres choroby w rodzinie. Naprawa zegarka. Kapitan Ferris, 500 dolarów. W ciągu dwóch miesięcy ten kapitan Ferris dostał tysiąc dolarów.

Teraz ją mam, pomyślał Duff. Teraz nie odejdzie ode mnie, robiąc ze mnie głupca. Teraz to ja ją wygonię. Naje się wstydu.

Rozdział piętnasty

Niewiele wypięm wczorajszego wieczoru, pomyślał Duff. Ale czuję się tak strasznie, jakbym wypię pół litra. Ciekaw jestem, czy to nie jest coś innego. Może wątroba albo serce.

Ogarnął go niewyjaśniony strach. Coś jest ze mną nie tak, pomyślał. Może będę miał zawał... Nie piję bardzo dużo, więc nie powinienem się tak źle czuć. Nie mam apetytu. Nie mam na nic siły. Jestem słaby jak kociak. Mój umysł pracuje bez zarzutu, a nie działałoby się tak, gdyby to była kwestia picia.

92

Jesteś opuchnięty, przypomniał sobie znów i leżąc jeszcze w łóżku, wyciągnął przed siebie drżące dłonie. Naprawdę były opuchnięte.

— To coś poważnego — powiedział sam do siebie. Nerki... albo serce, zastanawiał się. Muszę się zgłosić do lekarza, bo dziś naprawdę

mam sporo pracy. Jakby się nad tym zastanowić, to ostatnio nigdy nie

czułem się dobrze. To dlatego piję więcej, niż powinienem.

Lekarz, pomyślał. Doktor Hearty. Rozsądny. Tak powiedziała o nim panna Castle. Trochę staromodny. Dobrze więc! Tego mi właśńnie trzeba. Potrzebuję pomocy.

Kiedy tylko wstał, ogarnęła go fala mdłości. Ledwie dotarł do łazienki. Zwymiotował. Co gorsza, musiał to robić tak, żeby nikt go nie usłyszał. Kiedy wrócił do pokoju, drżał od stóp do głów. Miał wszelkie symptomy silnego przeziębienia. Nie mogę tak...

Ale muszę sprawdzić tę sprawę z kapitanem Ferrisem, pomyślał. Muszę jakoś funkcjonować. To znaczy, że będę musiał wypić drinka, a wcale tego nie chcę.

Wypił. Potem wykąpał się i ubrał. Udało mu się nawet ogolić. Zszedł na dół, a tam przy stole siedzieli Reggie, panna Castle i Jay. Przywitał się z nimi pośpiesznie i usiadł. Nie mógł nic mówić, nawet nie próbował.

— Jest już samochód — oznajmiła Mary, a on odsunął krzesło.

Tego ranka nie chciał nawet wypić filiżanki herbaty.

Nolan czekał, taki sam jak zwykle, człowiek, który stoi ponad do-brem i złem.

— Nolan — powiedział Duff—słyszałeś kiedyś o doktorze Hearty?
ty?

— Och, tak — odparł Nolan. — Jest na ulicy Klonowej.

— Cóż, chyba się tam zatrzymamy. Mam jakąś infekcję gardła —
rzekł Duff.

— Dobrze.

Duff wsiadł z tyłu i zapalił papierosa. Zaczął mówić, choć nie czuł się najlepiej:

— Znasz niejakiego kapitana Ferrisa, Nolanie?

— Tak—odparł.

— I...? Co o nim wiesz?

— Nienawidzę go — odparł po prostu Nolan.

— Ale dlaczego?

— Nienawidzę wszystkich kapitanów, oficerów, wszystkich Anglików.

— Och... to Ferris jest Anglikiem?

— Jak najbardziej.

— Jak go poznałeś?

— Podwoziłem go do pańskiego domu i z powrotem.

— Ile razy?

— Pięć czy sześć.

Duff milczał przez chwilę.

— Skąd ci przyszła do głowy sprawa z tymi czekami? — zapytał w końcu.

— Słyszałem raz, jak pani Duff mówiła: „Wilfredzie, wyślę ci czek jeszcze dziś.” On zapytał: „Dwieście pięćdziesiąt?”, a ona odpowiedziała: „Nie, tym razem pięćset.”

— Nie wiesz może, gdzie on mieszka?

— W małym hoteliku w Nowym Jorku.

— Skąd wiesz?

— Widziałem adres na liście, który pani Duff dała mi do wysłania.

Muszę uważać, pomyślał Duff. Nie mogę się wydać. Nie mogę pokazać Nolanowi, że mi jest potrzebny.

— Dobrze zrobiłeś, że mnie ostrzegłeś w tej sprawie, Nolan — powiedział.

— Chciałem po prostu, żeby Ferris znalazł się w tarapatach. Myślałem nawet, żeby napisać o tym do jego żony, ale gdzieś wyjechała,

a ja nie mogłem zdobyć jej adresu.

— Więc on jest żonaty?

— Och, tak.

Duff obawiał się milczeć, bo wyglądałoby na to, że go to zabolalo.

— To... — zaczął. — Oczywiście, to bardzo niepokojące, Nolan, ale nie ma powodu, żeby sądzić, iż dzieje się coś nieprzyzwoitego.

— Cóż — zawahał się Nolan. — Ona mu daje pieniądze i była w jego hotelu.

— Skąd wiesz?

— Byłem tam, zaprzyjaźniłem się z recepcjonistką i zadałem jej kilka pytań.

— Dlaczego nie mówiłeś mi o tym wcześniej?

94

— Nigdy nie byliśmy na takiej przyjacielskiej stopie — rzekł Nolan. — Nie rozumiałem pana. Nie wiedziałem, jak pan to przyjmie.

Duff przestraszył się i zaniepokoił.

— Przyjąłem to tak, jak przyjąłby to każdy przyzwoity człowiek — powiedział.

— Ale po tej próbie wrobienia mnie...

— Nikogo nie wrabiałem.

— Niech panu będzie. W każdym razie, po tym, jak myślałem, że pan mnie wrabia, zmieniłem o panu zdanie.

Muszę być ostrożny z tym człowiekiem, bardzo ostrożny. Nie wolno mu pozwolić na zbyt wiele. To znaczy... właściwie to nie wiem, jak go nazwać.

— Dlatego też — ciągnął Nolan — po tym epizodzie, kiedy sądzi-

łem, że pan mnie wrabia, pomyślałem, że może zainteresowałaby pan na prawdziwa okazja.

— Chyba jednak nie! — odparł Duff.

— O, już jesteśmy — powiedział Nolan.

Zatrzymał samochód przed dużym, staromodnym domem partelowym, położonym przy obrosniętej drzewami alei. Na frontowych drzwiach widniał napis: „Aleksander L. Hearty, doktor medycyny”.

— No, nie wiem... — wahał się Duff. — Nie wiem, czy powinienem mu zawracać...

Ale chciał, potrzebował porady, żeby czuć się lepiej. Musiał pomyśleć, zacząć działać, musiał być na najwyższych obrotach. Jeśli to był naprawdę taki uprzejmy, staromodny lekarz, mógłby mu pomóc. Wysiadł z samochodu i wszedł po stopniach werandy. Zadzwoił do drzwi i natychmiast otworzyła mu je krępa, siwowłosa kobieta, w szarej sukni we wzorki.

— Jest doktor Hearty? — zapytał Duff.

— No cóż, przyjmuje dopiero od jedenastej.

— Moje nazwisko Duff — rzekł tonem, który zrobił na kobiecie wrażenie. — Jadę właśnie do biura w Nowym Jorku i miałem nadzieję, że uda mi się na kilka minut wpaść do doktora.

— No, dobrze, zobaczymy... — powiedziała i wyszła, zostawiając go w przedpokoju.

Wróciła szybko.

95

— Doktor pana przyjmie, panie Duff — oznajmiła. — Proszę wejść.

To chyba błąd, pomyślał Duff, rozglądając się z niesmakiem po mocno zapuszczonej poczekalni. Lekarz przyjmujący w takim miejscu na pewno nie może być dobry.

— Proszę wejść! Proszę wejść! — powiedział doktor Hearty, sto-

jąc w drzwiach gabinetu.

Duff pomyślał, że Hearty wygląda jak wiejski lekarz z kalendarza, szczupły, szpakowaty, w okularach zasłaniających głęboko osadzone, szare oczy. Miał wąskie usta o dość dziwnym kształcie.

— Niech pana siada! Proszę! — dodał. — Więc na co się pan uskarża?

Dziwnie to zabrzmiało, pomyślał Duff.

— Tak właściwie nie potrafię powiedzieć — rzekł. — Można to nazwać ogólnie złym samopoczuciem.

— Niech pan pokaże język — powiedział doktor.

To błąd, pomyślał Duff. Tracę tylko czas na tego niedorzecznego, starego, prowincjonalnego konowala. Czuł się głupio, siedząc tam i wystawiając język na brodę.

— Jak pański apetyt?

— To właśnie mnie martwi — przyznał Duff. — Praktycznie nic nie jem.

— Dobrze pan śpi?

— Nie. Kiepsko.

— A teraz proszę rozchylić koszulę — nakazał lekarz.

Zrobił to, co zwykle robią lekarze ze stetoskopem, a potem zmierzył mu ciśnienie.

— Niech pan wyciągnie przed siebie ręce — rzekł.

Duff nie poruszył się.

— Daleko przed siebie, proszę.

— No, nie będzie to dobrze wyglądało — zaśmiał się Duff. — Wypiłem wczoraj wieczorem lalka drinków, żeby móc zasnąć.

— Niech pan wyciągnie ręce — powtórzył cierpliwie i nieubłagannie doktor.

Rozgorączkowany ze zdenerwowania Duff wykonał polecenie.

— Dobrze — przytaknął doktor. — Może pan włożyć marynarkę.

W jakim jest pan wieku?

96

— Czterdzieści cztery lata — odparł krótko Duff.

Lekarz odchylił się i oparł wygodniej na krześle, stojącym za biurkiem.

— Ile pan pije, panie...?

— Nazywam się Duff. Wypijam kilka drinków przed pójściem do łóżka, żeby zasnąć.

— Ile?

— Nie wiem, trzy, może cztery.

Przekłęty głupiec, pomyślał Duff. Nie zapisał historii mojej choroby. Nie próbuje nawet wgłębić się w moją psychikę.

— Jest pan teraz w szczególnie stresującej sytuacji, panie...?

— DUFF. Tak. Mamy kontrakty z armią. Sprzęt chirurgiczny i dentystyczny.

— Czyżby Hanbury, Martin i Duff? — krzyknął doktor.

— Tak.

— A niech mnie...!

Cudownie, pomyślał z niesmakiem Duff.

— Cóż... — zaczął doktor, kiedy opadła euforia. — Powiem panu, co dla pana zrobię, panie Duff. Zapiszę panu coś nasennego, na jakiś czas. Jedna kapsułka przed snem, ale żadnego alkoholu. Niech pan dobrze zapamięta, panie Duff, jeśli wypije pan alkohol i weźmie tabletkę nasenną, będzie jeszcze gorzej niż wcześniej.

— Co mi dolega? — zapytał Duff.

— Nie ma się czym martwić, jeśli będzie pan przestrzegał moich zaleceń. Proszę jeść sześć lekkich posiłków w ciągu dnia. Jest pan żonaty?

— Tak.

— To niech pan da żonie tę listę — powiedział lekarz, wyjmując z szuflady zadrukowaną kartkę. — Niech pan się jak najwięcej rusza, zażywa świeżego powietrza i słońca. Proszę zażywać jedną kapsułkę przed snem, ale żadnego alkoholu.

Przeklęty konował, pomyślał Duff. Zupełnie nie ma zrozumienia dla kogoś, kto nie jest flegmatycznym prostaczkiem.

— Niech pan przyjdzie za trzy dni, panie Duff— dodał lekarz. —

Chcę pana zbadać, kiedy pan prześpi dobrze trzy noce bez alkoholu.

Obaj wstali, a doktor położył mu rękę na ramieniu.

97

— Oby tak dalej! — rzucił. — Odwalacie kawał dobrej roboty podczas tej wojny, panie Duff.

Jakbym był jaldmś harcerzykiem. Zmusz się do jedzenia sześciu po-siłków dziennie. Bądź grzeczny, a będziesz szczęśliwy. Z ulgą ujrzał znów Nolana, stojącego przy samochodzie i palącego papierosa. Przy-najmniej Nolan nie jest harcerzykiem. Pije, sam mi to powiedział, przypomniał sobie Duff. On by wiedział, jak to jest... Nie to, co ten stuknięty konował.

— Jak się panu spodobał doktor Hearty? — zapytał Nolan.

— Wcale — odparł Duff. — Ale przecież mogę wypróbować te je-go przelidęte pigułki. Idź z tym do „Modern”, proszę.

Patrzył potem jak Nolan, wyprostowany, silny i żwawy, idzie do apteki „Modern” na ulicy Main. Niezwykły człowiek, pod wieloma względami, pomyślał. Nie można powiedzieć, że jest impertynencki. Jest... naturalny i tyle. Jest wolny. Nie ma zahamowań.

Nolan wrócił po piętnastu minutach.

— Uciekły już dwa pociągi — powiedział. — Ale dali mi to od razu. Przepisał panu pigułki nasenne. Pigułki na odlot. To najczęściej przepisywane tabletki, ale oni lubią to swoje hokus-pokus.

— Nie rozumiem.

Nolan wymienił nazwę lekarstwa.

— Dawali mi to w szpitalu — objaśnił. — Nawet je lubiłem. Zasy-
piałem już po półgodzinie. Teraz, kiedy trochę zabaluję, biorę te ta-
bletki przez lalka kolejnych nocy i wszystko się wyprostowuje.

— Nie można ich dostać bez recepty — powiedział Duff.

— Ja mogę — odparł Nolan.

— Cóż... Kiedy jest następny pociąg?

— Za trzydzieści pięć minut.

— Chyba nie mamy dość benzyny, żeby jechać na następną sta-
cję.

— Ja mogę dostać benzynę — odparł Nolan.

— To znaczy, na czarnym rynku?

— To znaczy, że mogę dostać benzynę, jeśli za nią zapłacę.

— Nie masz zbyt wielu skrupułów, prawda? — zdziwił się Duff.

— Och, mam sporo.

Stał tak, paląc papierosy, i nie martwił się, czy powinno się kupować benzynę na czarnym rynku, czy nie.

98

— Nie będę nigdy wspierał czarnego rynku — orzekł Duff.

Tym Nolan też się nie przejmował. Duff pochylił się do przodu, żałośnie bezradny. Nie chciał jechać na stację i siedzieć tam sam. Chciał ponownie sprowadzić rozmowę na kapitana Ferrisa, choć bał się tego

tematu. Nie pamiętał dokładnie, co Nolan powiedział, ale zabrzmiało to dość groźnie. Musiał dobrze zapamiętywać fakty. Nie mógł dłużej tolerować tego mętlika w głowie.

— Postuchaj — rzekł nagle. — Jest tu jakieś miejsce, gdzie mógłbym wypić kufel piwa? Spokojne miejsce. Ten doktor mnie zdenerwował.

— Jasne — odparł Nolan i usiadł za kółkiem.

Jechał jakieś piętnaście minut przez wieś, a potem wyjechał na szeroką drogę nieznaną Duffowi. Była pusta, zupełnie płaska. Zatrzymał samochód przed parterowym, drewnianym budynkiem z połamanym wiatrakiem, kręcącym się powoli na dachu. Nad drzwiami widniał napis: „Stary Holender”.

— Chodź się ze mną napić, Nolan — zaprosił Duff.

W posępnym wnętrzu nie było nikogo, nic, tylko krzesła, stoły i cztery ściany. Na środku zupełnie pusto. Zza tylnych drzwi wyszła w ich stronę ciemnowłosa, szczupła dziewczyna o bezczelnym wyglądzie, z holenderskim czepkiem przypiętym na czubku głowy.

— Tak? — zapytała nieuprzejmie.

— Chyba wezmę czystą żytniówkę — powiedział Duff, marszcząc brwi, jakby się zastanawiał. — Albo niech będzie podwójna.

Wodę w szklance osobno. A ty, Nolan?

— Colę, poroszę.

Nie spodobało się to Duffowi.

— Pewnie sądzisz, że to źle, kiedy ktoś pije o wpół do dziesiątej rano — powiedział Duff.

— Gdybym miał ochotę, też bym się napił — odparł Nolan.

Bezczelna dziewczyna przyniosła napoje i znów wyszła. Zostali

sami w tym miejscu, które przypominało stodołę pełną pustych krzesel i stolików. Promienie słońca wpadały do środka z jednej strony, a wzbijający się kurz przypominał mgłę.

— To, co mi powiedziałeś o Ferrisie... — zaczął Duff. — Bardzo mnie to zdenerwowało.

— To niedobrze.

— Chciałbym usłyszeć, co jeszcze o nim wiesz.

! — Nie wiem nic, co mogłoby się panu przydać — odpowiedział szybko Nolan.

— Co znaczy „przydać”?

Nolan spojrział na szklankę i nic nie odparł. Był młody, zdrowy, szczęśliwy i to wystarczy.

— Chciałeś, żeby ten człowiek znalazł się w tarapatkach. Tak mi mówiłeś. Masz jakiś pomysł, co można by zrobić?

— Tak, mam pomysły — przyznał Nolan. — Niestety, sam nie mogłem ich zrealizować.

— Jakie pomysły?

— Zdziwiłby się pan — odparł Nolan.

— Nie rozumiem, dlaczego masz taką silną urazę do Ferrisa...

— Powiem panu. Kiedy go ostatnio widziałem, rozmawiałem akurat z panią Duff na podjeździe. Nie zauważyliśmy, że Ferris idzie w stronę domu, póki nie był tuż za mną. Wrzasnął na mnie tym swoim groźnym, huczącym głosem. Powiedział, że nie podoba mu się mój ton i że przydałaby mi się porządna lekcja. Gadał tak jeszcze dość długo...

— I co zrobiłeś?

— Nic — odparł Nolan. — To właśnie wynik trzech lat w wojsku. Jestem tald cholernie dobrze wyszkolony w znoszeniu podobnych bredni, że tym razem też nie powiedziałem ani słowa. Gdybym go po prostu powalił na ziemię, zapomniałbym o wszystkim już po dwóch godzinach, ale nie uderzyłem go. Nie zapomniałem.

— Ja nigdy nie używam przemocy, pod żadną postacią — powie-

dział Duff.

— Miał pan szczęście, że pana nie wcielili — zauważył Nolan. —

Na Pacyfiku było mnóstwo przemocy.

Ta rozmowa prowadzi donikąd, pomyślał ze zniecierpliwieniem, niemal z desperacją Duff. Czuł się zupełnie tak, jakby miał ostatnią szansę i nie potrafił jej wykorzystać. Nawet nie potrafił przypomnieć sobie, co postanowił przed pójściem do gabinetu doktora.

— Nolan, mógłbyś złapać tę dziewczynę? — rzucił po chwili. —

Chciałbym jeszcze jednego drinka. Ale podwójnego. Strasznie mało

tu nalewają.

100

Nolan wstał szybko i poszedł do drzwi, w których znikła dziewczyna. Stał tam i rozmawiał z kimś niewidocznym dla Duffa, a potem przyszedł do stolika z dwiema szklankami whisky.

— Dziękuję — rzekł Duff. — Szkoda, że ty nic nie pijesz.

Upił kilka łyków whisky i poczuł się lepiej. Umysł miał jaśniejszy. Po dzisiejszym dniu ani kropli więcej, pomyślał. Dziś wieczorem za-czną brać te tabletki. Pigułki na odlot. To tylko taki żart. Ale podobno są krople powodujące utratę przytomności. Podobno wlewają je do drinków dla marynarzy i tym podobnych ludzi.

— Człowiek taki jak Ferris... — powiedział. — Wkrada się do domu innego mężczyzny za jego plecami. Dla niego śmierć przez powieszenie to zbyt łagodna kara.

— Według mnie, wystarczy — orzekł Nolan.

— Chcę, żeby się zhańbił — krzyknął zacielde Duff. — Musi się zhańbić publicznie. I zrujnować. Chciałbym, żeby go schwytano na gorącym uczynku, żeby wpadł prosto w pułapkę.

Wypowiedział wreszcie te słowa. Ręka mu drżała. Oparł ją na drugiej szklance.

— To nie będzie takie łatwe — rzekł Nolan.

— Dlaczego nie? Na przykład w jego hotelu...

— Nie podoba mi się pomysł z hotelem. Za duże szansę, że coś się nie powiedzie. Oni mogliby się spotkać na dole w holu. Tak już się zdarzało.

Duff skończył drinka.

— Jest jeszcze domek nad morzem — powiedział.

Czuł wielką ulgę, jakby nareszcie, po wielkim wysiłku, przypomniał sobie niezwykle ważny fakt.

— To by było lepsze — stwierdził Nolan. — Ale i to ma pewne wady. Musielibyśmy ich oboje tam sprowadzić.

— Tak — zgodził się Duff. — To prawie niemożliwe.

— Nie aż tak niemożliwe. Po prostu trudne.

— Ale jak można by to zrobić?

— Może listownie.

Teraz umysł Duffa był spokojny i w pełni swoich możliwości.

— Nie — odparł. — To by musiały być dwa doskonałe fałszerstwa.

101

— Fałszerstwo nie musi być doskonałe — rzekł Nolan. — Nie trudno jest podrobić czyjeś pismo i należy się liczyć z tym, że nikt nie będzie tego sprawdzał. Ludzie niewiele zauważają. Nie sfalszował pan nigdy usprawiedliwienia od rodziców, kiedy był pan w szkole?

— Nigdy! — oburzył się Duff. — Nawet mi to nie przyszło do głowy.

— Wielu dzieciakom to uchodzi na sucho — powiedział Nolan.

— Może też być jeden list i jeden telefon.

— Udawany głos? Nie. To nie zadziała.

— Mogłoby.

Kurz w barze wyglądał w świetle słonecznym jak złoty proszek. Był naprawdę ładny. Duff był spokojny, silny, zrelaksowany, kiedy tak siedział z Nolanem.

— Kto więc dostanie liścik? — spytał.

— Ferris.

Wpatrując się uparcie w lśniący kurz, Duff miał nagle coś w rodzaju wizji. Widział domek nad morzem w zachodzącym słońcu, podjeżdża taksówka, a Reggie wychodzi na ganek. Nie jest błada i dziwna, ale szczęśliwa, szeroko uśmiechnięta.

— Nie byłoby tak trudno ich tam ściągnąć — ciągnął w zamyśleniu Nolan. — Problem tylko, jak ich tam zatrzymać.

— Co?

— Kiedy tylko zaczną rozmawiać, zorientują się, że ktoś ich wra-
bia.

— Oczywiście — przestraszył się Duff.

— Ale można nad tym popracować — nie dawał za wygraną Nolan. — Te pańskie pigułki...

— Nie! — rzucił odruchowo Duff.

— Gdyby zostało trochę whisky... — mówił Nolan, jakby sam do siebie. — Gdyby ją dobrze ustawić... Kapitan nie przepuściłby takiej okazji. Już by smacznie spał, zanim ona by tam dojechała.

— Wtedy natychmiast by wyszła.

— Może by nie mogła.

— Co by ją powstrzymało?

— Gdyby telefon nie działał, nie mogłaby wezwać taksówki...

— Poszłaby pieszo. Zobaczyłaby, że coś jest z nim nie tak i pobie-
głaby po pomoc.

- Dlaczego nie pomyślałaby po prostu, że jest pijany?
- Nie została by w jednym domu z pijanym mężczyzną. Bardzo jest wrażliwa na takie sprawy.

Przypomniała mu się ta scenka z domku nad morzem, kiedy we-
szła do jego pokoju i podniosła szklanę z ginem. „Och, Jake!” krzyk-
nęła wtedy. Rosta w nim złość coraz silniejsza i silniejsza. To zupełnie
nieuzasadnione szaleństwo, pomyślał. Zawsze wtrąca się, puka do drzwi... A teraz chce mnie zostawić,
opuścić, zrobić ze mnie durnia. Tak bez ostrzeżenia. Dawała Ferrisowi pieniądze. Poszła do jego hote-
lu, a teraz sądzi, że może sobie odejść, zostawić mnie, żeby się wszy-
scy ze mnie śmiali.

Cóż, nie uda jej się. Nie odejdzie sobie jak niewinna ofiara. Tylko, mój Boże, dlaczego to wszystko jest
takie skomplikowane.

- Nie da rady! — powiedział z goryczą.
 - A mnie się wydaje, że tak — rzucił Nolan. — Dojechanie do
plaży zajmuje jakieś dwie godziny. Gdyby wzięła małą dawkę, nim
wyjdzie z domu, na miejscu byłaby już zbyt śpiąca, żeby wracać.
 - Ale nie rozumiesz...? — zaczął Duff ze złością. — Jeśli mają
ich znaleźć razem, nie mogą być nafaszerowani tabletkami. Jak by to
wyglądało? To zły pomysł.
 - Mógłbym włączyć gaz — zaproponował Nolan.
 - Dobry Boże! — krzyknął Duff. — Co ty wygadujesz?
- Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.
- Mógłbym włączyć gaz — powtórzył Nolan — a dziesięć minut
później, zanim cokolwiek się stanie, pan mógłby przyjechać, znaleźć
ich i zakręcić gaz. Planowali wspólne samobójstwo...
 - Zaprzeczyliby.
 - Kto by im uwierzył? — zapytał Nolan.

— Nie — zaprzeczył Duff. — Nie mógłbym zrobić czegoś takiego.

— Dobrze — zgodził się Nolan. — Niech mnie pan posłucha. Po-
ciąg panu uciekł. Następny jest dwadzieścia po dziesiątej.

Nie mogę iść do biura, pomyślał Duff. Jestem chory. Wypiłem za dużo. Pojadę...

Gdzie? Do domu? Powiem, że źle się poczułem i pójdę do łóżka. Każę jej zostawić mnie w spokoju. Mam prawo wrócić do domu, mojego własnego domu, kiedy mi się rzewnie podoba.

103

Ale ta tajemnicza dziewczyna o bladej twarzy nie zostawi go w spokoju. Tego był pewien. Nie uwierzy w jego chorobę. Będzie pu-kała do drzwi. Może nawet pośle po lekarza, nie pytając go o zgodę. Może po doktora Hearty'ego.

A gdyby naprawdę był chory? Byłby zupełnie bezbronny, a ona

znalazłaby puste butelki, mokre ubrania. Zhańbiłaby go i zrujnowała.

Powiedziałaby wszystkim, że zabił tego starego wariata i że zaciągnął
jego ciało do wody.

— Chciałbym pojechać gdzieś na wieś — powiedział. — Zatrzy-
mać się na lunch i odpocząć trochę. Jeśli masz dość benzyny...

— Załatwię — odparł Nolan.

Duff wziął ze stołu papierową serwetkę i wytarł nią twarz.

— Dobrze — rzucił chłodno.

Rozdział szesnasty

0 piątej wypił jeszcze kilka drinków, okupując metalowy stolik na
trawniku, przed zajazdem ustawionym przy autostradzie. Nolan sie-
dział z nim i pił następną colę.

— Nie, whisky nie, dziękuję — mówił. — Zawsze jakieś dwa albo

1 trzy dni po każdym pijaństwie zajmuje mi wytrzeźwienie i dojście do
siebie.

— Dwa albo i trzy dni? — zdziwił się Duff. — To chyba nieprzyjemne...?

— No, niezbyt... — zaprzeczył. — Ale jestem w dość dobrej formie.

— Ja nie — odparł Duff. — Wcale. Pomyślałem, że powinienem z tą nową dietą, którą mi przepisał lekarz, rzucić też picie albo chociaż ograniczyć. Jeden cocktail dziennie, może przed obiadem.

Nolan nic nie powiedział. Duff spojrzał na niego, żeby sprawdzić, czy w jego twarzy nie ma dezaprobaty. Nolan wyglądał tak jak za-wsze, żwawy, przystojny i pełen wigoru. Tak... pomyślał Duff. Tego właśnie spróbuję. Wytrzeźwieję, jak to on powiedział, w ciągu dwóch albo i trzech dni i zobaczymy...

— Powinniśmy już jechać — powiedział.

104

— Dobrze — zgodził się Nolan. — Chce pan, żebym dalej mówił o tym planie?

— Cóż... chyba tak.

— Muszę mieć wolną rękę — zaczął Nolan. — Nie mogę zostać przyłapany na gorącym uczynku.

— Dobrze — rzekł Duff. — Mnie się jednak wydaje, że to wszystko się nie uda. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek któreś z nich udało się do daczy na plaży.

— Zobaczymy — odparł Nolan.

Jechali do domu w tle wiosennego krajobrazu, a Duff zasnął na tylnym siedzeniu. Obudził się, czując cudownie chłodne powietrze na twarzy, i poczuł smutek, wielki smutek i rezygnację.

Kiedy wszedł do domu, Reggie i Jay schodzili po schodach, trzy-mając się za ręce. Tego już, do diaska, za wiele, pomyślał. Nie puszcza dziecka ani na chwilę.

— Jay, idź, pocałuj tatę — nakazała Reggie.

— Chyba wystarczy nam uścisk dłoni, Jay — odparł Duff. — Robisz się za stary na to całowanie i chodzenie za rączkę.

Wyciągnął dłoń, ale nim Jay ją uścisnął, spojrzął przez ramię na Reggie, jakby szukał jej aprobaty. Ona zupełnie odsunęła ode mnie dziecko, pomyślał. Nigdy nie bawimy się już razem, nie żartujemy, nie robimy nic razem.

— Biegnij i zobacz, czy twoja kolacja jest już gotowa, kochanie — powiedziała Reggie.

Duff z całego serca nienawidził tej władczej postawy i faktu, że syn z taką łatwością to zaakceptował. Stojąc wciąż w kapeluszu i lek-kim płaszczu, patrzył na Reggie, kobietę, którą umieścił na miejscu Helen. Miała na sobie lśniąca, czarną bluzkę z długimi rękawami i zło-tymi liśćmi wokół szyi.

— Dlaczego ostatnio nosisz się na czarno? — zapytał. — To do ciebie nie pasuje.

— Ciotka Lou wybrała tę bluzkę — wyjaśniła.

— Muszę do niej natychmiast zadzwonić — powiedział i poszedł do telefonu.

Pani Albany była w domu.

— Ciociu Lou — zaczął. — Czy mogę się z tobą zobaczyć jutro po południu?

105

— Tak, tak — odparła. — Będę od czwartej. Czy to coś szczególnego, Jacobie? Mam wrażenie, że jesteś... zdenerwowany.

— Tak — odparł. — To coś szczególnego, cioteczko Lou.

Miał nadzieję, że Reggie jest jeszcze w holu i go słyszy. Miał nadzieję, że jego złowieszczy ton ją przestraszy. Kiedy odwiesił słuchawkę, zobaczył ją w tym samym miejscu. Ostatnio miał wrażenie, że ciągle widzi ją stojącą w holu, czekającą, dziwnie bladą i tajemniczą.

— Jake? — zaczęła. — Możemy już porozmawiać o moim odejściu?

— Teraz? — zapytał oburzony. — Dopiero wszedłem do domu.

— Wiem, ale wygląda na to, że nigdy nie masz czasu...

— Dziś próbowałem ustawić pewne sprawy — odparł. — Możesz jeszcze tu wytrzymać dzień lub dwa...

— • Nie mogłabym po prostu zamieszkać w hotelu, kiedy ty będziesz załatwiał te sprawy?

— Regino — powiedział —jestem trochę chory. Byłem dziś znów u lekarza. I chciałbym najlepiej od razu położyć się do łóżka. Każ mi przysłać tacę na górę. Jeśli nie będziesz nalegała, wolałbym odłożyć tę dyskusję.

— Dobrze — zgodziła się. — Przykro mi, że nie czujesz się dobrze.

Ale w jej wyglądzie i zachowaniu była nutka obojętności, której wcześniej nigdy nie zauważył. Jest jej wszystko jedno, czy żyję, czy umrę, pomyślał i ta myśl go przeraziła.

— Znajdzie się dla mnie coś do czytania? — zapytał pośpiesznie.

To była jedna z wielu rzeczy, które robiła Helen: wypożyczała mu książki z biblioteki, starając się dowiedzieć, co lubił.

— Wczoraj wypożyczyłam dwie książki — odpowiedziała Regino. — Jedna jest o Japończykach, a druga o sławnych operach.

— Zdecydowanie nie to, czego teraz potrzebuję — powiedział z nieznacznym uśmiechem i poszedł na górę.

Przeldęta hipokryzja. Wypożycza takie książki, a wątpię, by je kiedykolwiek próbowała czytać, a nawet jeśli czyta, na pewno ich nie rozumie. Zresztą, i tak nigdy się nie poprawi. Nigdy nie nauczy się zachowywać, mówić, ubierać.

106

Zamknął drzwi i stał przy nich, marszcząc brwi i zastanawiając się, czy powinien się napić. Był przygnębiony ponad miarę, chory ze zdenerwowania i smutku. Drink mógłby mi pomóc, pomyślał, ale

nie na pewno. Niestety, to nie zawsze działa. Nie można na to liczyć.

To była niedobra, alarmująca sytuacja. Kiedyś mógł liczyć na to, że trzy, cztery drinki sprawią, że poczuje się lepiej, ale teraz...

Usłyszał pukanie do drzwi.

Niech to szlag, powiedział sobie w duchu. Znow tu przyszła!

— Co takiego? — krzyknął.

— Przyniosłam panu lalka książek — usłyszał głos panny Castle

i zaraz otworzył drzwi. — Pani Duff powiedziała, że szuka pan czegoś

lekkiego do czytania — mówiła z przyjemną nutką troski w głosie. —

Kupiłam niedawno lalka książek w tych tanich wydaniach, by wysłać

siostrzeńcowi do Europy. Może pan znajdzie tu coś, co da panu trochę

rozrywki.

Miała sześć małych książeczek. Chciała dostarczyć mu rozrywki, martwiła się o niego. Wygląda piekielnie czarująco, pomyślał, ta szara suknia, lśniąca włosy, zdrowa cera i delikatny zapach czystych, nie-zbyt wymyślnych perfum.

— To bardzo miło z pani strony — powiedział. — Bardzo miło.

— Mam nadzieję, że dobrze pan wypocznie, panie Duff — rze-

kła.

Zostawiła go z uczuciem spokoju. Miał wrażenie, że ktoś go ceni i o niego dba. Nie chciał pić. Wziął prysznic i wszedł do łóżka. Czuł się w czystej, niebieskiej piżamie jak rekonwalescent. Dało mu to spore poczucie bezpieczeństwa, więc zostawił drzwi otwarte.

Mary przyniosła mu potem tacę. Helen przyniosłaby to sama, pomyślał. Panna Castle też, ale nie Reggie. Reggie nie dba o to, czy żyję, czy umarłem.

Jedna z małych książeczek była antologią opowiadań, jakich Duff nigdy wcześniej nie czytał. Były to historie o tym, jak ludzie latają rakietami na inne planety, o dziwnych, nowych rasach, o przedziwnych mocach, opowieści o ludziach przeniesionych do innych miejsc, innych wymiarów. Zainteresowało go to. Leniwie, czytając cały czas, zjadł więcej z kolacji niż kiedykolwiek od tygodni.

I żadnego picia, pomyślał. Tego mi właśnie trzeba. Ciszy i spokoju. Wyjął z buteleczki żółtą tabletkę, którą przepisał mu doktor.

„Jedną przed snem. Po godzinie, jeśli zajdzie potrzeba, zażyć drugą.” Nigdy w życiu nie zażywał niczego podobnego, więc tabletki za-ciekawiły go niezmiernie. Ciekaw jestem, pomyślał, jakie będzie działanie. Czytał o tym, że niektórzy ludzie palą opium i zapadają w błogi sen. Może to działa podobnie, pomyślał. Ale z drugiej strony, może być nieprzyjemnie. Jakieś zawroty głowy? Albo też wcale nie zadziała...

Poczekam do dziesiątej, powiedział sobie. Mary przyszła po tacę, a on czytał dalej te dziwne historie. Na swój sposób, to był dla niego najciekawszy wieczór w życiu. Nikt do niego nie przyszedł, nie słyszał żadnych głosów ani kroków. Leżał tak, czysty, niewinny, nie pił. Nawet nie chciał pić. Czekał na połknięcie dziwnej, żółtej pigułki.

O dziesiątej wziął szklankę wody i połknął ją. Będzie spokojnie czytał, pomyślał, póki się coś nie zacznie dziać...

Czytał spokojnie, ale nic się nie wydarzyło. Zaczynał robić się senny, ale nie w zwykły sposób. O jedenastej wziął drugą pigułkę i po dziesięciu minutach zaczął ziewać, aż łzy pociekły mu po twarzy.

To naprawdę działa, pomyślał ze śmiechem i zgasił światło.

Obudził się o ósmej. Dobry Boże, powiedział sobie w duchu. Nie spałem tyle od lat. Czuję się... cudownie. Nigdy w życiu nie czułem się lepiej.

To był dla niego początek nowej ery. Tak! Teraz, kiedy przestałem pić, pomyślał, wszystko będzie inaczej. Dam sobie dwa, trzy dni na dojście do siebie... Dzisiaj o czwartej będzie dwadzieścia cztery godziny. O czwartej, co jest o czwartej? Och, tak, ciotka Lou.

Znów poczuł ciężar. Wszystkie te problemy i trudności. Teraz wydały mu się nawet gorsze, kiedy wreszcie miał jasny umysł. Jeśli Reggie postanowi opowiedzieć o tym starym wariacie, będę miał poważne kłopoty. Dlaczego sam nie zadzwoniłem na policję, zastanawiał się, oburzony. Nie mogłem zrobić nic gorszego niż... to, co zrobiłem. Teraz, kiedy znajdą ciało, a Reggie zacznie mówić, będzie wyglądało...

Będzie wyglądało na morderstwo. To, co uczynił, było doskonale proste, uzasadnione i zgodne z prawem. Ten człowiek go zaatakował, a on się bronił. Chyba uderzyłem go dwa razy, ale to nie jest ważne. Ważne jest to... że pozbyłem się ciała w taki sposób. Zachowałem się jak winny, jak morderca.

W jego szafie w torbie wciąż leżały mokre ubrania i szpicruta. Teraz widział wyraźnie, jakie stanowią dla niego zagrożenie. Może się pojawić ktoś jeszcze. Może jest ktoś, kto wiedział, że Paul wybiera się do daczki. Potem przyjedzie policja i zapyta, czy ten staruch kiedykolwiek tam dotarł. Nawet jeśli on powie,

że nie, Reggie temu zaprzeczy. Przeszukają dom i znajdą ubrania i szpicrutę.

Jak im to wyjaśnię? — zastanawiał się z rosnącą paniką. Dobry Boże! Wszystko, co zrobiłem, zrobiłby również morderca. Dobry Bo-że! To robi z nami alkohol... Muszę to odpowiednio załatwić, bo ina-czej czeka mnie zupełna ruina.

Gdyby nie Reggie, pomyślał, udałoby mi się. Pozbyłbym się ubrań i szpicruty, a potem wszystkiemu zaprzeczał. Powiedziałbym, że nig-dy nie widziałem tego człowieka na oczy. W końcu, nie jestem byle kim. Mam swoją pozycję w społeczeństwie. Moje słowo coś znaczy. Ale jeśli żona mnie nie poprze...

To właśnie ma zamiar zrobić. Wie, że ja wiem, co ona knuje. Dla-tego się mnie boi. Zamyka drzwi na klucz. Chce się wyprowadzić do hotelu. Potem powie policji. Ona się mnie boi, bo czuje, że ja wiem o jej planach wydania mnie policji. Ale jak mam ją powstrzymać?

Ręce mu się trzęsły, a pot wystąpił na czoło. Wrócili nudności, wszystko zaczęło się od nowa. A już miało się zacząć dla niego nowe, jasne życie pełne nadziei.

Gdybym przeżył jeden dzień wolny i trzeźwy, pomyślał, poradził-bym sobie. Nolan będzie musiał wszystko zorganizować jeszcze dziś. Wtedy ona będzie całkowicie zhańbiona i nic, co powie, nie będzie już miało znaczenia.

Jeśli spróbuje mnie wydać, wszyscy pomyślą, że to czysta złośli-wość i chęć zemsty. Tak też by było. Niestety, dzisiejszy dzień nie bę-dzie dla mnie spokojny. A jeśli dziś przyjedzie policja... zanim pozbę-dę się torby? O Boże! Nie chciałem dziś pić. Tak dobrze się czułem... Ale muszę.

Wypił tylko dwa głębsze, ale pomogło. Zabiorę torbę do biura, po-myślał. A jeśli uda mi się wyciągnąć Reggie z domu... Tylko że ktoś musi przekazać jej telefonicznie wiadomość. Dobrze. Trzeba do niej zadzwonić wcześniej. To da się załatwić. Potem wyciągniemy ją z do-mu, żeby nie było jej tu, kiedy przyjedzie policja. Torby też już nie bę-dzie.

109

Jego mózg pracował na pełnych obrotach. Wyciągnął nieszczęsną torbę i zamknął w szafie wszystkie butelki, pełne i puste, i zszedł z tor-bą na dół. Przy stole siedziały te same osoby, co zwykle: panna Castle, Reggie i Jay.

— Mam nadzieję, że dobrze pan spał, panie Duff — powiedziała panna Castle.

Wspaniała kobieta. Prawdziwa kobieta.

— Tak, dziękuję — odparł z uśmiechem. — Taki piękny mamy dzień... Reggie, nie chciałabyś pojechać na wycieczkę do parku Rio?

Jest tam cyrk. Nolan mógłby cię zawieźć, mówi, że wystarczy mu benzyny. Mogłabyś zjeść obiad w kasynie, a potem Nolan by cię przywiózł. Pannę Castle i Jaya oczywiście też.

— Świetny pomysł — ucieszyła się panna Castle.

— Dziękuję, Jake — odpowiedziała Reggie. — Tylko że dziś jest mój dzień pracy w szpitalu.

— Nie możesz przełożyć?

— Reggie, przełóż! — krzyknął Jay. — Reggie, proszę! Chciałbym iść do cyrku!

— Możesz pojechać z panną Castle, kochanie.

— Ja chcę z tobą — zaprotestował Jay. — Przełóż, proszę, zrób to! — Podskoczył z krzesła z tym gorączkowym podnieceniem, którego Duff nie cierpiał. — Reggie, proszę!

— No, dobrze, kochanie — zgodziła się niechętnie. — Jutro mogę iść do szpitala.

Och, nie, nie pójdziesz, pomyślał Duff. Wiem, że jesteś aniołem miłosierdzia i świętą, ale jutro tam nie pójdziesz.

— Dobrze — powiedział. — Więc Nolan przyjedzie po was za jakąś godzinę.

— Świetny pomysł — powtórzyła znów panna Castle.

Była zadowolona. Doceniała fakt, że on zaplanował małą wycieczkę dla domowników. Uśmiechnął się do niej, ledly wstawał, ale uśmiech zeszywniał na jego twarzy, kiedy nasza go ta myśl. Gdyby ona wiedziała... pomyślał. Wyszedł do holu i wziął torbę. Wydawało mu się, że od zawsze nosi ze sobą torbę pełną czegoś wstydliwego i niebezpiecznego. Od zawsze tak chodził z jednego miejsca w drugie w poszukiwaniu odpoczynku, spokoju.

Nolan czekał na niego na podjeździe.

— Możesz dopilnować, żeby dostała wiadomość przez telefon przed dziesiątą? — zapytał.

— Dlaczego nie?

— A jeśli nie uda ci się złapać Ferrisa, żeby mu przekazać liścik?

— Znajdę go. Chce pan to zorganizować na jutro? — zapytał Nolan.

— Nie, na dziś.

— Jutro byłoby lepiej. To by nam dało trochę czasu.

— To musi być dzisiaj — rzucił krótko.

— Dlaczego? — zapytał Nolan.

Nawet Nolan obrócił się przeciwko niemu. Gdyby wiedział, co jest w torbie, pomyślał Duff.

— Może jutro będę musiał wyjechać do Waszyngtonu w interesach — odparł.

— No cóż, chyba się uda — rzekł Nolan. — Ma pan te pigułki?

— Zapomniałem — stwierdził Duff. — Muszę po nie wrócić.

— Niech pan zostawi tutaj torbę — powiedział Nolan.

Duff udawał, że go nie słyszy. Bał się zostawić torbę z Nolanem, z kimkolwiek. Wszedł z powrotem do domu, przeszedł obok jadalni, gdzie cała trójka wciąż siedziała przy stole, i poszedł schodami na górę do swego pokoju. Wszystko, co musiał zrobić, było wielkim wysiłkiem okupionym bólem. Ciało miał jak z ołowiu.

Wrócił potem do samochodu, a Nolan ruszył.

— Powiedziałem, że za godzinę wrócisz i zawieziesz ich do parku Rio — rzekł po chwili Duff.

— Dlaczego pan to zrobił? Muszę dostarczyć liścik Ferrisowi i zorganizować całą resztę.

— Nie zdawałem sobie sprawy... — powiedział Duff. — Jay bar-

dzo chciał zobaczyć cyrk, który tam przyjechał.

Najgorszym nieszczęściem zdało mu się to, że nie mógł już swobodnie rozmawiać z Nolanem. Kiedy rozmawiał z nim wczoraj, ani razu nie pomyślał o starym Paulu, ale teraz, z tą torbą u stóp, zrozumiał, że Nolan również mógłby być dla niego niebezpieczny.

— Cóż, chyba sobie poradzę — rzekł Nolan. — Ale potrzebuję więcej pieniędzy na benzynę.

Duff podał mu trzy dziesięciodolarowe banknoty i butelkę z pigułkami nasennymi.

111

-L X X

— Weź tyle, ile potrzebujesz, i oddaj mi butelkę — dodał.

— Dobrze. — Nolan włożył butelkę do kieszeni.

— Właściwie możesz mi oddać butelkę od razu.

— Nie mogę nosić tabletek luzem w kieszeni. Później oddam panu butelkę.

Jechali jakiś czas.

— Zostawię ich w parku i zadzwonię do pana po ten liścik.

— Jald liścik?

— Liścik, który napisze pan do kapitana Ferrisa.

— Nie mogę tego zrobić! — oburzył się Duff. — Ty to musisz zrobić, Nolan.

— Mam tu kopertę, którą ona zaadresowała do Ferrisa, a potem wyrzuciła, a do tego część listu, który do niego napisała. To łatwe do podrobienia pismo.

— Powiedziałem ci już, że nie mogę tego zrobić! Ty na pewno lepiej sobie z tym poradzisz.

— Nie — odparł Nolan. — Nie chcę.

— Dlaczego? Myślałem, że się dogadaliśmy, że ty wszystko zrobisz.

— Powiem panu dlaczego — rzekł Nolan. — Nie chcę być jedynym, który wszystko zorganizuje, fałszywy telefon, liścik, pigułki i wszystko. Jesteśmy w tym razem.

— Nie mogę tego zrobić.

— Dobrze, więc odwołajmy wszystko.

Nie mogę tego odwołać, pomyślał Duff. Muszę zadbać o to, żeby Reggie się skompromitowała, zanim pojawi się policja. Nieważne, jak bardzo mnie to mierzi, jałd jestem zmęczony, jak źle się czuję. Do diabła, muszę to doprowadzić do końca.

— Nolan — zawołał w desperacji—ja po prostu nie jestem w stanie tego zrobić. Nie czuję się zbyt dobrze. Ręka mi drży.

— Więc poczekamy.

— Dobrze — odezwał się po chwili Duff. — Daj mi tę kopertę i rób swoje. Spróbuję.

Nolan podał mu papiery.

— Weźmiesz kilka z tych pigułek i rozpuścisz w whisky stojącej w daczynie... — ciągnął Duff. — Ale jak masz zamiar poradzić sobie z nią?

112

— Pan zadzwoni i powie, że nie będzie pana w domu dziś wieczorem. Ona otrzyma już wiadomość telefoniczną od kapitana Ferrisa i wykorzysta okazję. Każe mi się zawieźć na stację na pociąg o wpół do ósmej. Po drodze wstąpię po dwie cole.

- A jeśli nie będzie chciała?
- I tak wypije, choćby z grzeczności, kiedy jej przyniosę.
- Już tak robieś?
- Wiele razy — odparł Nolan.

Cała moja żona, pomyślał Duff. Wyobraził ją sobie w przydrożnym barze, jak pije przez słomkę z butelki. I to z szoferem!

- A jeśli zaśnie, nim dotrze do daczki? W pociągu? — zapytał.
- Ktoś ją obudzi. Dam jej tylko jedną tabletkę. To jej nie pozabawi przytomności. Będzie tylko bardzo senna, zbyt senna, żeby ruszyć się z chaty, kiedy już tam dotrze.
- Jesteś pewien?
- Zupełnie pewien.
- A jeśli coś pójdzie nie tak... — zaczął Duff.
- To stwierdzą, że uknuto przeciw nim spisek — odparł Nolan.
- Ale i tak im nikt nie uwierzy. Nawet gdyby się pan przyznał, że zastawił na nich pułapkę, nie byłoby tak źle. Chciał się pan upewnić, czy żona spotyka się z innym, i to wszystko. Zdradzony mąż zawsze żyje w poczuciu winy.

Tylko że Nolan nie wie o Paulu, pomyślał Duff. Nie wie, co Reggie mogłaby mi zrobić, gdyby chciała.

Rozdział siedemnasty

Kupił ćwiartkę żytniej i włożył do kieszeni płaszcza. Poszedł do hotelu niedaleko dworca centralnego i nie zastanawiając się nawet zbyt nio nad tym, wziął pokój na nazwisko Harold Carlton z Buffalo. Dał napiwek bagażowemu i zamknął się w środku, żeby napisać liścik. Nie mógł użyć papeterii hotelowej. Musiał natychmiast wyjść, żeby kupić czyste kartki papieru. Każdy szczegół był tak kłopotliwy, ko-sztował go tyle wysiłku. Kupił papeterię w pobliskim sklepie, a kiedy wrócił do pokoju, rozłożył kopertę i list, który dał mu Nolan.

„Drogi Wilfredzie! Przepraszam za...”

— Nie mogę tego zrobić — krzyknął sam do siebie. — Nie wiem, co napisać. Nie mogę tego zrobić!

Cała inicjatywa, siła, duchowa i fizyczna uszły gdzieś z niego. Nie mógł myśleć. Ledwie poruszał ociężałymi mięśniami. Oparł głowę na splecionych na stole dłoniach i zapłakał.

Ale jeśli to się nie stanie dziś, na pewno zdarzy się coś innego. Przyjedzie policja albo Reggie do nich pójdzie. Muszę się też pozbyć tej cholerne torby, myślał, szlochając. Muszę się z tego wydostać. Muszę to zakończyć.

Nienawistnym wydał mu się pomysł wypicia drinka, ale musiał spróbować, sprawdzić, czy da mu choć trochę siły i jasności umysłu. O mało nie zwymiotował, ale w końcu przełknął i po chwili poczuł się zadziwiająco lepiej. Czas nabrać odwagi. I to szybko. Nie mógł liczyć na to, że poprawa samopoczucia potrwa dłużej. Mogła zniknąć równie szybko, jak się pojawiła.

Napisał na brudno:

„Drogi Wilfredzie!

Coś się wydarzyło i muszę o tym z tobą porozmawiać. Zorganizowałam wszystko tak, że będę sama w domu na Driftwood Beach dziś wieczorem. Proszę, przyjedź około dziewiętej. To naprawdę strasznie ważne.

Pozdrawiam, Reggie”

Tak będzie dobrze, pomyślał. Ona by tak napisała. „Naprawdę strasznie ważne”. Próbował przepisać to, podrabiając jej pismo, żeby było choć trochę podobne, ale nie potrafił. Drżąca ręka skrobała po papierze trudne do odczytania bazgroły.

Próbował wiele razy, ale nie wychodziło mu.

Ona umie pisać na maszynie, przypomniało mu się nagle. Zabiorę to do biura i przepiszę...

Wsiadł do taksówki z tą przeklętą torbą. Wszystko to było takie trudne i uciążliwe.

114

— Wyjeżdżasz? — zapytał go Hanbury, kiedy dotarł do biura.

— Och, nie! — odparł. — To lalka rzeczy, o które prosiła moja żona. Tak mi będzie łatwiej je przewieźć.

W jego gabinecie panna Fuller pisała na maszynie.

— Potrzebuję maszyny do pisania na lalka minut, panno Fuller

— powiedział.

— Może ja to przepiszę? — zapytała.

— Nie, dziękuję, to osobisty list — odparł.

Musiał to zrobić w obecności panny Fuller. Nie umiał dobrze pisać na maszynie. Popełniał błędy, ale ldey wyjął kartkę z maszyny, nie odważył się jej wyrzucić. Musiał ją włożyć do kieszeni. Siedział, pocąc się i stukając w Idawisze, zdając sobie sprawę z tego, jak dziwne to wszystko wyda się pannie Fuller.

— Jest tu pańsld szofer, panie Duff.

— Niech poczeka — odparł.

Skończył. Zaadresował kopertę. Zrobił błąd. Wziął drugą, potem trzecią. Kieszenie miał pełne pogniecionego papieru.

— Niech pani tu przyśle Nolana, panno Fuller — powiedział.

Coś nieludzkiego jest w tej zwawości Nolana, pomyślał.

— Och, przepisał to pan na maszynie? — zdziwił się Nolan.

— Inaczej nie dałem rady — odrzekł.

— Zobaczmy — rzucił Nolan i wyjął list z koperty. — Podpisał

pan. To dobrze. On tam przyjedzie około dziewiątej, a ona przed dzie-

siątą. To mu da chwilę, żeby się napić. Zaraz po dziesiątej odkręcę

gaz. Dziesięć minut później pan przyjedzie i zajrzy przez okno. Potem

pojedzie pan wezwać policję. Powie im pan, że w domku jest dwoje

ludzi, najwyraźniej nieprzytomnych.

— Jak odkręcisz gaz?

— Po prostu wejdę przez okno kuchenne. Piekarnik jest tuż pod

nim.

— Nolan... Gaz może...

— Nie w tak krótkim czasie. Zresztą pewnie otworzą jakieś okno.

- A jeśli nie będą spali?
- Będą.
- Jesteś cholernie pewny siebie — rzucił Duff ze złością.

115

- Mam do tego prawo — odparł Nolan. — Niewiele razy w życiu powinęła mi się noga.
- Niebezpiecznie jest tak się puszyć.
- Może — zgodził się. — I jeszcze jedno. Jest pan w stanie sam poprowadzić samochód kilka mil?
- Co znaczy, czy jestem w stanie? — zapytał Duff.
- Bez urazy. Mógłby pan wypożyczyć samochód na stacji benzynowej i zaparkować przy stacji kolejowej. Będzie pan czekał tam na mnie. Ja przyjadę pańskim autem i dam panu sygnał. — Wyciągnął przed siebie palce, pokazując literę V. — Pan odpowie mi tym samym. Będzie pan wiedział, że jadę odkręcić gaz. Da mi pan dziesięć minut i pojedzie pan do domku na wsi. Dobrze?
- A jeśli nie będą spali i nie odkręcisz gazu?
- Wtedy spotka mnie pan po drodze i powiem panu o tym.
- I tak powinniśmy się spotkać.
- Nie. Kiedy odkręcę gaz, przejadę obok daczki i wrócę do Vandenbrinck inną drogą. Nie chcę, żeby mnie ktoś zauważył.
- Kiedy zadzwonię na policję, powinienem chyba powiedzieć, że coś mnie zaniepokoiło.
- Boże drogi, nie! Niech pan się nie przedstawia. Po prostu pan

przejeżdżał, zgubił pan drogę i zobaczył światło w chacie. Zatrzymał się pan, żeby zapytać o drogę. Kiedy pan zajrzał przez okno, poczuł pan gaz. Jako przykładowy obywatel, zaniepokoił się pan i postanowił zawiadomić policję.

— Skąd mam zadzwonić?

— Ze stacji benzynowej, ze sklepu, obojętnie.

Czuł się okropnie, prosząc za każdym razem o radę Nolana.

— Jesteś pewien, że ten gaz nie będzie dla nich niebezpieczny?

— Nie, jeśli przyjedzie pan dziesięć minut po mnie.

Panna Fuller weszła, a potem wyszła, ale to nie martwiło Nolana. Nic go nie martwiło. Cały ten potworny ciężar spadł na ramiona Duffa, z jego przeklętą torbą, drżeniem rąk, ze strachem i poczuciem nie-szczęścia.

— Chciałby pan teraz wyjaśnić tę sprawę z WMC, panie Duff? —

znowu pojawiła się panna Fuller.

— Nie, nie teraz — odparł Duff. — Wychodzę na obiad.

— Dość wcześnie — zauważyła.

116

Spojrzał na zegarek. Było dopiero piętnaście po jedenastej. Wszy-stko, co dziś robił, było dziwne. Wiedział o tym... A najtrudniejsze za-danie wciąż było przed nim. Wizyta u pani Albany. Muszę się wziąć w garść, pomyślał. Nie wiedział tylko, czy łatwiej będzie mu się po-zbierać, kiedy wypije kilka drinków, czy nie pijąc ani kropli. Nie wiem... pomyślał. Po prostu nie wiem.

Był pewien, że nie uda mu się zjeść obiadu. Nie wiedział, gdzie iść i co ze sobą zrobić do godziny czwartej. Miał wrócić do pokoju w ho-telu, który jeszcze wynajmował? Nie, pomyślał. Nie wytrzymałbym. Nie mógłbym tam wysiedzieć sam. Chcę iść gdzieś, gdzie są ludzie.

Jedynym miejscem, gdzie są ludzie, a gdzie nikt nie będzie go za-czepiał i zadawał pytań, był bar. Mógłbym wypić piwo, pomyślał. Przynajmniej jest sycące.

Musiał wziąć ze sobą tę przeklętą torbę. Ku jego rozpaczy, kiedy jechał windą, do oczu zaczęły napływać mu łzy. To niedobrze, pomy-ślał. Jestem w kiepskim stanie. Wszystko to jest dla mnie wielkim

wy-siłkiem. Włożył rękę do kieszeni, szukając chustki, i znalazł w niej wszystkie te zgniecione kartki. Tego już za wiele, pomyślał, wstrzymując drżenie ust.

Z torbą w ręku szedł przed siebie w stronę śródmieścia, póki nie dotarł do baru, w którym nigdy nie był. Wypił dwie podwójne whisky, a potem złapał taksówkę w drugą stronę, do hotelu. Kiedy wysiadł z taksówki, chwiał się na nogach. Wiedział, że po raz pierwszy od wielu lat musi naprawdę wyglądać na całkiem pijanego. Ale przecież nie jestem, pomyślał. Mogę wypić dwa, trzy razy tyle i nic po mnie nie widać. To ta cała sprawa...

Kiedy wszedł do nijakiego, czystego pokoju hotelowego, położył się od razu na łóżku w kapeluszu i płaszczu. Ukrył twarz w poduszce i płakał jakiś czas, a potem zasnął.

Kiedy się obudził, znowu nastąpiło magiczne orzeźwienie. Odwrócił się na bok i szukał po kieszeniach papierosów. Znowu natrafił na te pogniecione kartki. Teraz mógł sobie w ciszy i spokoju z nimi poradzic. Zapalił papierosa i spojrzał na zegarek, zaskoczony, że jest już po czwartej.

Wstał, podał kartki na małe skrawki i wrzucił je do muszli, po czym spuścił wodę. Umył się zimną wodą, uczesał włosy. Patrzył

117

zmrużonymi oczami na swoją zmęczoną, czerstwą twarz. Potem wziął tę przeklętą torbę i zszedł na dół.

Kiedy wyszedł na ulicę, padał niewielki deszczyk.

- Taksówkę — rzucił do odźwiernego.
- Postaram się, psze pana — odparł odźwierny.

Duff nie lubił, kiedy ktoś mówił do niego: „psze pana”. Poczuł na-tychmiast niewystowioną odrazę do tego człowieka. W jego smagłej twarzy było coś zuchwałego. Jasnoniebieski mundur, za duży na nie-go, sprawiał, że wyglądał jak dumny, stary żołnierz z kampanii napo-leońskiej. Obok przejeżdżał sznur samochodów, mijały ich jedna tak-sówka za drugą, tuziny taksówek, ale żadna z nich nie zatrzymała się, a jedyne, co ten człowiek robił, to dmuchał w głupi gwizdek.

- Idź na róg, to złapiesz taksówki z dwóch stron.
- Na rogu wcale nie jest lepiej — odpowiedział odźwierny.
- Oczywiście, że tak! — oburzył się Duff. — Kiedy taksówka je-

dzie tędy, to jest na zielonym świetle. Idź na róg, śpieszy mi się.

- Cóż, nie tylko panu — odparł smagły odźwierny.
- Co? — zdziwił się Duff. — Nie odzywaj się tak do mnie.

Mężczyzna wzruszył ramionami w tym swoim za wielkim mundu-rze i dmuchnął znów w głupi gwizdek. Duff stał wściekły, walcząc z furią, która go nagle ogarnęła. Miał ochotę zdzielić tego człowieka, kopać go i krzyżeć. Nie, uspokajał sam siebie. Nie. Nie można tak ro-bić. To... niedobrze, kiedy człowiek tak się czuje. Jestem zbyt zdener-wowany. Muszę się uspokoić.

Taksówka podjechała pod hotel i wysiadły z niej dwie kobiety. Odźwierny wyszedł do nich ze swoją wielką parasolką. Duff wsiadł potem do taksówki i zatrasnął drzwi. Podał kierowcy adres hotelu, w którym mieszkała pani Albany. Gdyby tylko potrafiła zrozumieć, pomyślał. Gdyby tylko wzięła moją stronę.

Ogarnęła go czarna rozpacz. Jej przychylność była dla niego naj-ważniejsza, niezbędna. A ona była tak cholernie uparta. Wbiła sobie do głowy, że Reggie to anioł, i nie obchodzą jej fakty. Teraz, kiedy jej potrzebuję, na pewno będzie się upierać i krytykować mnie bez cienia współczucia.

Sama otworzyła drzwi swojego apartamentu.

— Ach, to ty — powiedziała, spojrzawszy na niego swoimi jasny-mi, surowymi oczyma.

118

— Tak, to ja — wzdychając ciężko odrzekł, i postawił torbę na podłodze.

— Wyjeżdżasz gdzieś, Jacobie? — zapytała.

— Nie — odparł. — Mam mnóstwo papierkowej roboty do domu, więc wydało mi się, że to najlepszy sposób noszenia tego wszystkiego.

Przepraszam, że się spóźniłem, ciociu Lou.

— Nie powiedziałeś, o której dokładnie będziesz, Jacobie. Usiądź i zapal papierosa. Herbata będzie gotowa za chwilę. Wyglądasz na zmęczonego.

— Jestem w szoku — powiedział.

— Jakiś przyjaciel zginął na wojnie?

— Nie — zaprzeczył. — Nie. To Reggie.

Spojrzał na nią i od razu rozpoznał po sposobie, w jaki ułożyła wą-skie usta, jej wewnętrzny opór. Poczuł

rozpacz.

— To nie ma sensu! — krzyknął. — Chciałem ci powiedzieć... Jestem w cholernie opłakanym stanie i nie mam się do kogo zwrócić.

Nie potrafię wyrazić... tego, przez co przeszedłem. Zresztą, to i tak nie ma sensu. Już postanowiłaś, że nigdy nie uwierzysz w nic złego na temat Reggie.

— Nie... — zaprzeczyła. — Chodzi o to, że nie jesteś w stosunku do niej sprawiedliwy. Znudziła ci się... a kiedy tobie ktoś się znudzi, zaczniesz być bezwzględny.

— Bezwzględny... to okrutne słowo — odparł ponuro. — A ja chyba nigdy w życiu nie zrobiłem nikomu krzywdy.

— Zraniłeś wielu ludzi, Jacobie.

— Dobrze — zgodził się. — To nie ma sensu. Jestem bezwzględny. Jak uważasz. To nie ma sensu.

— Nigdy nic takiego nie powiedziałam, Jacobie.

— Ale tak myślisz. Nie wierzysz, że jestem zdolny do jakichkolwiek uczuć. Nie wierzysz, że mogę czuć się urażony, zrozpaczony, bliiski końca.

— Opowiedz mi o tym, Jacobie.

— To nie ma sensu!

— No, już! — uspokajała go z uprzejmą surowością. — Nie lubię tylko tych wstrętnych, obraźliwych plotek, jakich słuchasz na temat swojej żony. Gdyby było w tym coś poważnego...

— Pewnie stwierdzisz, że to nic takiego. Ona po prostu spotyka się z innym mężczyzną pod moim dachem, Idedy jestem w biurze. Dała mu tysiąc dolarów... moje pieniądze.

— Jacobie! Jesteś pewien?

— Jestem. Zjrzałem do jej zapisków w książeczce czekowej. Chyba nie powinienem był tego robić. Powinienem jej wierzyć.

! — Kim jest ten człowiek?

— Jakiś Anglik, nazwiskiem Ferris.

— Och... kapitan Ferris?

— Co? Znasz to nazwisko?

— Słyszałam, jak Jay o nim mówi. To oficer marynarki wojennej, prawda?

— Tak mi mówiono. Nie miałem przyjemności poznać kapitana Ferrisa. Nie odwiedza nas, Idedy jestem w domu.

— Rozmawiałaś już o tym z Reggie?

— Nie. Wszystkiemu by zaprzeczyła. Zrobiłaby się z tego scena.

— Powinna mieć szansę obrony.

— Dam jej tę szansę — odparł.

Weszła Rosę z herbatą.

— Babeczki — powiedziała pani Albany. — Z prawdziwym masłem. Lubisz babeczki, Jacobie.

— Dziękuję — odparł.

Pani Albany i Rosę wymieniły spojrzenia pełne doskonałego porozumienia. Tak się przynajmniej wydawało Duffowi. Bez słów przekażywały sobie informacje jak dwóch robotników z metra. Nie wierzył, że to prawdziwe masło.

— W jaki sposób masz zamiar dać szansę Reggie? — zapytała,

kiedy Rosę wyszła.

- Nie spodoba ci się to. To nie po dżentelmeńsku...
- Powiedz, Jacobie.
- Zadzwoń, że dziś nie wrócę do domu na noc, ale wrócę, tylko później, i myślę, że zastanę tam kapitana Ferrisa.
- Och, Jacobie! We własnym domu? Przy twoim synu? To straszny skandal.
- Tego właśnie chcę — rzekł. — Przeszedłem przez takie piekło... Nie uwierzyłybyś. Nikt by nie uwierzył. Gdybym wcześniej wiedział, jaka ona jest... To tania, niechlujna, kłamliwa, mała suka.

120

- Jacobie!
- To prawda.
- Zjedz babeczkę, z prawdziwym masłem.
- Przepraszam, ale nie mogę. Od wielu dni nie mogę nic przekonać. Byłem znów dziś u lekarza, ale on nie jest w stanie nic pomóc w takiej sytuacji. Nie mów mi tylko, że to moja wina. Wiem, że tak jest. Nie powinienem był się żenić z tą małą wywłoką, którą poderwałem w taniej restauracji. Ale przecież wyglądała jak święta. Wierzyłem, że taka jest. Ty zresztą też.
- Jacobie, nie bądź taki zgorzkniały.
- A jaki mam być? Pewnie wszyscy sąsiedzi wiedzą o Ferrisie od tygodni, miesięcy. Śmieją się ze mnie.
- Ale nie załatwiał tego w ten sposób. Weź adwokata. Weź

Harolda Mallingera. On ci doradzi. Nie rób skandalu we własnym domu.

— To będzie lekcja dla Jaya. Kiedy będzie dorosły i zechce się ożenić, zastanowi się dobrze, nim sobie weźmie taką dziewczynę.

— Jacobie, nie wracaj do domu. Ja tam pojadę i porozmawiam z panną Castle...

— Nie — zaprzeczył. — Załatwię to po swoimemu.

Zaczynała się denerwować. To było jak balsam na jego rany. Po-czuł się silny, uspokojony, pewny siebie.

— Nie podoba mi się to, Jacobie — rzekła. — Zastawiasz pułapkę...

— Nie sądzisz, że mam prawo zastawić sidła na człowieka, który kradnie moją żonę... i pieniądze?

— Cóż... — powiedziała tylko i na chwilę zamilkła.

Szczupłe dłonie trzymała złożone na kolanach. Na pewno mnie nie wini, pomyślał. Sama widzi, że tak właśnie powinienem postąpić.

— Oczywiście — rzekła po chwili zastanowienia — w pewnym sensie sam jesteś temu winien, Jacobie. Zaniedbywałeś Reggie...

— I to ją usprawiedliwia?! — krzyknął.

— Nie... — odparła pani Albany. — Nie. Ale przynajmniej powinienś dać jej szansę się wytłumaczyć. Jeśli nie znajdziesz tego kapitana Ferrisa w domu...

— Wtedy udam się do prawnika. Chcę tylko wiedzieć, że mnie popierasz.

— Wołałabym, żebyś to załatwił inaczej — odparła. — Zwłaszcza

ze względu na Jaya. Ale cóż... tak, poprę cię.

— Tego potrzebowałem — powiedział z głębokim westchnieniem.

Wstał. Ona też wstała. Ucałował ją w skroń. Ona była jego sumieniem i teraz wyraziła swoje poparcie. Jego dusza natychmiast pozbyła się całego ciężaru i poczucia winy.

— Ale nie użyjesz siły wobec tego Ferrisa?

— Nie obiecuję, że nie wykopię go z domu.

— Cokolwiek zrobisz, Jacobie, pomyśl o Jayu.

— Dobrze.

— Zapomniałeś torby, Jacobie.

Nagle coś mu przyszło do głowy.

— Mogę ją tu na jakiś czas zostawić? — zapytał. — Są w niej poufne dokumenty.

— Zaopiekuję się nią — powiedziała pani Albany.

Więc i ten ciężar zniknął. Dobrze zrobiłem, stwierdził. Jedynie jej mogę ufać bez ograniczeń. Nawet gdyby zostawił tę torbę otwartą, nie zajrzałyby do środka.

Jestem na dobrej drodze, pomyślał, wychodząc z jej domu. Już wszystko w porządku.

Rozdział osiemnasty

Kupił lalka gazet i tygodników. Zabrał je do swojego pokoju w hotelu. Zamówił obiad, zjadł dość sporo. Nie wypił nic i nie potrzebował wypić.

Kiedy skończył jeść, usiadł w fotelu pod lampą, przy otwartym oknie i czytał. Czuł się uspokojony, poukładany i rześki. Mam zielone światło, powiedział sobie. Ciotka Lou to zrozumiała. Robię to, co należy zrobić. To jedyne rozwiązanie.

Zostawił za sobą całe to paskudne życie, wypełnione pustymi butelkami, torbami z przerażającą zawartością, strachem i cierpieniem. Był teraz wolny, niezależny, pełen godności. Możliwe, pomyślał, właściwie nawet bardzo prawdopodobne, że nigdy już nie zobaczę Reg-

gie po dzisiejszym dniu. Z pewnością nie pozwolę jej wrócić do domu, w którym jest mój syn.

Był podenerwowany, ale nie rozszłoszczony. Cały czas kontrolował upływ czasu, a kiedy przyszła pora, żeby iść, wstał. Butelka whisky była do połowy opróżniona, więc postanowił ją zostawić i kupić nową. To był doskonały symbol jego nowej wolności. Mógł to zrobić, po prostu wyjść, zostawiając butelkę. Nie musiał nic ukrywać, zamykać toreb i drzwi.

Wsiadł do pociągu do Driftwood Beach. O tej porze dnia i o tej porze roku wagony były prawie puste, ale brał pod uwagę, że konduktor lub jakiś pasażer może go rozpoznać. To nic. Niech go obserwują, niech widzą, jaki jest poważny, człowiek z ważną misją.

Otrzymałem informację ze źródła, którego nie chcę ujawniać, że moja żona zorganizowała spotkanie ze swoim kochankiem w naszej daczce na plaży. Pojechałem tam z zamiarem potwierdzenia lub zaprzeczenia plotki, którą usłyszałem. Ale nie, pomyślał. Nie. Gentleman nie może się do tego przyznać.

Wyobraził sobie siebie, stojącego między sędzią a ławą przysięgłych, mówiącego tonem ponurym i surowym. Sędzia albo adwokat, czy też ktoś inny, zapytałby:

Pyt.: Panie Duff, czy pańskie małżeństwo było szczęśliwe?

Odp.: Moje małżeństwo nigdy nie było szczęśliwe.

Pyt.: To znaczy, że często się państwo kłóciliście?

Odp.: Nie kłóciliśmy się wcale.

Pyt.: Więc pod jakim względem pańskie małżeństwo nie było szczęśliwe, panie Duff?

Odp.: Wolałbym nie odpowiadać na to pytanie.

Pyt.: Czy pańskie pożycie z żoną było normalne, satysfakcjonujące?

Odp.: (niechętnie) Nie żyliśmy ze sobą jak mąż i żona od kilku miesięcy...

— Driftwood Beach! Driftwood Beach! — zawołał konduktor.

Duff otworzył oczy. Odruchowo spojrzął na półkę w poszukiwaniu torby i westchnął z ulgą, kiedy zdał sobie sprawę, że jej nie ma.

Kiedy wysiadł na ciemnej, cichej, małej stacji, od morza wiał wiatr, chłodny i słony, balsam dla jego duszy. Szedł powoli na drugą stronę drogi do stacji benzynowej. Wszedł do jasno oświetlonego po-

mieszczenia z ladą. Za nią siedział mężczyzna w samej koszuli i czytał gazetę.

- Tak? — zapytał, spoglądając na niego.
- Chciałbym wypożyczyć samochód na kilka godzin.
- Niestety — odparł młody mężczyzna z szerokim, zadartym nosem.
- Nazywam się Duff.
- Cóż, Nieważne, jak się pan nazywa — powiedział młodzie-
niec. — My tu już nie wypożyczamy samochodów.
- Gdzie jest właściciel?
- W domu.
- Niech pan do niego zadzwoni. On mnie zna.
- Nie ma telefonu.
- Niech pan posłucha — ciągnął Duff. — Jestem właścicielem
domu w pobliżu i chcę tam pojechać, żeby coś sprawdzić.
- Może pan wziąć taksówkę.
- Chcę wypożyczyć samochód i pojechać sam.
- Już nie wypożyczamy samochodów. Nie wie pan, że jest woj-
na?
- Postuchaj pan! Powiedziałem, że nazywam się Duff. Jacob
Duff. Jestem właścicielem domu. Wszyscy mnie tu znają.
- Ale ja nie — odparł młody człowiek. — Niech pan weźmie tak-
sówkę.
- Postuchaj! Chcę wynająć samochód na kilka godzin. Mam pie-
niądze, żeby zapłacić kaucję, i kartId na benzynę. Jestem osobą odpo-
wiedzialną, każdy tu może za mnie poświadczyć...
- Nie rozumiem, czemu się pan uparł na samochód — przerwał

mu młodzieniec. —Taksówka...

— Nie przywykłem do tego, żeby mnie wypytywano — odparł

Duff.

— Wielka szkoda — powiedział młody człowiek, rozsiadając się wygodnie w krześle.

Przekłęty gnojek, pomyślał Duff, walcząc z rosnącą furią. Nie mógł sobie pozwolić na wybuch gniewu. Miał coraz mniej czasu.

— Posłuchaj — rzeld. — Kupię jeden z tych waszych przeklętych samochodów i odsprzedam wam za kilka godzin.

— Tak się nie da. Nikt się nie zgodzi.

124

— Jeśli zna pan kogoś, kto mógłby mi pożyczyć samochód na kilka godzin — powiedział Duff — zapłacę panu ekstra. Dwadzieścia pięć dolarów. — Nie zauważył na jego twarzy zainteresowania. — Pięćdziesiąt dolarów.

— Musi go pan bardzo potrzebować — zauważył chłopak.

— Och, idź do diabła! — wrzasnął Duff. — Pożyczę samochód od właściciela sdepu przemysłowego albo spożywczego.

— Sam pan idź do diabła — odparł, ale zaczynał się wahać. —

Ma pan gotówkę?

— Wypiszę czek. To wystarczy.

— To pan tak twierdzi.

Wysięk, spowodowany próbą opanowania gniewu, przyprawił Duffa o ból głowy. Ręce zaczęły mu się trząść i całe opanowanie gdzieś ulatywało. Wszystkie szczegóły były takie trudne, pracochłonne. Może lepiej dać sobie spokój...?

— Jeśli pan Hilley potwierdzi pański czek — ciągnął młody czło-

wiek — wypożyczę panu mój własny samochód.

- Dobrze. Zawołaj pana Hilleya.
- Nie mogę stąd wyjść, niech pan sam do niego idzie.
- Kto to jest?
- Myślałem, że zna pan tu wszystkich.
- Nie pamiętam nazwisk ludzi ze wsi.
- To właściciel sklepu spożywczego za rogiem. Niech pan do niego idzie, a on może do mnie zadzwonić.

Wszystko wróciło od nowa, drżenie, mdłości, nieznośne napięcie. Duff obszedł dookoła stację benzynową. Przystanął z boku w nieo-świetlonym miejscu, wyjął z kieszeni butelkę, którą wcześniej kupił.

Włożył ją jednak szybko z powrotem. Jeśli ten człowiek poczuje whisky, może nie chceć mi wypożyczyć samochodu. Teraz muszę się przed nim płaszczyć, ale latem, kiedy przyjedziemy tu na wakacje, do-pilnuję, żeby mu się dostało, i to z nawiązką.

Trochę go ta myśl pocieszyła. Chciał działać natychmiast. Miał ochotę zrzucić go z tego krzesła i dać mu niezłą lekcję, ale trzeba było na razie o tym zapomnieć — musiał pokonać złość, mdłości i przejść spokojnie na drugą stronę ulicy.

Pan Hilley go uspokoił. Jego miła, łagodna twarz, przypominają-ca owcę, nie była Duffowi znana, ale też on nie miał zwyczaju przyglą-

125

dać się ludziom uważnie. Za to pan Hilley znał dobrze pana Duffa i bardzo go szanował. Od razu też zadzwonił na stację benzynową.

— Obawiasz się, że czek pana Duffa jest bez pokrycia? — powie-dział. — Ależ nie! Elmer, czek pana Duffa jest równie pewny co pań-stwowe obligacje. Pan Duff przyjeżdża tu latem już od pięciu, sześciu lat i jest... Co mówicie? Oczywiście! Na każdą sumę.

Duff musiał wrócić do tego Elmera, zapłacić mu, wziąć jego samo-chód. Mdlilo go od tego wszystkiego. Boże! W jakim my żyjemy świe-cie? Porządny obywatel, taki jak ja, myślał z goryczą, musi się pła-szczyć przed takim jegomościem jak ten...

To był tani, obdrapany, mały samochód osobowy marki, którą Duff nigdy wcześniej nie jeździł. Teraz zaczął się denerwować prowa-dzeniem samochodu. Od dawna sam nie jeździł. Wydawało mu się nawet,

że wzrok ma słabszy niż dawniej. Kierownica była sztywna, a ręce miał dziwnie słabe. Musiał się napić.

Przejechał przez drogę i zatrzymał samochód na okrągłym parkin-gu, nieopodal stacji benzynowej. Wiatr wiał jednostajnie, a wioska wyglądała dziwnie. Była zbyt pusta. Chodzi o to, pomyślał, czy wypicie jednego głębszego pomoże mi, czy zaszkodzi. Nie znał odpowiedzi. Mógł się poczuć lepiej, ale równie dobrze mógł go zmorzyć sen albo mógł dostać mdłości. Nie wiedział. Poczekam, pomyślał. Później, jeśli zrobi się naprawdę źle...

Po chwili drogą przejechał Nolan. Prowadził powoli, a kiedy znalazł się pod łukowatą latarnią, wystawił dłoń i dwa palce ułożył w literę V. Duff odpowiedział tym samym.

To już, powiedział sobie Duff. Spojrzał na zegarek i przez jakiś czas nie odrywał od niego wzroku. Dam Nolanowi dziesięć minut, nie więcej. Pojadę tam. Spojrzę przez okno i zobaczę, jak leżą, a potem zadzwonię po policję. Wtedy będzie już po wszystkim.

Minęło dziesięć minut. Uruchomił silnik. Droga jest prosta, myślał, i nie ma tłoku. Nie ma się czym denerwować. Chyba tylko tym, że to byle jaki samochód... Jedź prosto, tłumaczył sobie w myśli, a za chwilę będzie po wszystkim.

Nie będzie po wszystkim. Reggie może zacząć mówić. I powie-dzieć o tym starym wariacie. Niech mówi. Zaprzeczę, że kiedykolwiek go widziałem i nie będą mieli na mnie nic, prócz słowa zhańbionej, winnej zdrady żony.

126

A jeśli powie o rozmowie telefonicznej? Jeśli Ferris pokaże sfał-szowany list? Dobrze. Niech pokaże. Przyznam wtedy, że zastawiłem na nich pułapkę. Jeśli mężczyzna ma powód wierzyć, że żona go zdradza, to uzasadnione jest...

Nagle olśniła go jak światło latarni chłodna świadomość. Nie wie-rzył, że Reggie go zdradza. Jeśli była teraz w domku z Ferrisem, to tyl-ko wskutek podstępu. Wystarczyło, że ona przemówi, a wszyscy jej uwierzą. Wszyscy.

Już ją widział, jak stoi przed ciotką Lou.

„Widziałam, jak zabił tego biednego starca. Powalił go na ziemię, a potem, kiedy staruszek próbował wstać, uderzył go, przytrzymał i znów uderzył. Nienawidził mnie, ale nie pozwolił mi odejść. Podro-bił mój podpis pod listem. Dał Nolanowi tabletki nasenne, żebym się nie opierała. Chciał mnie zniszczyć. Chciał mnie zabić...”

Samochód nagle zjechał z drogi i o mało nie uderzył w drzewo. Duff wyłączył silnik, pochylił się i kastał. Dusił się. Nie mógł nabrać w płuca powietrza. Szyja mu spuchła i czuł przerażający ucisk z tyłu głowy. O Boże... To już koniec...

Tak właśnie wygląda umieranie. Próbował wyjąć butelkę z kiesze–ni płaszcza. Kaszał, dusił się i drżał na całym ciele. Wyjął ją wreszcie, ale nie mógł odkręcić zakrętki. Tymi przeklętymi, trzęsącymi się ręko–ma uderzył szyjką butelki o framugę okna, ale za słabo. Spróbował znów i udało się ją zbić. Wypił łyk, zakrztusił się i wypluł. Wypił je–szcze łyk, ale tym razem go przełknął. Wciąż jeszcze kaszał, ale pomię–dzy jednym atakiem a drugim udało mu się przełknąć.

Pochylił się, chwytając z trudem powietrze, pił po łyku. Muszę się pośpieszyć, pomyślał. Muszę z tym skończyć. Muszę się pośpieszyć.

Ale nie mógł się ruszyć, jeszcze nie. Wypuszczające pierwsze list–ki drzewa szumiały mu nad głową. Słyszał nawet fale wpływające na piasek i cofające się do morza, słyszał własny, ciężki oddech.

Wypił łyk, odczekał, wypił i odczekał. Potem w końcu to coś, co go zatrzymało, odeszło. Z głośnym westchnieniem wyrzucił stłuczoną butelkę przez okno i włączył silnik.

Jak długo trwał ten atak? Nieważne, muszę jechać i zrobić wszy–stko, co się da. Czy to był atak serca? Nie wiem. Czuję się słaby. Zim–no mi. Cokolwiek to było, naprawdę mnie przeraziło.

127

Bał się jechać szybko. Ręce miał takie słabe i trzęsące się. Ale do–jechał na miejsce. Zatrzymał samochód i wysiadł. Poszedł na dół po drewnianych schodach na plażę. Nie mógł się śpieszyć, musiał iść ostrożnie, trzymając się barierki.

Kiedy dotarł na dół, zaskoczyło go, że nigdzie nie widzi światła. Spodziewał się, że zobaczy rozświetlone okno. Dlaczego w domu by–to ciemno? Co oni tam robili?

Wyjął latarkę i ruszył w kierunku salonu. Był pusty. Talerze ze śniadania wciąż stały na stole. Poruszał się dalej, blisko ściany, skiero–wał światło latarki do kuchni. Na podłodze, twarzą w dół, leżał ja–snowłósy mężczyzna z białą chustką na szyi. A więc był tu. Gaz wydo–stawał się na zewnątrz przez ściany. Silny, mdlący zapach sprawił, że Duff zaczął kasłać.

Rozbił okno latarką i odwrócił się. Wbiegł po stopniach, zsuwały mu się stopy, podciągał się, trzymając poręczę. Wsiadł do samochodu i pojechał szybko, ale nie nerwowo, do wsi. Ślepek pana Hilleya był już zamknięty, światło zgaszone. Pali się tylko w jednym miejscu, pomy–ślał. To jedyne oświetlone miejsce...

Elmer siedział na stacji i czytał. Spojrzał na niego.

- Na litość boską, co pan sobie zrobił?! — krzyknął.
- O co panu chodzi? — zapytał Duff.
- Usta ma pan całe we krwi.
- To nic takiego — powiedział Duff. — Muszę szybko zadzwo–

nić... po... policję.

- Co się stało?
- Połącz mnie z policją — ciągnął Duff.
- Proszę — rzucił szybko Elmer, a Duff wziął słuchawkę.
- Policja? Zdarzył się wypadek w jednym z domów na plaży.

Mężczyzna leży na podłodze w kuchni, nieprzytomny. Czuć silny zapach gazu. Okno jest stłuczone. To podobno dom pana Duffa.

- Gdzie pan teraz jest?
- To nieważne — odparł Duff.
- Jak się pan nazywa, gdzie mieszka?
- Wolałbym nie mówić — odrzekł Duff z godnością.

128

Rozdział dziewiętnasty

Podróż do domu nie wymagała wysiłku. Pociąg do Vandenbrinck przyjechał niemal natychmiast. Tylko lalka minut czekał na dworcu głównym w Nowym Jorku. Sporo czasu jednak minęło, ale on nie zwracał na to uwagi. Nie był właściwie nawet zmęczony. Czuł się wy-ciszony. Myśli miał spokojne.

Teraz już nie mam na to wpływu, myślał w kółko. Zrobiłem wszystko, co mogłem i teraz nie mam na to wpływu.

W Vandenbrinck złapał taksówkę do domu. Zapalił papierosa i oparł się wygodnie w rogu. Już na nic nie mam wpływu. To straszne, naprawdę straszne, że ten atak opóźnił mój przyjazd, ale teraz już nic nie mogę na to poradzić.

Policja na pewno się ze mną wcześniej czy później skontaktuje. Ktoś rozpozna Reggie. Potem po prostu powiem prawdę. Powiem, że to ja zawiadomiłem policję, ale rzecz jasna, nie chciałem nikomu o tym mówić... Oczywiście, byłem w szoku, kiedy...

To dziwne, pomyślał, że nie czułem zaskoczenia. Nawet widok ja-snowłosego mężczyzny na podłodze nie był dla mnie szokiem. Po prostu wszystko się potwierdziło. Kapitan Ferris tam był. To wszystko.

Rozświetlone okna jego domu wyglądały pięknie, pogodnie i zapraszająco. Dom... pomyślał, wzdychając. Muszę pamiętać, żeby odebrać tabletki od Nolana. I się dobrze wyspać.

Zapłacił kierowcy. Kiedy wszedł na schody, panna Castle wybiegła, otwierając drzwi.

- Och... panie Duff! — krzyknęła.
- Dobry wieczór — powiedział, wchodząc do przedpokoju.
- Panie Duff... — zaczęła. — Co się stało?

Przeraził się. Czyżby coś w jego oczach, twarzy go zdradzało?

- Pańskie usta, panie Duff...
- Och, to? Skaleczyłem się. W taksówce. Kierowca mocno ściął zakręt, a ja uderzyłem w okno.

- Zaraz to panu opatrzę, panie Duff.
- Nie, dziękuję. Niech się pani tym nie przejmuje.
- Proszę — powiedziała. — To nie wygląda...

129

- Nie, dziękuję — odparł. — Muszę pomyśleć o czymś innym.

Napiję się, panno Castle. Przyłączy się pani?

- Dziękuję, chętnie. Przyniosę drinki, panie Duff.
- Nie — zaprzeczył. — Nie. Niech pani usiądzie, panno Castle.

Chciał sam sobie nalać drinka. Poszedł do jadalni, gdzie w zamkniętej na Hucz części kredensu stały zapasy alkoholu dla gości. Prawie nigdy nie pił z tych butelek, bo łatwo je było sprawdzić i zorientować się, ile ubyło. Nalał sobie ginu i dodał trochę whisky dla koloru. Dla panny Castle nalał whisky i dołał sporo wody z karafki.

Mój Boże, jak to dobrze wreszcie we własnym domu usiąść i otwarcie, spokojnie wypić sobie drinka, pomyślał. Żadnego zamykania drzwi na lducz, koniec już tych koszmarnych bzdur. Panna Castle to kobieta światowa. Nie widzi nic złego w tym, że mężczyzna we własnym domu wypije sobie drinka.

- Panie Duff, wargi panu krwawią.

Dotknął warg chusteczką i odrobinę zaskoczony oglądał purpurowe plamy. Był zadowolony z własnego męstwa.

- Panie Duff, nie wygląda pan najlepiej — ciągnęła panna Cas-

tle.

Od dawna nikt nie przejmował się tym, jak wyglądam, pomyślał, ani jak się czuję. Nikt tego nie zauważał. Jutro i tak cała historia wyjdzie na jaw. Napiszą w prasie, że Reggie znaleziono martwą z tym Ferrisem. Nie ryzykuję nic, rozmawiając z tą współczującą kobietą o nienaganych manierach.

— Doznałem szoku — powiedział, popijając drinka. — Panno

Castle, wie pani coś o jakimś kapitanie Ferrisie?

— Cóż, tak... — odparła.

Była zaniepokojona, biedaczka. Taka lojalna wobec Reggie.

— Mam powody przypuszczać, że moja żona miała z nim romans

— powiedział.

— Och, nie, panie Duff! — krzyknęła. — Myli się pan całkowicie.

— Wiem na pewno, że dawała temu człowiekowi pieniądze.

— Ale to z czystej życzliwości, panie Duff.

— To dość dziwny rodzaj życzliwości.

— Naprawdę, to nic takiego. Ona to robiła dla mnie.

— Co? — zdziwił się. — To znaczy, że pani się interesowała tego

rodzaju człowiekiem?

130

— To mój przyrodni brat — powiedziała. — Bardzo go lubię, ale to... jakby to powiedzieć... niebieski ptak.

— Co?

— Zadłużył się — wyjaśniła panna Castle. — Bardzo mnie to martwiło. Pani Duff to zauważyła i kiedy jej wszystko opowiedziałam, nalegała, by pomóc Wilfredowi stanąć na nogi.

Duff zgarbił się w fotelu i wyciągnął nogi do przodu. Czuł się zmęczony, przytłoczony i bezsilny. Te słowa na temat Ferrisa były dla niego jak wybuch. Ale... nie będzie... się martwić, pomyślał. Co się stało, to się

nie odstanie. A jeśli to prawda, że Reggie po prostu bawiła się w siostrę miłosierdzia za pomocą moich pieniędzy, to na pewno będzie to wyglądało inaczej. Nikt nie może mnie winić za to, że byłem podejrzliwy.

Poza tym, pomyślał, panna Castle jest zbyt uczciwa i honorowa, żeby podejrzewać innych. Jest zbyt lojalna. Reggie mogła mieć romans z tym człowiekiem tuż pod jej nosem, a ona nawet by tego nie zauważyła. Nigdy by zresztą tego nie przyznała nawet sama przed sobą. Nie. To, co mi powiedziała, właściwie nic nie zmienia.

— Panie Duff...?

— Tak, panno Castle?

— Przykro mi, że muszę pana zmartwić, kiedy jest pan tak zmęczony...

— Co takiego? Coś się stało?

— Obawiam się, że tak. Panie Duff... Jaya nie ma w domu.

— Co takiego? — zapytał ostrożnie.

— Jaya nie ma. Wyszedł z panią Duff po obiedzie.

— Zaraz! — krzyknął. — Zaraz! Nie rozumiem!

— Pani Duff i Jay wyszli zaraz po obiedzie z domu...

— Przecież jedliście obiad w parku Rio.

— Nie, panie Duff, nie jedliśmy tam. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, dowiedzieliśmy się, że cyrk jest zamknięty. Wszystko tam wyglądało nieciekawie. Wróciliśmy pierwszym pociągiem do domu. Tutaj zjedliśmy obiad, a potem Jay i pani Duff gdzieś wyszli. Nie wzięli samochodu. Pani Duff nie zostawiła żadnej wiadomości. Widziałam, jak szli przez trawnik za rękę. To wszystko.

— Nie rozumiem — powtórzył głucho Duff.

— Zadzwoiłam do państwa Vermilyea, ale nie było ich w domu.

Dzwoniłam do pańskiego biura, ale powiedzieli mi, że wyszedł pan wcześniej. Potem zadzwoniłam do pani Albany. Już tu jedzie.

— Nie wiem, o czym pani mówi — ciągnął Duff.

— Proszę, panie Duff — błagała z rozpaczą kobieta. — Sądzę, że powinniśmy zadzwonić na policję.

— A to dlaczego? Dlatego, że żona postanowiła mnie opuścić?

— Ona by tego nie zrobiła, panie Duff.

— Tak naprawdę powiedziała mi, że ma zamiar odejść.

— Ale przecież nie zabrałaby pańskiego dziecka, panie Duff.

Odebrała mi dziecko już wcześniej, pomyślał Duff. A teraz zabrała je na dobre. Teraz mój syn nie żyje. Nie żyje...

Rozdział dwudziesty

Jest już po północy, panie Duff. Nie sądzi pan, że powinniśmy zawia-
domić policję?

— Nie — powiedział.

— Panie Duff, rozumiem, że to dla pana szok, ale... może wolał-
by pan to zostawić mnie?

— Nie — odparł z wysiłkiem. — Poczekamy.

Czekał, aż coś poczuje. Aż coś go obudzi z tej koszarnej apatii, aż jego otępiata dusza zbudzi się, by poczuć ból. W domku było ciem-no, pomyślał. Jay spał, zanim włączono gaz. Nie cierpiał.

Panna Castle zapaliła zapałkę, a on patrzył, jak zapala następnego papierosa. Ona też czekała, ale nie wiedziała tego, co on. Oni spro-wadzą tu Jaya, pomyślał. Za chwilę tu będzie. Wszyscy w Driftwood Beach go znali. Jeździł tam od maleńkości.

Był pięknym dzieckiem. Duff był z niego dumny. To mój syn. Jak przez mgłę, ze zdziwieniem wspominał dni spędzone z synem na pla-ży. Wychodzili z domu z rodzajem królewskiej pompy. Najpierw szedł szofer z parasolem słonecznym, kocem i składanym leżakiem dla nia-ni, która nie chciała siadać na piasku. Potem szła niania, niosła dziec-ko, a za nią kroczyli pan i pani Duff w strojach i płaszczach kąpielo-wych.

Pamiętał, jaki był wtedy zdrowy i żwawy. Pływał dwa lub trzy razy dziennie, czasem już raz przed śniadaniem, a obowiązkowo zawsze po południu. Młodość... pomyślał. Ale przecież cztery, nawet trzy lata temu wciąż jeszcze czuł się tak samo. Przecież młodość nie mija tak szybko.

Może to alkohol? Nie! Wtedy też pił, kiedy tylko miał na to ochotę. Zawsze piliśmy cocktaile przed kolacją i w klubie też. Nawet sporo. A kiedy była jakaś szczególna okazja, mogłem sobie pofolgować. Tylko że nigdy nie piłem rano. Nigdy nie było aż tak...

Na podjazd wjechał samochód.

— To pewnie policja — powiedziała.

— Ale my nie powiadomiliśmy policji, panie Duff — zdziwiła się panna Castle.

Wstał, kiedy usłyszał dzwonek do drzwi.

— Ja pójdę — orzekł.

Wiedział, że będą do załatwienia niekończące się formalności, ale nie dbał o to. Nie dbał właściwie o nic, nic nie czuł. Obawiał się jedyńco trochę o to, jaką zrobi minę, kiedy powiedzą mu o synu. Kiedy wyszedł już do przedpokoju, unióśł brwi bardzo wysoko. Co? O czym pan mówi...?

Otworzył drzwi i zobaczył panią Albany, w kurteczce z foczej skóry i małym, białym, kwiecistym kapelusiku.

— Już coś wiadomo? — zapytała.

— Jeszcze nie — odparł.

— Przywiozłam tę twoją torbę — powiedziała, stawiając ją na podłodze. — Nie chciałam jej zostawiać w hotelu, kiedy mnie tam nie ma. Och, Mary? Dobry wieczór. Zabierz lepiej torbę pana Duffa na górę, do jego pokoju.

Poszła do salonu, gdzie oczekiwała na nią panna Castle. Wyciągnęła do niej dłoń.

— Pani Albany — rzekła panna Castle — nie sądzi pani, że powinniśmy zawiadomić policję?

— Pomówmy najpierw sami o tym — odparła pani Albany. Usiadła i zaczęła ściągać rękawiczki, potem dmuchnęła do każdej z nich i zwinęła je w kulkę. — Jest pani pewna, że nie przeoczyła wiadomości, którą zostawiła pani Duff? A może dzwoniła do domu?

133

— Jestem absolutnie pewna, pani Albany. Pytałam kucharkę, obie z Mary wszędzie szukałyśmy.

— A co z Nolanem?

— Nie ma go.

— Nie ma? — zdziwił się Duff.

— Nie. Wrócił tu samochodem, a potem się pożegnał. Był bardzo przygnębiony w związku z panem Paulem. Dziś rano musiał pojechać go zidentyfikować.

— A co z tym panem Paulem? — zapytała pani Albany.

— Znaleziono go dziś rano. Policja powiedziała Nolanowi, że ciało utknęło pod mołem, kilka mil od Driftwood Beach.

— Wpadł do wody? — dociekała pani Albany.

— Obawiam się, że nie — wyjaśniła panna Castle. — Nolan powiedział, że policja mu przekazała, że biednego pana Paula uderzono w głowę i był nieprzytomny, kiedy wpadł do wody. Sądzą, że ktoś go zrzucił z mola.

Duff siedział bez ruchu, pochylony lekko do przodu z rękoma na kolanach. Apatia minęła zupełnie, a spokój zamienił się w straszliwy, zwierzęcy bezruch oczekiwania. Ta przeklęta torba jest wciąż w domu, pomyślał. Muszę się jej pozbyć, i to szybko.

— Może to gangsterzy — powiedziała pani Albany — albo w je-

go wypadku to mógł być agent obcego wywiadu. No cóż, policja się dowie.

Na tym skończyła dyskusję o panu Paulu, obcym człowieku, którego nigdy nie poznała.

— A teraz, panno Castle, niech mi pani powie, jak Reggie wyszła z domu — zaczęła po chwili.

Teraz to już nie pozostało nic prócz torby, zamyślił się Duff. To je-dyne zagrożenie. Ale przecież nie ma powodu sądzić, że policja będzie chciała przeszukać dom. Na litość boską, nie ma powodu, by są-dzili, że mam jakiś związek z tą sprawą.

Chyba że Nolan im coś powiedział. Ale przecież on nic nie wie. Nikt nie wie prócz Reggie. Jeśli zachowam spokój, nic nie powiem i nic nie zrobię, nie popełnię żadnych błędów... To wszystko rozejdzie się po kościach. Cała ta sprawa to jedynie nieszczęśliwy wypadek. Podjąłem wszelkie kroki, żeby się upewnić, iż ten człowiek nie żyje. Jest mi niezmiernie przykro. Niezmiernie.

134

— Jacobie! — zawołała do niego pani Albany. — Wyglądasz na zmęczonego. Może pójdziesz się trochę przespać?

— Nie, dziękuję — odparł i pomyślał o torbie. — A może się na chwilkę położę... Przynajmniej do przyjazdu policji.

— A ja właśnie wyjaśniłam pannie Castle, że nie widzę sensu wzywać policji, Jacobie. Oni zawsze sprawiają, że wszyscy czują się trochę nieswojo. Gdyby zdarzył się jakiś wypadek, na pewno już byś się o tym dowiedział. A jeśli nic złego się nie zdarzyło, to chyba lepiej będzie poczekać.

— Nie chciałabym sugerować takiej strasznej rzeczy... — wtrąciła panna Castle — ale może to... porwanie?

— Obojga? — zapytała pani Albany. — Jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś zrobił coś podobnego. Ale gdyby ich porwano, na pewno do-

stabilibyśmy jakąś wiadomość, żądanie okupu, wie pani.

— To gdzie oni mogą być? Gdzie mogli pójść?

— Reggie czasem zachowuje się nieodpowiedzialnie — powiedziała pani Albany. — Jest młoda.

— Na pewno nie pozwoliłaby się wszystkim martwić — upierała się panna Castle.

— Nie — przyznała pani Albany. — Zgadza się z panią, ale może wysłała wiadomość przez jakąś osobę, która nie okazała się godna zaufania. Kontaktowałaś się z jej rodziną, Jacobie?

— Ona nie ma żadnej rodziny. Tylko brata w Europie.

— Ma ojca na Alasce — dodała panna Castle. — Pokazała mi list od niego.

— Musimy pomyśleć — powiedziała pani Albany. — Rozmawiała kiedyś z panią, panną Castle, o jakichś przyjaciółach w Nowym Jorku lub okolicach?

— Nie mieszkała zbyt długo w Nowym Jorku — odparła panna Castle. — Pamiętam, jak mówiła o pani Williger, która ma sdep z bielizną na Brooklynie.

— W takim razie skontaktujemy się jutro wcześniej rano z panią Williger — orzekła pani Albany. — A jeśli ona sama nic nie będzie wiedziała, może poda nam nazwiska innych ludzi, których zna Reggie. Mam wrażenie, że to wszystko okaże się jednym wielkim nieporozumieniem.

— Chyba pójdę się na chwilę położyć — rzekł Duff, wstając.

— To najlepsze, co możesz teraz zrobić, Jacobie. Jadłeś kolację?

Cokolwiek dziś jadłeś?

— Coś tam jadłem.

— Zrobię panu filiżankę kakao — zaproponowała panna Castle.

— Nie, dziękuję — odparł.

Były bardzo współczujące. Jak tylko pozbędzie się torby, będzie mógł tu spokojnie odpocząć, w tym domu, z tymi dobrymi, wyrozu-miałymi kobietami. Uśmiechnął się do nich i ruszył w stronę drzwi, kiedy zadzwonił dzwonek.

Pani Albany z zadziwiającą prędkością wyskoczyła z fotela, prze-szła obok Duffa i wyszła do przedpokoju. To Jay, pomyślał Duff. Przy-wieźli go do domu.

— Jacobie — zawołała pani Albany, wracając do salonu — to po-
licjant.

— Czego chce?

— Mówi, że chce ci zadać kilka pytań.

— Na jaki temat?

— Nie powiedział mi. Wiem, że to dla ciebie bardzo trudne i bar-
dzo ci współczuję, ale musisz temu stawić czoła. No, drogi chłopcze,
weź się w garść.

— Chyba muszę się napić — rzekł.

— Cóż... — zastanawiała się pani Albany. — Może w tych oko-
licznościach...

Poszedł do jadalni i nalał sobie ginu, całe mnóstwo, wypił część, dopełnił szldankę i nalał trochę whisky, żeby wyglądało na naprawdę słabego drinka z wodą. Zabrał szldankę do salonu.

— Jacobie, to porucznik Levy.

Porucznik Levy był wysokim, młodym mężczyzną o dużych dło-niach, wielkich stopach i dużych, lekko odstających uszach, ładnych, ciemnych oczach i smutnym, poważnym spojrzeniu.

— Jestem z policji hrabstwa Horton, proszę pana — oznajmił.

— Hrabstwa Horton? — powtórzył Duff.

— Driftwood Beach jest w naszym rejonie.

— Och, rozumiem — powiedział Duff. — Niech pan siada, poruczniku. Napije się pan?

— Nie, dziękuję, nie na służbie. A moglibyśmy przejść do innego...?

136

— Zostawimy panów samych — odezwała się pani Albany. — Jeśli to konieczne.

— Pomyślałem, że pan Duff wolałby porozmawiać ze mną w cztery oczy.

— Nie — powiedział. — Niech panie zostaną.

Chciał, żeby tu były, potrzebował ich. Chodzi o starego Paula, pomyślał. A może o Jaya. Gdybym tylko wiedział... Obracał szklankę w dłoni kilka razy i zastanawiał się, dlaczego jej zawartość wyglądała jak olej. Olej spirytusowy...? To bardzo szkodliwe.

Porucznik Levy usiadł naprzeciwko niego jak osoba z królewskiego rodu, nogi razem, ręce na oparciach wysokiego fotela. Wygląda, pomyślał Duff, jak młody król egipski na posiedzeniu sądu. Był smutny, a może po prostu głupi.

— Panie Duff — powiedział. — Otrzymałem pańskie nazwisko i adres jako osoby, która zawiadomiła policję w Horton o wypadku, który zdarzył się dziś w Driftwood Beach.

— Tak — rzucił Duff, w duchu wzdychając z ulgą.

Nie chodziło o Paula. To będą pytania, na które jest przygotowany. Zapalił papierosa. Znam wszystkie odpowiedzi, pomyślał.

— Po tym, jak nas pan powiadomił, panie Duff, od razu pan tu

przyjechał?

— Tak.

— Mógłby pan opisać ten wypadek?

— Tak. Kiedy dotarłem do daczy... do tego domu... było ciemno.

Włączyłem latarkę i zaświeciłem w stronę okna kuchennego. Zobaczyłem mężczyznę leżącego na podłodze. Czułem silny zapach ulatniającego się gazu, więc wybiłem tylko okno latarką i od razu pojechałem was zawiadomić.

— Był pan przekonany, że ten mężczyzna jest odurzony gazem?

— Oczywiście, każdy by tak pomyślał.

— Nie próbował go pan ratować?

— Powiedziałem już panu, że zbiłem szybę w oknie.

— Jest pan właścicielem tego domu, prawda?

— Tak.

— Nie próbował pan jednak wejść i zakręcić gaz?

— Nie.

137

Szło dokładnie tak, jak sobie to wyobraził. Odpowiadał na pytania spokojnie, z godnością.

— Kiedy dotarł pan do Driftwood Beach, panie Duff, miał pan chyba spore kłopoty i wydatki, kiedy chciał pan wypożyczyć samochód na dwie godziny...

— Tak.

— Z tego, co wiem, doradzono panu, żeby pan wziął taksówkę, panie Duff?

Oto nadeszła wielka chwila. Niespodziewanie dobrze się złożyło, że miał teraz przy sobie panią Albany i pannę Castle.

— Woląłem być sam — powiedział.

— Spodziewał się pan znaleźć coś szczególnego w domu, panie Duff?

— Przykro mi, ale nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

— Nie ma pan obowiązku na nie odpowiadać, proszę pana, ale radziłbym to zrobić. Dla własnego dobra.

Bardzo grzeczny był ten młody człowiek, taki ułożony.

— Nie — odparł spokojnie Duff. — To sprawa osobista.

— Jest pan gotów złożyć oświadczenie i później je podpisać, że kiedy pan dotarł do domu, poczuł pan silny zapach gazu, że zauważył pan mężczyznę leżącego na podłodze w kuchni i że wybił pan szybę w oknie, a potem zadzwonił na policję?

— Tak — odpowiedział Duff.

— Chciałby się pan nad tym zastanowić, panie Duff?

— Nie.

Zauważył teraz, że choć ciemne oczy porucznika wydawały się smutne i dość łagodne, jego usta były jak stalowa pułapka.

— Mężczyzna leżący na podłodze w kuchni był martwy, panie Duff— powiedział.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Duff upił łyk swego drinka.

— Nie mogłem tego wiedzieć — odparł wciąż spokojnie.

— Ma pan klucz do tego domu, panie Duff?

- Oczywiście.
- Nie przyszło panu do głowy, żeby wejść do środka i zakręcić gaz?
- Pomyślałem, że lepiej będzie niczego nie ruszać do przyjazdu policji.
- A dlaczego to panu przyszło do głowy? Sądził pan, że popełniono jakąś zbrodnię?
- Nie. Pomyślałem, że ten człowiek, kimkolwiek był, próbował popełnić samobójstwo.
- Dlaczego tak się panu zdawało, panie Duff?
- Każdy, gdyby zobaczył ciało... osobę leżącą na podłodze w pomieszczeniu pełnym gazu, pomyślałby...
- Dlaczego pojechał pan do domku?
- To sprawa osobista.
- Dlaczego nie chciał pan wziąć taksówki?
- Mówiłem już panu, chciałem być sam.
- Panie Duff, rozumiem, że wyjechał pan ze stacji benzynowej samochodem, który pan wypożyczył, jakieś pięć minut przed dziewiątą. Czy to się zgadza?
- Wydaje mi się, że tak.
- Jazda do dacy zajęła panu około piętnastu, do dwudziestu minut?
- Coś koło tego.
- Panie Duff, według moich informacji wrócił pan na stację oko-

to dziesięć po dziesiątej. Czy to prawda?

— Nie wiem. Nie patrzyłem na zegarek.

— Mamy świadka, panie Duff. Czy może pan potwierdzić, że wrócił pan na stację benzynową około godziny i dwudziestu minut po tym, jak ją pan opuścił?

— To możliwe, nie wiem dokładnie.

— A może pan wytłumaczyć, co pan robił przez około pięćdziesiąt minut, kiedy nie jechał pan do lub z domu?

— Mogę. Po drodze miałem atak. Atak serca. Próbowałem wziąć lekarstwo, ale rozbiłem butelkę. Tak właśnie rozciąłem sobie wargę. Potem straciłem przytomność.

— Często zdarzają się panu takie ataki?

— Ostatnio tak.

139

— Jak nazywa się lekarz, który wypisał panu receptę na lekarstwo?

— Doktor Parrot — odparł Duff. Zaskoczyła go własna gotowość, natychmiastowa reakcja, wymyślenie dziwaczного nazwiska, brak zdenerwowania i niezdecydowania. Kiedy ciotka Lou dowie się później prawdy, pomyślał, kiedy zrozumie, że przeszedłem przez to wszystko, wiedząc, że straciłem syna, może na przyszłość będzie trochę mniej krytyczna w stosunku do mnie.

Panna Castle również, kiedy to wszystko się skończy, kiedy się dowie, co Reggie mu zrobiła...

— Gdzie przyjmuje ten doktor Parrot, panie Duff?

— Nie mogę panu tak od ręki powiedzieć. Gdzieś w Nowym Jorku. Musiałbym sprawdzić adres w biurze.

— Panie Duff, dlaczego postanowił pan opuścić miejsce wypadku i nie czekać na policję?

— A niby dlaczego miałbym czekać? Przecież to zgłosiłem.

— Czy zidentyfikowano tego mężczyznę? — zapytała pani Albany.

— Tak, proszę pani. To kapitan Ferris.

— Och...! — krzyknęła panna Castle. — Och...!

— Pani go znała?

— To mój przyrodni brat. Och... On nie żyje?

— Bardzo mi przykro, proszę pani. Gdybym wiedział, nie po-
dałbym tego w taki szorstki sposób.

— On nie żyje? — zapytała. — Zabił się?

— Przykro mi, proszę pani. Obawiam się, że to może być dla pa-
ni szokujące...

— Co to znaczy?

— On nie zabił się sam.

Wyglądała jak postać ze sztuki teatralnej, rozbiegane oczy, ręka na sercu.

— Więc... jak?

Levy przyglądał jej się uważnie.

— Bardzo mi przykro, proszę pani. Uduszono go.

— Och! — powiedziała znów i chwyciła się ręką za gardło. Pa-
trzyła niewidzącym wzrokiem. Pani Albany wstała i podeszła do niej.

— Zamordowano go? — zapytała po chwili.

. — Nie mamy co do tego wątpliwości — odpowiedział porucznik Levy poważnym, w miarę łagodnym tonem.

Zapadła przerażająca cisza. , — A co z gazem? — zdziwił się Duff.

— W domu nie było odkręconego gazu.

— Był, kiedy tam dotarłem. Zapach był bardzo silny.

— Byliśmy tam około jedenastu minut po pańskim zgłoszeniu, ale gaz nie był odkręcony.

— Więc ktoś musiał go zakręcić.

— Nie było żadnego zapachu gazu w domu, panie Duff.

— To pewnie dlatego, że wybiłem szybę i wpuściłem świeże powietrze.

— Zapach jednak wciąż byłby wyczuwalny.

W umyśle Duffa zaczynał powstawać mętlik. Coś jak niewielka chmurka mgły w samym końcu. To się nie może roznieść. To niebezpieczne.

— Chyba napiję się jeszcze — powiedział, wstając.

— Nie — powstrzymała go ciotka Albany. — Lepiej nie, Jacobie.

— Niech pan usiądzie — dodał Levy. — Może jedna z pań będzie łaskawa zrobić panu drinka.

Ale żadna z pań się nie ruszyła.

— Obawiam się, że muszę teraz chwilę porozmawiać z panią

Duff— powiedział nagle Levy.

— Co? — zdziwił się Duff.

— Rozumiem, że jest już bardzo późno — wyjaśniał Levy — ale muszę z nią chwilę porozmawiać.

- Zaraz... nie widział jej pan? — wykrztusił Duff. Mgła ruszyła do ataku, zakrywając wszystko. Siedział jak ogłupiały.
- To znaczy, że pani Duff jest na dole? — zapytał Levy.
- Ależ nie — odparł Duff. — Panno Castle, niech mi pani przynieś drinka. Najlepiej całą butelkę.
- Mogę prosić jedną z pań, żeby poszła po panią Duff? — zapytał Levy.
- Nie ma jej w domu — odpowiedziała pani Albany.
- Więc gdzie jest, proszę pani?
- Nie wiemy — powiedziała pani Albany. — Bardzo się o nią martwimy.

141

- Chcę się napić — rzucił Duff.
- Panie Duff — zaczął Levy. — Obawiam się, że nie zdaje sobie pan sprawy ze swojej sytuacji.
- Weź się w garść, Jacobie! — krzyknęła pani Albany.
- Pańska relacja z wydarzeń tego wieczoru nie jest satysfakcjonująca, panie Duff.
- Dlaczego nie? — zapytał Duff.
- Cóż, chciałbym, żeby pan dokładnie wyjaśnił, dlaczego udał się pan do domku na plaży właśnie o tej porze.
- Powiedziałem już panu, że to była sprawa osobista.
- A dlaczego zgłosił pan ulatniający się gaz?
- Mówiłem już panu, że wydawało mi się, że czuję gaz.

- To dlaczego nie próbował pan nawet ratować tego człowieka, który, jak się panu wydawało, stracił przytomność pod wpływem gazu?
- Mówiłem już panu. Myślałem, że popełnił samobójstwo i wydawało mi się, że lepiej będzie, jeśli zostawię wszystko tak, jak było.
- A czemu tak bardzo panu zależało na wynajęciu samochodu?
- Dobry Boże! Już panu to wszystko mówiłem!
- Pańskie wyjaśnienia nie są satysfakcjonujące, panie Duff.
- Dlaczego nie, do cholery?
- Muszę pana poprosić o udanie się ze mną na posterunek policji w Horton.
- Nie rozumiem. To znaczy... pan sądzi, że ja to zrobiłem? To niaby ja wszedłem do domu i udusiłem tego człowieka? Mnie pan o to oskarża?
- O nic pana nie oskarżam, panie Duff. Chcę po prostu dowiedzieć się, co dokładnie pan robił tego wieczoru.
- Nic więcej się pan nie dowie. Powiedziałem panu dokładnie wszystko tak, jak było.
- Obawiam się, że to nie wystarczy, panie Duff. Muszę pana prosić, żeby pan pojechał ze mną...
- Dobrze, dobrze! — krzyknął. — Nie obchodzi mnie, gdzie pojedę, ale najpierw muszę się napić.
- Nie, proszę pana.
- Nie może mi pan w moim własnym domu zabronić...
- Jacobie — powiedziała pani Albany.

Nikt nie okazywał mu najmniejszego współczucia ani zrozumienia, nikt. Było mu niedobrze, ręce mu się trzęsły, mgła doszła już do oczu. Jeśli pójdę z tym jegomościem, mogą mnie zamknąć na całą noc, nawet na dłużej. Nie będę mógł się napić. Czuję się tak cholernie dziwnie...

— Chodźmy już, panie Duff.

— Nie... — powiedział. — Nie. Powiem panu, kto zabił Ferrisa.

— Chce pan złożyć oświadczenie?

— Tak. Ale najpierw muszę się napić.

Levy zwrócił się do panny Castle.

— Może pani nalać panu — rzucił cicho.

— Niech pani przyniesie butelkę — zawołał Duff.

Wtedy zadzwonił dzwonek i wszyscy jak stado saren odwrócili na-tychmiast głowy.

— Ja otworzę — powiedział Levy. — Nie wychodźcie państwo z pokoju.

Kiedy tylko wyszedł, Duff ruszył w stronę jadalni.

— Jacobie! — upomniała go pani Albany. — Nie...

Nie zatrzymał się. Nalał sobie drinka i połknął zawartość szklanki, po czym napełnił ją ponownie ginem.

— Jacobie — ciągnęła pani Albany — musisz mieć trzeźwy umysł. To poważna sprawa.

— Nie, to nic takiego — rzekł. — Miałem z tym tyle samo wspólnego co ty.

Zapalił papierosa, a Levy wrócił do salonu z siwym policjantem w mundurze.

— Sierżant Mac zapisze pańskie zeznanie, panie Duff — powiedział. — Chciał pan zeznać, że wie, kto zabił kapitana Ferrisa?

— Tak — rzekł Duff. — To był mój szofer, Nolan.

- Dlaczego pan tak sądzi?
- Nie sądzę, tylko wiem. Widziałem go, jak jechał do mojej da-
czy na plaży.
- Gdzie pan był, kiedy go pan zobaczył?
- W samochodzie w pobliżu stacji.
- Dlaczego pan tam stał?
- Bo sam tak chciałem.
- Skąd pan wie, że jechał do pańskiego domu?

143

Duff przetknął gin.

- Bo sam to z nim ustaliłem — rzekł.
- Co pan ustalił, panie Duff?
- Wolałbym się w to nie zagłębiać.
- Obawiam się, że to jest niezbędne, panie Duff.

Niezbędne, pomyślał Duff. Nie mam zamiaru dać się zamknąć
w celi.

- Miałem powody sądzić, że kapitan Ferris udał się do mego do-
mu na... rendez-vous — powiedział.
- Rendez-vous z kim, panie Duff?
- Nie zamierzam odpowiadać na to pytanie.
- A jakie były te pana uzgodnienia z Nolanem?

Szkoda, że nie mogę się upić, pomyślał Duff. Wtedy wcale nie mógłbym mówić.

- Nolan miał tam przyjechać pierwszy — powiedział. — By się
przekonać, czy miałem rację. Jeślibym się mylił, miał wracać do domu

i po drodze spotkać się ze mną. Gdybym go nie spotkał, miałem jechać do domu na plażę sam.

— Co się pan spodziewał zastać, kiedy pan dotrze do domu, panie Duff?

— Nic, chciałem po prostu sprawdzić, co się tam będzie działo.

— Panie Duff — pytał dalej Levy — a nie ustalił pan z Nolanem, że to on włączył gaz?

Duff spojrzał na niego.

— Do diaska, nie! — krzyknął.

— Jak kapitan Ferris wszedł do pańskiego domu?

— Nie wiem, ale to na pewno nie było trudne.

— Pojechał pan do domu, spodziewając się zastać pana Ferrisa.

Jaki on miałby powód, żeby tam przebywać?

Duff kręcił głową z boku na bok, jakby szukał drogi ucieczki. Te pytania męczyły go nieznośnie, a teraz nawet zaczął się bać.

— Panie Duff, ma pan jakieś dowody, że Nolan naprawdę był w pańskim domu?

— Mówiłem już, że widziałem, jak tam jechał.

— Zznał pan, że przejeżdżał obok pana. Ma pan jakiś dowód, że naprawdę wszedł do pańskiego domu?

144

— Do diaska, na pewno wszedł! Ktoś tam musiał wejść. Jaki sens ma to nękanie? Nie jest pan prawnikiem.

— Owszem, jestem — odparł Levy.

— To znaczy, że nie jest pan policjantem?

' — Policjantem również. Zeznał pan, że miał powód sądzić, iż kapitan Ferris miał w pańskim domku na plaży rendez-vous. Z jaką to kobietą?

To się stawało nieprzyjemne, coraz gorsze.

— Chciałem po prostu... upewnić się — powiedział Duff. — Słyszałem plotki...

— Jaką to kobietę spodziewał się pan tam zastać?

— Odmawiam odpowiedzi — uciął Duff.

Nastąpiła chwila ciszy, a Levy podszedł do otwartych drzwi.

— Pani Duff — powiedział — proszę wejść.

Była tu. Jak długo? Co usłyszała? Co już zdążyła powiedzieć? Nie pamiętał. Weszła z korytarza upiorna jak duch. Była blada, czarne włosy wyglądały na nieuczesane. Miała na sobie czarny rozpinany sweter, znacznie na nią za duży. Wyglądała jak przybłąda. Piękne, lśniące, ciemnoniebieskie oczy utkwiała w twarzy Levy'ego. Nie spojrzała na nikogo innego.

Levy wyjął z kieszeni papier. — Pani Duff — rzekł — ten list znaleziono przy kapitanie Ferrisie. Mogłaby pani na niego spojrzeć?

Wzięła list, spojrzała, podniosła wzrok i znów utkwiała go w twarzy porucznika.

— Widziała już pani kiedyś ten list, pani Duff? — zapytał.

— Tak — odparła. — Ja go napisałam.

— Napisała pani list, w którym prosi pani kapitana Ferrisa o spotkanie w domu na plaży?

— Tak — powtórzyła.

Chciałbym móc się upić, pomyślał Duff.

— I pojechała pani do tego domu, żeby się spotkać z kapitanem Ferrisem?

— Nie... — odparła. — Nie pojechałam.

Nolan w ogóle do niej nie zadzwonił, pomyślał Duff. Nie miał takiego zamiaru.

— Dlaczego pani nie pojechała, pani Duff? — zapytał Levy.

— Nie mogłam.

145

— Dlaczego?

— Około trzeciej utknęliśmy na małej wysepce na wodzie.

— Kto był z panią, pani Duff?

— Syn mojego męża, pan Vermilyea, jego matka i ojciec.

— Rodzinna wyprawa — wtrącił dość głośno Duff.

Nie wiedział właściwie, dlaczego to powiedział i skąd wzięły się gorycz, niechęć i złość, które kłębiły się w jego głowie.

— Miała pani zamiar się z nim spotkać, pani Duff?

— Tak — powiedziała. — Napisałam do niego list.

— Pani Duff, czy ma pani powód sądzić, iż pani mąż był zazdro-
sny o kapitana Ferrisa?

— Nie — odparła. — Na pewno nie był.

Mówiła cichym, pięknym głosem, który prawie wcale nie odzwierciedlał emocji, jalcie mogła teraz przeżywać. Na jej twarzy również nic nie było widać. A przecież, na Boga, nie była zbyt elokwentna. Mimo to Duff doskonale ją rozumiał.

— Nie chciała pani, żeby pani mąż wiedział o tym planowanym
spotkaniu z kapitanem Ferrisem, pani Duff?

— Nie miałby nic przeciwko temu — rzekła. — To było tylko spo-
tkanie w interesach.

— Pani Duff, czy wie już pani o śmierci kapitana Ferrisa?

Milczała przez chwilę.

— Nie chciałam tego mówić... — zaczęła — ale chyba muszę. No-
lan po prostu go nienawdził.

— Dlaczego?

— Kiedyś powalił Nolana na ziemię w mojej obecności. Wydaje mi się, że wiem, co się zdarzyło.

— Bardzo chętnie pani wysłucham.

— Nolan nie cierpiał go do granic — powiedziała, jak zwykle używając nieodpowiednich słów. — Wydaje mi się, że powiedział mojemu mężowi, że na daczynie dzieje się coś złego. Pewnie pojechał tam i zabił kapitana Ferrisa, i załatwił to tak, że mój mąż miał tam później pojechać i wtedy wina spadłaby na niego.

— Jest pani o tym przekonana, pani Duff?

Obłąd, pomyślał Duff. Pięknie mnie z tego wybroniła. Skłamała na temat listu. Czysty obłąd. Nie prosiłem jej wcale, żeby dla mnie kłamała. Nie chcę, żeby cokolwiek dla mnie robiła.

146

— Tak było, panie Duff?

— Tak — odparł. — Mniej więcej.

— Co Nolan panu powiedział o tym, co się dzieje w domu?

— Powiedział, że jest tam Ferris i kobieta. Jakaś kobieta.

— Czy umawiał się pan z Nolanem, że odkręci gaz?

— Nie! Już panu mówiłem, że nie.

— Gdyby pan zastał tam Ferrisa z kobietą, co by pan zrobił?

— Nic. Nie miałem żadnych planów. Chciałem tylko zobaczyć...

— Kiedy zobaczył pan kapitana Ferrisa na podłodze, wydawało się panu, że co się stało?

— Nie miałem pojęcia. I nie obchodziło mnie to.

— Nie przyszło panu wtedy do głowy, że Nolan mógł go zabić?

— Nie — odparł Duff. — Przede wszystkim nie wiedziałem, że

on nie żyje.

Poza tym, pomyślał, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że Nolan mógłby mnie oszukać. Nigdy. Teraz dopiero widział, jak sprytnie Nolan wszystko zaaranżował. Wszystkie dowody wskazywały na Duffa, zazdrosnego męża. Ta historyjka o gazie, o podaniu tabletek... A on tylko chciał, żeby Ferris znalazł się tam sam i namówił mnie, żebym mu to zorganizował.

We wszystko wierzyłem, pomyślał Duff. Zrobiłem wszystko, żeby się zrujnować. Ten list... Policja na pewno by go ze mną skojarzyła, bez trudu. Napisany na mojej maszynie do pisania. Byłem przynętą. Wystrychnął mnie na dudka. Byłem głupi.

— Nie rozumiem jednej rzeczy — powiedział Levy. — Dlaczego pan zgłosił silny zapach gazu?

Duff szybko, jak ścigane zwierzę, zauważył zmianę w zachowaniu Levy'ego. Był już inny. Nie wydawał się talu podejrzliwy. Już jestem bezpieczny, pomyślał.

Z własnej woli, nawet bardzo chętnie wpakował się w niebezpieczeństwo, które mogło się dla niego okazać śmiertelne. Jeśli teraz już nic mu nie groziło, to stało się to tylko i wyłącznie za sprawą zeznań Reggie. Gdyby nie potwierdziła, że pisała ten list, gdyby nie wspomniała o nienawiści Nolana do Ferrisa... Widocznie znała prawdę, wiedziała, co planowałem i co chciałem jej zrobić, ale mimo wszystko uratowała mnie. Przez to perspektywa wolności stała się dla niego nic niewarta.

147

— Co z tym gazem, panie Duff?

— Obawiam się, że nie potrafię tego wyjaśnić — powiedział. —

Być może to halucynacje. Miałem ten atak... atak serca, no wie pan.

Nie czułem się dobrze.

Gdzieś w domu ktoś jakby z przerażeniem wrzasnął.

— Och...! — krzyknęła panna Castle, znów unosząc dłoń do serca.

Rozdział dwudziesty drugi

Kto to był? — zapytała pani Albany, ale nie uzyskała odpowiedzi. — Nikogo tu przecież ja nie ma...

Levy wyszedł z pokoju. Pozostali siedzieli w salonie, pani Albany, panna Castle, Duff i siwowłósy sierżant Mack. Tylko Reggie w za dużym swetrze stała. Nie usłyszeli już żadnego nowego krzyku, żadnego

dźwięku.

— Gdzie jest Jay? — spytał Duff, patrząc prosto na ścianę przed sobą.

— Pani Vermilyea położyła go spać w swoim domu — odparła Reggie. — Był przemęczony. Bardzo mu się wszystko podobało. Udawaliśmy, że to taka wielka wyprawa.

Usłyszeli kroki na schodach i znów wszyscy jak stado saren odwrócili głowy w stronę drzwi. Weszła Mary, a za nią porucznik Levy z tą przeklętą torbą.

— Przepraszam, psze pani — powiedziała Mary, szlochając.

— Proszę poczekać — rzucił Levy.

Otworzył torbę i wyjął z niej marynarkę, przemokniętą i pogniecioną.

— Czy to pańskie, panie Duff? — zapytał.

— Nie — odparł mechanicznie. To nie miało sensu. Wiedział o tym.

— Pani Duff, czy pani rozpoznaje to ubranie?

— Nie — odparła Reggie. — Och, tak, chyba tak. To stara marynarka mego męża. Wyrzuciłam ją wiele miesięcy temu.

— Pani Albany...?

148

— Absolutnie nie mam pojęcia — odparła, nie odwracając w jego stronę głowy.

— Przepraszam, proszę pani — odezwała się znowu Mary, a tży płynęły jej po twarzy. — Nie mogłam spać, póki nie usłyszałam, że paniczowi Jayowi nic nie jest. Pomyślałam więc, że rozpakuję torbę pana Duffa, a kiedy ją otworzyłam, jakaś jaszczurka albo mały wąż wy-

szedł ze środka i krzyknęłam. Nie chciałam...

— Proszę poczekać! — powtórzył Levy.

Wyjął szpicrutę.

— Czyja to własność? — zapytał.

— To moje — rzekła Reggie.

— Pani Duff, jest tu jednak mała, metalowa płytką z inicjałami, które nie należą do pani.

— Ktoś mi to podarował — odparła Reggie.

— Inicjały to P.I.K. To są inicjały człowieka, którego znaleziono dziś pod mołem. Dlaczego miał to pan w swojej torbie, panie Duff, i to razem z ubraniami, które były zupełnie mokre?

Duff nie odpowiedział.

— Panie Duff, kiedy pan ostatnio widział Paula?

— Nigdy go nie widziałem.

— Pani Duff — zwrócił się do niej Levy — a czy pani widziała Paula, kiedy byliście w Driftwood Beach?

— Nie, nie widziałam — odparła Reggie.

— Proszę o wyjaśnienie zawartości pańskiej torby, panie Duff.

Wiedziałem, że ta torba mnie wykończy, pomyślał Duff. Wiedział

wiele rzeczy już od dawna. Może nie tyle wiedział, co czuł. Szedł wśród gęstej mgły po nieznaną drogę, ale wiedział, czy raczej czuł, gdzie ta droga się kończy. To był koniec.

— Duff — zwrócił się do niego Levy. — Paula uderzono w głowę jakimś przedmiotem i wrzucono nieprzytomnego do wody.

Powiedział Duff, a nie panie Duff. Nie dodał proszę pana. Ale ja nie cierpię tylko, kiedy mówią „psze

pana".

— Nie wrzucono go — odparł Duff. — To ja wciągnąłem go do wody. Myślałem, że nie żyje.

Panna Castle zaczęła się cicho krztusić, ale nawet na nią nie spoj-rzał.

149

— Pan Paul nagle upadł — odezwała się Reggie. — Jake sądził... oboje sądziliśmy, że nie żyje. Myśleliśmy...

— Nie — zaprzeczył Duff. — To ja zrobiłem. Uderzyłem go dwu-krotnie. Później wciągnąłem go do morza. Chciałem się pozbyć zwłok.

— Jacobie! — krzyknęła pani Albany.

To był straszny głos, głos jego sumienia, potępiający go, opuszcza-jący w potrzebie.

— Panie Duff — zaczął Levy — moim obowiązkiem jest powie-dzieć panu...

— Wiem! Wiem! — rzucił niecierpliwie Duff. — Dokończę drin-ka i pójdę.

Opróżnił szklankę, postawił ją i wstał. Naprzeciwko zobaczył swo-je własne odbicie w dużym lustrze. To był Jacob Duff, z krwawiącymi ustami, ciemnymi workami pod oczami i zwiędłą, zmęczoną twarzą.

— Jake... — powiedziała Reggie.

Dotknęła jego dłoni, ale cofnęła ją.

— Jake, mogę przysiąc... mogę iść do sądu i przysiąc, że za dużo tej nocy wypiteś. Nie odpowiadałeś za swoje czyny.

— Nie, dziękuję — odparł. — Odpowiadałem za siebie. Reggie, dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Byłaś bardzo miła.

Spojrzał na nią i ich oczy się spotkały. Był pewien, że to, co zoba-czył w jej oczach, to była miłość, ale nie

taka miłość, jalej pragnął. Jej miłość nie miała granic, była prawie bezosobowa, obejmowała diabli wiedzą ilu ludzi. Nie chciał takiej miłości.

Spojrzał na pannę Castle, a ona obserwowała go badawczo. Na końcu spojrzał na panią Albany, najważniejszą postać w swoim życiu. Teraz wydała mu się starą kobietą. Już nic mu nie pozostało. Nie chciał już nawet widzieć Jaya. Pan Jacob Duff zniknął na zawsze.

— Jake — powiedziała Reggie — zrobimy wszystko...

— Nie, proszę — odparł szybko, marszcząc brwi. — To już nie-
ważne.

Naprawdę nie ma już nic, na co warto by czekać, pomyślał. Mam już wszystkiego serdecznie dość.

— Chciałbym pójść na chwilę do swojego pokoju — powiedział.

— Sierżant Mack pójdzie z panem — odparł Levy.

150

Więc będę musiał wymyślić coś innego, pomyślał Duff. Muszę to zrobić szybko. Wypiłem dziś stanowczo za dużo i na pewno za chwilę się zacznę.

Wiedział na ten temat wszystko. Niebawem, naprawdę szybko, zacznę być senny. Będą mu zadawali na policji pytania, a on nie będzie w stanie na nie odpowiedzieć, nie będzie mógł powstrzymać się od zasypiania. Wsadzą go więc do celi, żeby to odespał. Tak to chyba nazywają.

Ale to nie ma nic wspólnego z odsypianiem, bo później nie czujesz się lepiej, tylko masz wymioty, drżysz na całym ciele, czujesz niewy-słowiony strach i zmęczenie. Koszmar, tak to należy nazwać.

— Musi pan zostawić drzwi do łazienki otwarte, panie Duff —
zaznaczył Mack.

— Dobrze — odparł. — Mogę chyba zabrać szczoteczkę do zębów?

— Tak.

Duff upuścił szczoteczkę za umywalkę.

— Panie sierżancie — powiedział. — Mógłby mi pan to podnieść? Niestety, ostatnio szwankują mi kolana.

— Dobrze — zgodził się policjant.

Pochylił się, a Duff wyjął wtedy żyletkę z paczki leżącej na półce i włożył ją do kieszeni. Naprawdę, nic innego mi nie pozostało, pomyślał. Teraz, kiedy wszyscy wiedzą... o wszystkim.

Oczywiście, to nic innego jak nieumyślne spowodowanie śmierci, tłumaczył sam sobie. Ciotka Lou skontaktuje się natychmiast z Haroldem Mallingerem i może uda im się załatwić wyjście za kaucją. Ale ja tego nie chcę. To znaczy, gdzie miałbym pójść? Nie tutaj, gdzie są pan-na Castle, Reggie... i mój syn. Nie tam, gdzie mógłbym znów zobaczyć ciotkę Lou.

Zszedł na dół z Maćkiem. Porucznik Levy czekał w holu. Wyszli z domu do samochodu, stojącego na podjeździe.

— Mam nadzieję, że złapiecie Nolana — rzekł Duff.

— Zrobimy, co w naszej mocy — odpowiedział Levy.

Mack wsiadł za kierownicę, a Levy razem z Duffem z tyłu. Wydało się, że na zewnątrz jest bardzo ciemno.

Nieumyślne spowodowanie śmierci, to nie takie straszne przestępstwo. Kiedy to wszystko się skończy, może pojechałbym do Rio al-

151

bo gdzieś, gdzie jest równie ładnie. Mam dość pieniędzy na życie. Mógłbym wyjechać sam i zacząć wszystko od nowa.

Tylko że jest jeszcze jutro, przypomniał sobie. Obudzę się i będę to miał. Ten koszmar. Nie pozwolą mi się napić, to pewne. Nie wytrzymam tego.

Może niedługo wypuszczą mnie za kaucją, ale na pewno nie wczesnie rano. To nie wystarczy. Nie był w stanie znieść jutrzejszego poranka. I innych poranków. Zresztą, nic mu już nie pozostało. Miał powyżej dziurek w nosie tego wszystkiego.

Nie na nadgarstkach. To za długo trwa. Petroniusz tak zrobił... czy jak tam miał na imię ten jegomość, o którym uczyłem się w podstawówce? Wiele godzin. Chyba wolę gardło. Ostrze żyletki skaleczyło mu palce, ale nawet tego nie czuł. Skrzywił się na myśl, że będzie mu siał naciąć całą szyję. Od ucha do ucha, pomyślał. Jest tam coś, jakaś żyła.

To nie było takie straszne, nie bolało. Nareszcie się skończyło, pomyślał. W końcu zabiłem tego starego wariata. A Jay i Reggie... I inni. Jacy inni?

— Co? — zapytał Levy. — Mówił pan coś?

Nie usłyszał odpowiedzi. Odwrócił w ciemności głowę, żeby spojrzeć na Duffa, który kiwał się w kącie samochodu z brodą na pierśsiach. Coś słyszałem, pomyślał Levy. Chyba chrapanie. Ten człowiek jest pijany.

Teraz nie ma sensu go przesłuchiwać, zwłaszcza w takim stanie, pomyślał Levy. Chyba że jest dość przestraszony, by zaraz wytrzeźwieć. Czasem to się zdarza. Chyba go nie oskarżymy. Nie dziś. Może nigdy. On coś wie, to pewne, ale nie wydaje mi się, żeby on naprawdę...

Samochód przechylił się na zakręcie i Duff upadł na podłogę.

— Zatrzymaj na chwilę, Mack! — krzyknął Levy i włączył światła.

Wziął Duffa pod rękę i posadził go na siedzeniu. Wtedy zauważył, co ten zrobił.

— Mack — rzucił — jedź do szpitala... jak najszybciej. Włącz syrenę.

Jechali po ciemnych wiejskich drogach, jakby płynęli na zawodzącym strumieniu odgłosów syreny. Duff, podtrzymywany przez Le-

152

vy'ego, opierał się w narożniku, uchylał lekko powieki, a podczas od-dychania puszczał bańki.

W szpitalu podano mu krew jakiegoś nieznanego krwiodawcy, ale było za późno. Leżał w jasno oświetlonym pokoju z białymi ścianami i straciwszy przytomność, zmarł.

Ale dlaczego? Levy nie mógł się nadziwić. To wszystko nie wyglądało tak strasznie. Miał szansę walczyć. Miał wszystko, dla czego warto żyć, pieniądze, dobrą pozycję, piękną, młodą żonę.

Musiał być winny jak diabli, uznał Levy.